MARJA BOGUSŁAWSKA

MŁODZI

CZTERY POWIEŚCI DLA MŁODZIEŻY
DOROSŁEJ I DORASTAJĄCEJ

Z OŚMIU ILUSTRACJAMI B. LEWAŃSKIEGO

WYDANIE DRUGIE

„Święć się, święć się, wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty
I nadziei i swobody". *(Asnyk)*

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - - - - WARSZAWA

Młodzi. Cztery powieści dla młodzieży dorosłej i dorastającej

Maria Bogusławska

Księgarnia Św. Wojciecha, Poznań — Warszawa, 1921

Pobrano z Wikiźródeł dnia 22 września 2025

MARJA BOGUSŁAWSKA

M Ł O D Z I

CZTERY POWIEŚCI DLA MŁODZIEŻY
DOROSŁEJ I DORASTAJĄCEJ

Z OŚMIU ILUSTRACJAMI B. LEWAŃSKIEGO

WYDANIE DRUGIE

„Święć się, święć się, wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty
I nadziei i swobody“. *(Asnyk)*

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - - - - WARSZAWA

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

SPIS RZECZY.

Str.

1. Bracia Steczkowscy 1
2. Panna z niedźwiedziem 55
3. Przygody pensjonarki 159
4. Dziecko szczęścia i dziecko niedoli ... 191

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Maria Bogusławska.*

Bracia Steczkowscy

I.

Staliśmy się ofiarami naszej nieszczęśliwej reputacji, my, bracia Steczkowscy! Zdaje mi się, że nie byliśmy ani odrobinę większymi urwisami od innych naszych kolegów, a jednak tylko Jędrek Steczkowski, Wojtek Steczkowski i Elek Steczkowski — znaczyło w pewnych kołach to samo co łobuz, urwis, urwipołeć!... ach, może i gorzej!... Jaki tylko dosadny figiel udał się w szkole, zaraz na nas padało podejrzenie.

Ktoś kiedyś zmusił handlarza ulicznego za jakieś obelżywe słowo do pocałowania w ryj schwytanego w podwórzu prosięcia. Ów narobił rwetesu o gwałt i zaraz gruchnęło: „To któryś ze Steczkowskich!...“ A to tymczasem... Coprawda wówczas, to rzeczywiście Wojtek to zrobił, ale przecież my nie możemy odpowiadać za postępki smarkacza, który ma lat trzynaście, czy czternaście!... Tak, to przecież stało się zeszłego roku!

Raz jakiemuś zamożnemu burżujowi, który całemi wieczorami wysiadywał bezczynnie wychylony z okna swego parterowego mieszkania, umalował Elek

niespodzianie twarz dużym pendzlem, umaczanym w kleju stolarskim z domieszką sadzy!... I zaraz „potrzebowali domyślić się“, że „to któryś ze Steczkowskich“.

Dobrze jeszcze, gdy to było prawdą, albo gdy nas pomawiano o jaki dowcipny figiel, ale czasem przypisywano nam autorstwo najzwyczajniejszych, szablonowych, nawet trywjalnych pomysłów, np. umazanie pulpitu profesora atramentem, wkładanie pistonów pod katedrę, lub położenie cukru zamiast kredy przy tablicy. Takie podejrzenia doprowadzały nas do wściekłości.

My, Steczkowscy, jeżeli byliśmy łobuzami, to bez wątpienia łobuzami w wyższym stylu, których stać było na pomysły subtelne. Szczególniej nasz stryjeczny brat, Eligjusz! Szczęśliwy chłopiec, miał takie poetyczne imię!… Gdy byliśmy w tłusty czwartek na wieczorku u pani Wróblewskiej, wszystkie pensjonarki z lubością wymawiały to imię! Nas rodzice jak na złość nazwali: Jędrek i Wojtek!… Jak stangretów! Coprawda, póki byliśmy mali, uważaliśmy stanowisko stangreta za bardzo ponętne, zajmujące miejsce zaraz po oficerze wojsk polskich, a już stanowczo przed profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Urodzeni i wychowani na wsi, czuliśmy się strasznie nieswojo w Warszawie. Dławiło nas jej powietrze, a raczej brak powietrza, to też, gdy nie mogliśmy wyhasać się konno albo wybiegać po lasach, cóż dziwnego, że nam, jak mówiła ciocia Kamilka: „humory biły do głowy“, wtłaczając w nią dzikie pomysły.

W ciągu zeszłego roku zmieniliśmy trzy stancje. Wujenka Turska po dwóch miesiącach bez ceremonij

napisała do ojca, żeby zabrał swoich hajdamaków, bo jej jeszcze życie miłe! Profesor Reigatz po kwartale zakomunikował bardzo dyplomatycznie, że z powodu spodziewanego powrotu córki z zagranicy będzie potrzebował naszego pokoju, z żalem przeto musi się z nami rozstać. Hipokryta krzyżak! Nie było dnia, żeby nam nie zaśpiewał: *„Nieszczęśliwa dnia, w której ta hołota weszła w moim domu!“*

A teraz niby nas żałował!… I właściwie zaco on nas wyrzucał? zaco?… Jedynie za owo nieszczęśliwe nazwisko Steczkowskich. U wujenki to co innego, tam rzeczywiście stawaliśmy na głowach. Ale u profesora Reigatza byliśmy jak malowani. Co miał nam do zarzucenia? Że czasem strzelaliśmy z pistoletu do pluskiew? A czy to nasza wina, że mieliśmy zanieczyszczony pokój? To my mamy prawo skarżyć się za spędzanie snu z naszych młodzieńczych powiek! Bo kto wie, może właśnie bylibyśmy śnili o sławie, o wielkiej przyszłości, a tu taki marny *insekt* robi zamach na nasze *szpico-górne i gromo-chmurne* marzenia! Przecież napadnięty ma prawo użycia broni!

I nie podobało mu się jeszcze, że pięcioletniego synka jego, Frycka, uczyliśmy śpiewek w rodzaju:

„Kiedy ranne wstają zorze,
Wszystkich belfrów wytrać, Boże.“

Nawet gdyśmy wykazywali, jak dalece zatrzymujemy w pamięci każde jego słowo, jeszcze nie był zadowolony. Kilkakrotnie powiedział o sobie, że jest „roztargany“ zamiast „roztargniony“, a o matce żony, p.

Mehlmacherowej, zamiast „rozdrażniona“ „rozwydrzona“. Wobec tego na biletach wizytowych, znajdujących się na drzwiach, pod: Wilhelm Reigatz dopisaliśmy: „roztargany profesor“, a pod: Emilja Mehlmacher — „rozwydrzona staruszka“. I to go oburzyło!… Niesłychane!

Na pewno jednak nie podobało się p. Reigatzowej, że wszyscy trzej odznaczaliśmy się wybornemi apetytami; to było jedyną przyczyną naszej banicji.

No i wyleli nas!

Było nam trochę wstyd kolegów, gdy wypadło się przyznać, że po raz trzeci w ciągu roku szkolnego zmienić musimy stancję, ale z drugiej strony uszczęśliwieni byliśmy, że wydostajemy się z tej *„donner-wefter’*skiej“ atmosfery.

Tem bardziej byliśmy radzi, gdy po kilkodniowych poszukiwaniach ojciec mój znalazł nam stancję u pana Bolesława Rydla, urzędnika kolejowego. W nowej lokacie dopatrzyliśmy moc stron dodatnich: pan Rydel po pierwsze nosił to samo nazwisko, co nasz ulubiony poeta, powtóre, jako urzędnik kolejowy i to od ruchu, mało bywał w domu; dalej — miał żonę, która wyglądała, jakby trzech nie umiała zliczyć, z czego wnosiliśmy, że będzie pobłażliwą na nasze figle, wreszcie mieszkali pod samemi rogatkami Jerozolimskiemi, co dawało nam widoki długiego, obowiązkowego spaceru dwa razy dziennie. A to też coś warte!

Ojciec, oddając nas opiece państwa Rydlów, napomknął coś o naszej awanturniczej żyłce i o potrzebie krótkiego

trzymania, ale zakończył pięknym zwrotem do naszej ambicji, który zupełnie przypadł nam do gustu.

Znalazłszy się w naszym pokoju, rozejrzeliśmy się po nim z przyjemnością; był obszerny, czysty, słoneczny. Najbardziej jednak zachwyciło nas to, że miał balkon, i to balkon nad ogródkiem niewielkim, ale urządzonym z wielką starannością. Klomby pełne prześlicznych kwiatów, ścieżki usypane żwirem, kraty przysłonięte liściem dzikiego wina. W środku ogródka kamienny, trochę rachityczny amorek sączył wodę z rogu obfitości. Wychyliłem się przez poręcz balkonu i zobaczyłem, iż pod nim stał wygodny trzcinowy fotel, obok stoliczek zarzucony gazetami, przed nim zaś na marmurowym cokóle ogromne akwarjum z roślinkami i skałką, wewnątrz którego pływał spory, opasły karp.

— Tam do siódmej skóry!… ogródek wart padyszacha! — rzekł Wojtek.

— Co ważniejsze, że naprzeciwko niema kamienicy, a gęste krzewy zakrywają ogródek i nasze mieszkanie od ciekawych oczu lokatorów bocznej oficyny, będzie więc można, korzystając z tego położenia, przy odpowiedniej strategji wielce nieraz urozmaicić sobie życie.

— Moi chłopcy, — odezwała się w tej chwili pani Rydlowa, stając we drzwiach balkonu, z czystemi ręcznikami w ręku, z któremi zmierzała widać do naszej umywalni — chciałam powierzyć waszej uwadze i delikatności ten balkon, a bardziej jeszcze ogródek, który znajduje się pod nim. Należy do gospodarza; dziwak to wielki, odludek, oprócz starego służącego nie widuje

prawie nikogo, rzadko kiedy wychodzi na miasto, w ogródku więc tym spędza całe dnie i uważa go za jakąś świętość, pielęgnując z czułą pieczołowitością. Pamiętajcież więc nie rzucać tam żadnych śmieci, papierków, niedopałków papierosów — jeżeli palicie — bo mógłby nam gospodarz wymówić mieszkanie, co byłoby wielką dla nas przykrością.

— Mogę zapewnić panią, że nic nie przybędzie w ogródku gospodarza z naszej przyczyny. Prędzej coś ubędzie!… — odezwał się Elek.

— Tak od czasu do czasu jaka sztamowa róża, gdy już zakwitną! — dorzucił Wojtek.

— Albo brzoskwinia, gdy to różowe kwiecie zamieni się w puszysty owoc… — zakończyłem.

— A niechże Bóg broni! — zawołała zgorszona pani Rydlowa — zawsze bywają policzone.

— Stary nocą przecie śpi! a gdy rano nie doliczy się kilku brzoskwiń, to pomyśli, że ktoś z podwórka je ściągnął! — zawołał Wojtek.

— Linę uwiązać u balkonu i można zjechać na dół jak windą elektryczną! — dodał Elek.

— Albośmy to nie pierwsi gimnastycy! Zrobi się!… — zawołałem, czując już smak tych zdobywanych nocą brzoskwiń.

Ale pani Rydlowa popatrzała na nas jakiemś dziwnem spojrzeniem swoich szarych, dobrych oczu i rzekła z prostotą:

— A siódme przykazanie?…

Przyznaję, żem się uczuł tak, jakby mi ktoś twarz w

pomyje wsadził. Skonfundowane miny Elka i Wojtka dowodziły, że doznali tego samego wrażenia.

W parę godzin potem, gdyśmy obaj z Elkiem stali przy stole, pochyleni nad mapami, wbiegł Wojtek z balkonu.

— Chcecie zobaczyć naszego gospodarza, to chodźcie! — zawołał.

— Idź sobie sam! co nam do gospodarza!

— A, bo to mało powiedzieć „gospodarz“. Ten człowiek, co tam siedzi w fotelu, na skórzanej poduszce, z nogami wyciągniętemi na wyścielanej ławeczce, to jest coś więcej niż zwykły gospodarz, to jest nad-filister! Opasły, leniwy w ruchach, z ręką na dzwonku, aby raz po raz przywoływać nieszczęśliwego niewolnika!… Powiadam wam!… Nie codzień spotyka się coś podobnego, warto popatrzeć!…

— Mam nadzieję, że nas pan Łopata, czy inny Rydel, nie wyrzuci jutro, jak rakarz, więc będziemy mieli czas napatrzeć się na tego filistra do obrzydzenia.

— Będziemy strzelali do niego grochem, celując w łysinę — rzekł Elek.

— A cóżby na to pani Kociuba, czy Łopata powiedziała!

— Godna niewiasta, uczciwy obiad nam dała, trzeba jej przykazanie szanować.

To mówiąc Elek, pod pozorem zrzucenia okruchów z mapy, zbliżył się do balkonu.

— Zlituj się, Elek, nie wyrzuć czasem okruchów do ogródka, bo z punktu zrobiłaby się heca.

— Jeszcze mi się żaba w mózgu nie wylęgła, — odparł flegmatycznie Elek, skręcając od drzwi balkonu ku umywalni — przecież widzisz, że idę do kubełka.

Wracając jednak, już bez obłudy wszedł na balkon. I ja, dla przeciągnięcia kości, podążyłem za nim. Wychyliliśmy się za parapet.

Nad-filister siedział w fotelu, w wygodnym pół-negliżu, w safianowych pantoflach i czapeczce, wyszywanej perełkami i czytał gazetę. Obserwowaliśmy go przez chwilę w milczeniu, do uszu naszych dochodził jedynie odległy, jednostajny gwar miasta, oraz ćwierkanie mamy-wróblicy, uczącej filozofji życia swe pisklęta. Nagle gruby pan rzucił się niecierpliwie w krześle.

— Nie, ten Bülow zawołał — już zanadto dokazuje!... posłuchaj, Ami, co on wygaduje!

I zaczął czytać długą cytatę z dziennika.

Wychyliliśmy się mocniej, aby zobaczyć, jakiego to przyjaciela ma nad-filister; ale w ogródku nie było nikogo, on zaś czytał, pochylony nad akwarjum.

— On rybie czyta! — zachichotał Wojtek.

— Wygodny słuchacz, — dodał Elek — przynajmniej zawsze jest tego samego zdania co mówca.

— Nie pokłócą się.

— Ale jeżeli można sądzić ludzi według ich przyjaciół, to nasz gospodarz musi być niezbyt mądry, bo karpie nie odznaczają się mądrością.

Gospodarz przeczytał ustęp i pochylony nad akwarjum, ciągnął:

— A to bestja zawzięta!… prawda, Amisiu?… Pozjadałby nas na surowo!… Kiwasz ogonkiem, że tak… o, machnąłeś energicznie… nie damy się, powiadasz!… Nie damy się, prawda?… Ty doczekasz się lepszych czasów, bo

ty długo żyć będziesz.

— Dla biednego karpia zawsze takie same czasy! — pomyślałem sobie.

A nad-filister, jakby odpowiadając na mój zarzut, dorzucił:

— I tobie wtedy będzie lepiej: będziesz na wolności, będziesz w Wisełce naszej szybował sobie od Czerska do Sandomierza, bo to okolica obfita w smaczne odpadki… Cóżeś tak otworzył dziobek?… Pytasz się, jak się to stanie?… A stanie się, stanie… Wiktor ma przykazane, i w testamencie tak napisałem, że po mojej śmierci mają cię swobodnie puścić do Wisły.

— A to mamut, egoista! Rozumie jakie to szczęście swoboda, ale biedną rybę będzie trzymał w szklanej klatce aż do swojej śmierci — odezwał się Elek, wracając do mapy.

— To prawda, jaki to brak serca — rzekłem, idąc za jego przykładem. — Żeby wziął sobie psa lub kota, to biegałyby swobodnie, ale nie, wybrał sobie stworzenie niewolniczo przykute do siebie.

— Pozbawione głosu i swobody ruchu!

— Pływające wkółko na przestrzeni nie mającej nawet łokcia średnicy, jak więzień chilloński[1] na swoim łańcuchu!

— Przez szklane tafle widzi świat piękny, zielony, ale próżno biłby łbem o zimne, twarde ściany.

Wzbierało w nas współczucie dla biednego karpia.

— Tam, do siódmej skóry!… — odezwał się Wojtek, uderzając szpicrutą po otomanie — lepiej byłoby tej rybie

skończyć odrazu pod nożem kucharki, niż takie długoletnie więzienie!

— Taki filister, co myśli jedynie o swych wygodach, może żyć sto lat!

— Ba, i sto dziesięć i sześć miesięcy!

— A karp zatyje i zdechnie, nie doczekawszy się otwarcia testamentu!

— I nie spełniwszy swego zadania…

— Nakarmienia jakiejś rodziny burżujów!

— Wiecie co, chłopcy, jak zrobimy!… Zarzucimy nocą wędkę i wyswobodzimy rybę.

— Pewnie ten sobek rybę na noc zabiera do mieszkania, żeby, jak tylko otworzy oczy; lubować mię widokiem nieszczęśliwej ofiary.

— Lepiej za dnia, przy sposobnej chwili; przecież nie przyrośnięty do swego fotela!

— Boć nie hermetyczny!

— Właśnie!… Musi czasem odejść! Skorzystamy więc z chwili, gdy go nie będzie… dalej wędka… pulchny robaczek i jazda, panie gazda!

— Tak, a jak nad-filister zobaczy przez okno, co się dzieje, przyjdzie tu z tęgim kijem.

— Nas jest trzech!…

— Ale mamę Łopacinę wyrzuci z mieszkania, a mama Łopacina nas z tej stancji.

— A gdzie się znajdzie drugą taką?… z balkonem.

— I z ogródkiem.

— I z takim okazem na dole!

— Poczekajcie, niepodobna przecie, żeby taki wygodniś

nie sypiał po obiedzie; trzeba tylko poznać obyczaje tego mastodonta, a znajdziemy odpowiednią chwilę.

— A jak już będziemy go mieli tutaj, to dalej… kula w łeb… na patelnię… patelnia na maszynkę…

— I kolacja gotowa.

— Albo wiecie co… jeszcze lepiej tak zrobię… Boć, jakby nie było, zjeść cudzego karpia, to…

— Siódme przykazanie, jak słusznie zauważyła mama Łopacina!… A my przecie działamy dla idei!

— Właśnie, zatem lepiej usmażmy rybę i spuśćmy ją zpowrotem do akwarjum; niech myśli, że mu się w słońcu upiekła. A z cudzej własności nie skorzystamy!

— Pysznie! wybornie! w górę Elka! — krzyknął Wojtek, przewracając kozła na otomanie.

II.

Po paru dniach obserwacji byliśmy już pewni, że się figiel nasz uda. Gospodarz o drugiej jadał obiad w stołowym pokoju przy otwartych drzwiach ogrodu, potem stary służący wynosił leżak i zaścielał go pledami i poduszką, a jego pan, rozebrany do bielizny, w płóciennym szlafroku, nakrywał się jedwabną derką w pasy i kładł pod tiulowym namiotem, chroniącym go od much i komarów. Taki sybarytyzm[2] oburzał nas do żywego.

— Tyle nędzy na świecie, a ten pasorzyt…

— Do stu bębnów! cały dzień próżnuje, myśląc tylko o swych wygodach!

— Nie mógłby to być czynnym członkiem kilkudziesięciu instytucyj filantropijnych?

— Niechby się nałaził po zaułkach, po suterenach i facjatkach, zarazby mu ten bęben, co go nosi przed sobą, do kształtu basetli przeszedł.

— Ale!… onby nawet łyżki strawy biednemu pożałował!

— A na pieniądzach leży!

— Nie mógłby to jakiej sieroty przygarnąć!

— Ii… on psu i kotu żałuje pożywienia, dlatego rybę wziął sobie za przyjaciela, bo to najmniej kosztuje!

— Bo to nic nie kosztuje!… trochę okruchów ze stołu i robaków, które usuwa z ogrodu!

— A samolub! a pasibrzuch! a pasorzyt!…

I tak zacinaliśmy się w naszej zawziętości, że ten projektowany złośliwy figiel wydawał się nam niemal misją pouczającą względem starego samoluba.

— Zobaczycie, — wołał Elek — że on każe go wyjąć, podsmażyć i zje!

— Rozumie się, taki kutwa nie zmarnuje smacznego kęska.

— Będzie miał obiad z naszej łaski!

— A właśnie jutro piątek!

— Oby już raz…

— Zobaczyć jego minę, gdy się pochyli nad usmażonym Amisiem!

— Nie kwapiliśmy się jednak, chcąc zbadać, jak długo i czy twardo sypia.

W tym celu robiliśmy różne eksperymenta. Raz Elek wygrał serenadę z „Pajaców“ na grzebieniu tak fałszywie,

że chyba wszystkie pająki, które są podobno wielce muzykalne, pouciekały z najskrytszych zakątków domu, lecz pan gospodarz nie rozbudził się. Innym razem Wojtek rurką po kropelce zaczął kapać wodę na grubą nogę naszego filistra, która wysunęła się z pod pasiastej derki, ale posiadacz jej, po kilkakrotnem konwulsyjnem drgnieniu stopy, schował ją pod nakrycie i spał dalej.

Gdy w dodatku trzy dni z rzędu drzemka trwała od trzeciej do szóstej, uznaliśmy, że nic nie ryzykujemy, jeżeli między trzecią a czwartą zasiędziemy na naszym balkonie z wędką spuszczoną do akwarjum.

Kto jednak miał dzierżyć wędkę? Wszczął się o to spór zawzięty; żaden nie chciał ustąpić. Skończyło się na ciągnieniu węzełków. Szczęśliwy los padł na mnie! Wobec tego wspaniałomyślnie ustąpiłem moim rywalom, jednemu zaszczytu zabicia i oskrobania ryby, drugiemu usmażenia — czynności, do których, mówiąc nawiasem, nie byłbym się wziął za żadną cenę.

Wędka nowa, elegancka, glista szampańska, włosie lekko wyprężone — lśni ponad akwarjum w promieniach słońca jak strzała Apollina. Serce bije mi jak młotem, Elek i Wojtek przechyleni przez parapet obserwują ruchy karpia. Nagle czuję szarpnięcie, a jednocześnie słyszę szept obu chłopców:

— Jest!

Podrywam gwałtownie wędkę, odrzucając ją za siebie. Nad głową moją przesunęło się tęczowo-migotliwe stworzenie, które z głośnem klaśnięciem padło poza próg naszego pokoju.

Nagle czuję szarpnięcie, a jednocześnie słyszę szept obu chłopców: Jest!

FOTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI
św. WOJCIECHA w POZNANIU

— Teraz wy, oprawcy, bierzcie się do roboty, to nie moja rzecz! — powiedziałem do braci i przechyliłem się przez poręcz balkonu, aby zobaczyć czy papa filister nie zbudził się czasem. Trudno jednak ukryć, że uciecha ostatnich dni z przygotowywanego figla znikła nagle, a miejsce jej zajął jakiś niesmak i niepokój. Słyszałem jak chłopcy krzątali się po pokoju, jak wzajemnie wydawali sobie rozporządzenia podawania różnych narzędzi, potem szum „primusa“ i skwierczenie masła zagłuszyło wszystko.

Ja tymczasem patrzałem na tarczę słoneczną, jak wspaniale staczała się poza ogród Pomologiczny, i nie wiem skąd przyszła mi iście żakowska myśl, że słońce, patrząc na nasz czyn, zarumieniło się ze wstydu.

Wtem wszedł Wojtek, z dumą pokazując usmażoną rybę.

— Powąchaj, jak pachnie — mówił — nie zjeść teraz tego, to już prawdziwe bohaterstwo.

— A jak spuścicie?

— Zrzucimy z balkonu.

— Można nie trafić… i po efekcie.

— Ja już to obmyśliłem — odezwał się Elek. — Oto mam tu prosty drut, spuszczam go w akwarjum, a teraz nadziewam karpia… o… fiut… zjechał pięknie!… Teraz drut wycofuję i wszystko w porządku!… Rybę słońce

usmażyło staremu kutwie!

— A teraz, chłopcy, radzę zamknąć balkon i opuścić mieszkanie, żeby stary, gdy się obudzi, nie mógł nas posądzić o ten figiel — rzekł praktyczny Wojtek.

— Chodźmy na miasto — poradziłem, czując się mocno rozdrażnionym.

— Nie możemy przecie wyrzec się przyjemności przyjrzenia się scenie zdumienia i wściekłości, która się tu rozegra — rzekł Elek.

— Słuchajcie, — zabrał znów głos Wojtek — mniej więcej za pół godziny stary się obudzi, przelećmy się zatem Alejami do Marszałkowskiej, ale potem wróćmy tu i wtedy zobaczymy.

Tak też zrobiliśmy. Niedaleko Marszałkowskiej spotkaliśmy Tadzia i Emila Sielskich, którzy zatrzymali nas dobry kwadrans, dość że wracając dążyliśmy kłusem, aby nie stracić ciekawego widowiska. Gdy wpadliśmy w podwórze i zapuściliśmy wzrok w głąb ogródka, myśleliśmy przez chwilę, że się to już stało, gospodarz bowiem siedział na leżaku, rozmawiając ze swym sługą.

— No i widzicie, zdaje się, że nie zmartwił się wcale, rozmawia najspokojniej z Wiktorem.

— Pewnie naradzają się, z jakim sosem podać rybę jutro na obiad.

— Dogodziliśmy mu!

Ale prawdopodobnie gospodarz opowiadał służącemu jakiś sen zabawny, śmiał się bowiem i gestykulował żywo. Opowiadanie swoje zakończył zwróceniem się ku akwarjum, prawdopodobnie ze zwykłem:

— Posłuchaj, Amisiu…

Nagle do uszu naszych doszło, naprzód pełne zdumienia, potem przerażenia, wreszcie rozpaczy:

— Co to?… co to?… co to?…

A potem głowa w czapeczce nachyliła się nisko nad basenem, drżące ręce zanurzyły się w wodzie, i nagle powietrze rozdarł spazmatyczny płacz. Doznałem uczucia, jakby ktoś w najbrutalniejszy sposób szarpnął mojem sercem, ogarnęło mnie pragnienie ucieczki jak najdalej od tego miejsca, jak najdalej od siebie samego. Rzuciłem się zpowrotem w stronę ulicy Marszałkowskiej.

Ledwiem uszedł kilkaset kroków, minął mnie Elek równie rozpędzony, z rękoma w kieszeni, ze spuszczoną głową; wpadł w ulicę Żelazną i zniknął w tłumie robotników, wychodzących z jakiejś fabryki.

Ciemno już było zupełnie, gdy powróciłem do domu; przygnało mnie znużenie i jakiś nieokreślony spokój. Pani Rydlowa przyjęła mnie lekką wymówką.

— Andrzej tak późno wraca… kapusta faszerowana była doskonała, ale wystygła… muszę odegrzać.

— Dziękuję pani, nie będę jadł; napiję się tylko herbaty.

— A cóż wy dzisiaj tacy bez apetytu? — Chryste Panie! Nawet Wojtuś ledwie skosztował kapusty!… Pewnie u jakiego koleżki… Ba, wszak to dziś św. Antoniego!… Jakieś imieniny, jakaś uroczystość!

— Tak, uroczystość, — mruknąłem — pani pozwoli, że wezmę herbatę do naszego pokoju?

— Dobrze, dobrze… czemużby nie!… Przyniosę też chleba i kapustę w rondelku, może później jeść wam się

zachce, to sobie odgrzejecie.

W pokoju naszym Elek i Wojtek „oblewali“ coś półgłosem, odwróceni do siebie plecami. Wziąłem książkę, ale nauka mi nie szła. Coś mnie ciągnęło na balkon, skąd zapach przekwitającego już bzu i rozkwitłego jaśminu napływał rozkoszną falą. Począłem chodzić po pokoju, powtarzając historję, i sam nie wiem, kiedy znalazłem się na balkonie. Ogródek wyglądał fantastycznie w księżycowym blasku. Tuż pod balkonem akwarjum, niezabrane na noc, srebrzyło się wielką, brylantową taflą. Wróciłem do pokoju i nie wiem skąd wyrwał mi się okrzyk:

— Bodaj was djabli wzięli, bracia Steczkowscy!

Cisnąłem książkę na podłogę i kuchennemi schodami zbiegłem na podwórze. Siadłem na podstawie staroświeckiej pompy, pamiątki przedkanalizacyjnych czasów, i wydobyłem papierosy, które paliłem tylko w chwilach wielkiego rozdrażnienia. Po chwili w drzwiach sieni ukazała się wysmukła sylwetka Elka, również z papierosem w ustach. Przeszedł kilkanaście razy wzdłuż i wszerz podwórko i zasiadł obok mnie na pompie.

Jakiś zegar wieczorny wydzwonił dziewiątą, gdy znowu w drzwiach sieni zjawiła się jakaś postać; po pochylonych plecach i siwej głowie poznałem Wiktora, służącego gospodarza. Postał kilka chwil we drzwiach, patrząc w naszą stronę. Zrobiło mi się gorąco, a Elek ścisnął nagle moją rękę. Wydało nam się, że jakaś groźna chwila nadchodzi. Niegroźny jednak bynajmniej popłynął ku nam głos starca:

— A która tam siedzi?

— To my — odpowiedzieliśmy jednocześnie.

— Kto taki?

— My, Steczkowscy.

Starzec zbliżył się.

— A to panicze!… Cóż dziś tak wysiadują po nocy?

— A co to wam przeszkadza? — odrzekłem szorstko.

— Bo chciałem drzwi zamknąć od dołu… Już po dziesiątej…

— To co innego!

— Panicze tak papierosiki ćmią… w sekrecie… zawsze tak bywa w tym wieku…

— Bynajmniej nie w sekrecie. Proszę też zapalić.

Podałem mu otwartą papierośnicę.

— Dziękuję… gdzieżbym ja…

— Nie palicie?

— Owszem, ale przecie tak… z paniczami?

— Ale proszę… bez ceremonji.

Zbliżyłem mój palący się papieros do papierosa, który wziął wreszcie Wiktor. Chwilę panowało milczenie. Nagle Elek odezwał się jakimś dziwnie zmienionym, jakby nie swoim głosem:

— Co wasz pan tak dziś płakał, desperował?

— Ach, proszę pana, u nas dziś także nieszczęście się stało… myślałem, że nie utulę mego pana. I takie to dziwne… w głowę zachodzimy, kto to i poco zrobił?

Nie kwapiliśmy się z pytaniem, o co idzie, ale stary, puściwszy parę razy dymek, sam ciągnął dalej.

— Pan Turzyński, niby mój pan, miał karpia ulubionego… strasznie była bestja mądra… pan lubił go,

jak nie wiem co… No i dziś jakiś niegodziwiec, wtedy gdy obaj z panem spaliśmy po obiedzie, musiał zakraść się do ogrodu, zabrał rybę z basenu, usmażył i zpowrotem rzucił do naczynia… A, żeby go pokręciło!… to pewnie któryś z lokatorów z bocznej oficyny; mieszka tam kilka rodzin takiego tałatajstwa, co to wiecznie z niego niezadowolone… to, że im pan co kwartał mieszkania nie odświeża, a to, że do ogródka nie da włazić… Ale jak to puścić taką hołotę!… Toć za tydzień byłoby tu jeno niebo i ziemia.

— Pewno.

— No i tak się pomściły gałgany! Wiedzieli, jak najlepiej dokuczą, bo pan kochał tę rybę, kochał jak…

— Ale czemu to właśnie rybę wybrał sobie na faworyta? — próbowałem bronić sprawy.

— Czy dlatego, że utrzymanie jej najmniej… — zaczął Elek.

— Dlatego, — przerwał Wiktor — dlatego, widzą panicze, że to karp najdłużej żyje… powiadają ludzie, że i trzysta lat… »Już ten aby przeżyje mnie«, mawiał mój pan. Bo to, widzą panicze, pan Turzyński to dziwne ma szczęście, a raczej nieszczęście — nic mu się nie chowa… Wychował dwóch braci — jeden się zastrzelił, drugi umarł na suchoty. Ożenił się, żona tylko dziesięć lat mu pożyła. Miał troje dzieci, wymarły aniołki w ciągu dwóch lat… Strasznie pan rozpaczał… To potem wziął sobie chłopca na wychowanie, takiego Genia, miał dziesięć lat. Miły był i mądry. Chował się u nas przez pięć lat… Ale cóż, jak cztery lata temu zaczęły się u nas w kraju różne awantury, wziął i

uciekł… Licho wie, gdzie przystał… A szkoda go, chłopak był… choć do rany przyłóż… ale hardy!… ho, ho!… Co się pan napłakał, narozpaczał… Tak jak po własnych dzieciach. Potem, jakoś we dwa miesiące, przybłąkała się psina… ani weź odpędzić… Przywiązaliśmy się oba do niej. Bywało na krok pana nie odstępowała. To raz poszła z panem za rogatki i wściekły pies ją pokąsał, zawieźliśmy do weterynarza do lecznicy… nie uratowali jej, tyle tylko, że ją namęczyli… To potem znowu mały kotek się przynęcił… znowu na nasze nieszczęście; taka szelma była miła, figlarna, że jak jęła dokazywać, to choćby największy smutek, musieliśmy się uśmiać. Jechaliśmy na wieś na lato, pan ją zabrał ze sobą… przecież zdziczałoby to przez tyle czasu… Śmiali się z nas w drodze, że się z kotem wozimy. A my wieźliśmy go na śmierć, bo go psy biedotę na tej wsi rozszarpały… To potem pan powiedział: »Wezmę sobie karpia, bo to przynajmniej długo żyje i w takiem szklanem pudełku bezpiecznie… nic mu się nie stanie… aby jedno mnie przeżyje…« No i…

— Jędrek chodź spać! — zawołał, zrywając się Elek.

— Dobranoc.

— Dobrej nocy, panicze, dziękuję za grzeczność.

Byliśmy już pod drzwiami naszej kuchni, gdy doszły nas słowa Wiktora, zamykającego drzwi na sztabę.

— Poczciwe chłopcy, ci Steczkowscy,

Wydało mi się, że mnie te słowa smagnęły jak uderzenie bicza.

W pokoju dogasała lampa, swędząc niemiłosiernie. Wojtek spał w ubraniu na łóżku.

— Wojtek, rozbierz się — rzekłem, targając go za ramię.

Wykonał ruch nogą wcale nie dwuznaczny i mruknąwszy ze złością: *Paszoł!*… zakopał się twarzą w poduszkę.

Machnąłem ręką i zwróciłem się do mego łóżka. Elek tymczasem zgasił lampę. Rozbieraliśmy się przy świetle księżyca, nie mówiąc do siebie ani słowa.

Mój siennik wydał mi się niemożliwie twardym, poduszka palącą; leżałem jednak wyciągnięty jak struna, snując smętne obrazy, w których stałym bohaterem bywał pan Turzyński, stojący nad zwłokami swych dzieci, to ulubieńców, kończących żywot w coraz to tragiczniejszy sposób… aż do tego usmażonego, ostatniego… jak za barbarzyńskich czasów… karpia. I to my, uczniowie VI i V klasy, my, cośmy się uważali za wykwintnych duchowo, my bracia Steczkowscy, pozbawiliśmy nieszczęśliwego starca ostatniego ulubieńca!… Drgnąłem… wydało mi się, że do uszu mych doszło łkanie z pod podłogi. Jąłem nadsłuchiwać… Nie, to Elek szlochał pod kołdrą.

Pierwsza moja myśl była: pójdę, pocieszę go, ule się wstrzymałem. I cóż mu powiem? Łajdak jesteś!… taki sam jak ja!… Wtedy Elek podniósł się z łóżka, zbliżył do stołu i zapalił lampę, lecz gdy ta zaczęła natychmiast gasnąć dla braku nafty, zaklął i wyciągnąwszy szufladę, po długich poszukiwaniach wśród ciemności, wydobył z niej kawał świecy, zapalił, a przykleiwszy do stołu, wyjął portmonetkę z kieszeni spodni i począł obliczać jej zawartość.

Niedługo to trwało. Poszedł więc do kosza, otworzył kłódkę, wyjął glinianą skarbonkę i jednem uderzeniem trzonka od noża stłukł ją na drobne skorupy. Liczył znowu,

dołączył szereg miedziaków do kilku sztuk srebra, wyjętych z portmonetki, i westchnął ciężko.

— Co ty robisz, Elek?

Drgnął i mimowolnym ruchem zmieszał pieniądze.

— Nic.

— Nacoś chciał użyć tych pieniędzy?

— Et, tak sobie liczyłem.

— Elek, nie kręć.

— A bo co!… A czego ty nie śpisz?

— Dlatego, dlaczego i ty spać nie możesz.

— A bo… do stu tysięcy!…

— Ryba nam obu sumienie gryzie!

Elek coś mruknął.

— Wiesz, u Sunderlanda widziałem cudną rybę, karpika, ale jakiegoś nadzwyczajnego, nawet w wodzie mieni się jak tęcza; ale kosztuje aż trzy ruble! A ty masz ile?

— Rubel siedmdziesiąt…

— Ja pewno będę miał z rubla, Wojtek też musi dołożyć, przecież i on brał udział w tej zbrodni.

— On był inicjatorem!

— Tyś jego pomysł tylko udoskonalił.

— A teraz śpi, łotr … bez serca!…

Z wściekłością cisnąłem w niego grubym słownikiem.

Zerwał się wystraszony.

— Co to?

— Wstawaj, bałwanie!

— Bo co?!

— Bo kupujemy rybę dla gospodarza.

— To ruszajcie na miasto!… Tu nie hale targowe. A

mnie się spać chce!

Mimowoli uśmiechnęliśmy się, spojrzawszy po naszych opłakanych negliżach.

— Jutro po szkole kupimy rybę, przyniesiemy w słoju i damy Wiktorowi, żeby ją wpuścił do akwarjum, gdy pan Turzyński będzie spał.

— Chyba nie każe jej wyrzucić.

— Przywiąże się do niej znowu.

— A my weźmiemy ją w swoją przemożną opiekę.

— Będzie córką regimentu!

— Pupilką braci Steczkowskich!

— No, dobranoc ci, Jędrek.

— Już teraz będziesz spał?

— Tak… ulżyło mi.

Nazajutrz, gdy wróciwszy ze szkoły, wyszliśmy na balkon, ujrzeliśmy ze zdziwieniem, że pan Turzyński miejsce swej poobiedniej siesty przeniósł z pod naszego balkonu w głąb ogródka, pod krzaki bzu. Leżał, tak jak codzień, okryty pasiastą derką, nie spał jednak, zgasłemi oczyma śledząc za pliszką, która przeskakiwała z gałązki na gałązkę. Wydał nam się starym, bardzo starym i biednym…

Wieczorem, z wielkim słojem w ręku, czatowaliśmy na Wiktora. Jak codzień zjawił się uderzeniem dziesiątej.

— Mój Wiktorze, — rzekł odważniejszy ode mnie Elek — weźcie tę rybę… karp… ale rzadki gatunek… podobno równie wytrwały i łatwy do chowania… Wpuśćcie go do akwarjum.

— Jakto?

— A no wpuśćcie, żeby pan miał znowu jakieś żywe

stworzenie.

Wiktor patrzał chwilę ze zdumieniem, potem począł szybko mrugać powiekami, przetarł dłonią oczy i rzekł zmienionym głosem:

— Poczciwe, poczciwe chłopcy… panicze!

Pochylił się, jakby chciał całować nasze ręce, które cofnęliśmy z pomieszaniem.

— Tylko widzicie, panicze… ja nie wiem, czy pan będzie chciał… wczoraj zaklinał się, że już żadnego stworzenia nie przygarnie, kiedy ma taką nieszczęśliwą rękę… boi się przywiązać i…

— To tylko w pierwszej chwili tak się człowiek zacina.

— A potem jeszcze jeden kłopot; wczoraj kazał pan schować akwarjum, tak aby nigdy go już nie zobaczył, i podstawę wynieść… Nawet w innem miejscu siada, aby prędzej o Amisiu zapomnieć… Dużośmy się wczoraj namordowali ze stróżem, zanim wynieśliśmy ten marmurowy blok i żelazną podstawę. Sam nie dałbym rady, a stróża wołać!… to pan będzie pytał się poco?

— A o której pan wstaje?

— O siódmej.

— A Wiktor?

— O, ja już o piątej na nogach.

— Zatem jutro o szóstej przyjdziemy obaj z bratem i pomożemy przenieść to zpowrotem do ogrodu.

— A no, jak panicze *takie łaskawe*… byle to potem kramu z panem nie było.

III.

Nazajutrz od godziny trzeciej rano budziliśmy się co chwila, aby się nie spóźnić do roboty. Udało się nam składnie. Tęczowy karp pływał w świeżej wodzie, trochę gniewnie trącając o ścianki akwarjum i zapoznawając się z roślinkami i skałą.

My obaj od siódmej nie schodziliśmy z balkonu.

Wreszcie do uszu naszych doszło pełne gniewu:

— No i pocóż to przyniósł znowu!… A to co!… Et głupi stary, pocoś to sprowadził?

— To, proszę pana…

— Znowu zmarnieje w moim przeklętym ręku!… Jaki ptak wyciągnie go z akwarjum, albo czystą wodą się zatruje… Zabierz to… Nie dla takich jak ja nieszczęśliwców…

— Proszę wielmożnego pana, ta ryba może będzie się chowała, bo to nie przybłęda, ani przez nas kupiona, ale życzliwą ręką dana…

— I Genio był mi życzliwą, kochaną ręką dany, a…

Głos mu się załamał.

— Miał już pan nie wspominać!

— Życzliwa ręka!… Ja wiem, że ty masz życzliwą rękę, aleś nieszczęśliwy tak jak ja!

— Boże mój, to nie ja!… Pan nie chce słuchać!… To ci panicze z góry przynieśli, prosili…

— Jacy panicze?

— A no Steczkowscy, co u pp. Rydlów mieszkają.

— Oni? a to skąd?

— Ja coś niecoś wspomniałem o naszem zmartwieniu z powodu Amisia…

— Stary papla!

— No i przynieśli rybkę… proszą, błagają…

— To dziwne!… Powiadasz, mieszkają u Rydlów?

— A no tak, nad nami.

— Rzeczywiście widywałem na balkonie uczniów, dziwiłem się nieraz, że tacy porządni, nigdy papierów i niedopałków nie rzucają.

— Widzisz, niezdaro, jesteś porządny i zacny — szepnął w tej chwili Elek, dając mi sójkę w bok.

— Proszę chłopców na śniadanie — zabrzmiało za nami.

Gdy po powrocie ze szkoły wybiegłem na balkon, ujrzałem pana Turzyńskiego, stojącego w ogródku i patrzącego w nasze drzwi. Jak tylko ukazałem się, spuścił głowę, udając, że szuka zawzięcie czegoś na sztamowej róży. Po chwili jednak podniósł znowu twarz, przez którą przemknęło coś jak uśmiech.

Karpik uwijał się po akwarjum.

Kończyliśmy obiad, gdy weszła kucharka wołając od drzwi:

— Tam lokaj od gospodarza chce się widzieć z którym z paniczów.

Zerwaliśmy się wszyscy trzej.

— Ty siedź!… To nie twój przyjaciel — zawołałem do Wojtka… — On się z oprawcami nie zadaje!

Wiktor stał w kuchni uśmiechnięty, mając na talerzyku sześć olbrzymich truskawek.

— Mój pan przysyła dla paniczów.

— Truskawki takie piękne, o tej porze! chyba nie z ogródka.

— My mamy też inspekcik.

— Proszę bardzo podziękować panu.

Oboje państwo Rydlowie byli przy stole, wypadło więc ich poczęstować przysmakiem. Galanterję naszą posunęliśmy aż do ofiarowania p. Rydlowej dwóch truskawek, zaco Wojtek kopnął mię pod stołem tak silnie, że kolano bolało mnie przez kilka godzin.

Po obiedzie p. Turzyński spał już na dawnem miejscu, a my kuliśmy zawzięcie, jak zwykle pod koniec roku. Dopiero o szarej godzinie wyszedłem na balkon odetchnąć świeżem powietrzem, a ujrzawszy gospodarza, zbierającego chrabąszcze z róż, zdobyłem się nagle na nieoczekiwaną odwagę i zawołałem, szurgając głośno nogami przy wykonywaniu ukłonu na żelaznym balkoniku:

— Dziękujemy panu gospodarzowi za wyborne truskawki.

Pan Turzyński drgnął, zmieszał się jak pensjonarka i odparł ze spuszczoną nad kwiatem twarzą:

— Niema zaco.

A po chwili dodał:

— To ja wam dziękuję za rybkę, choć doprawdy to niepotrzebne.

— Bardzośmy szczęśliwi, że pan nią nie pogardził.

— Byle jej znowu jakie nieszczęście nie spotkało.

— Zawsze weselej, gdy jakieś stworzenie ożywia naturę — rzekłem, przerywając smutną uwagę.

Gospodarz milczał, ale zerknął kilkakrotnie w moją

stronę; raz ostatni doprawdy, że z uśmiechem.

— Śliczny pan ma ogródek, tak starannie utrzymany.

— Bo i porządni nad nim lokatorowie… nie śmiecą, nic nie wyrzucają…

— Jest to naszym obowiązkiem, panie gospodarzu… Bodaj cię!…

Okrzyk ten wyrwał mi się, bo w ponownym ukłonie, podeszwa zaczepiła mi się o rurkowane żelazo balkonu, tak że zelówka prawie w zupełności się oderwała.

— Coś pan mówił?

— Nic, panie gospodarzu, mówiłem że nam się ogródek bardzo podoba, i że obowiązkiem naszym jest uszanować go.

— To przychodźcie sobie czasem posiedzieć w nim. Powiem Wiktorowi, żeby wpuszczał panów… jak mnie niema.

— A gdyby pan był?

— To także… ale co wam za przyjemność jak ja jestem… stary mantyka… Nie, nie! nie przychodźcie, kiedy ja jestem… przyniosę wam nieszczęście!

— O, zawracanie głowy!… Przepraszam, ja chciałem tylko powiedzieć, że ja nie wierzę w takie rzeczy i, jeżeli pan pozwoli, to będę przychodził do pana nawet przed najtrudniejszym egzaminem i że, że się mimo to nie obetnę.

— Co ty wiesz, moje dziecko. Bywają ludzie nieszczęśliwi, przynoszący pecha!

— A ja się nie boję i zaraz przyjdę do pana, jeśli pan pozwoli?…

— Ale bo… nawet teraz to choćbym chciał, to nie mogę

cię wpuścić, bo Wiktor poszedł i zamknął furtkę na klucz.

— To ja się spuszczę po prześcieradle, jak to uczynił Wilhelm, uciekający z Wawelu — zawołałem uszczęśliwiony perspektywą przygody.

Skoczyłem do pokoju po prześcieradło i sznurek, choć słyszałem, jak gospodarz wołał:

— Czekaj, warjacie, to już wejdź lepiej przez mieszkanie!

Ale ja wolałem mój romantyczny sposób. Przywiązałem skręcone prześcieradło do balkonu, ryzykując nawet skok z niemałej wysokości. Pan Turzyński przyglądał się formalnie przerażony, a gdym się ześliznął z prześcieradła i gotował do skoku, podbiegł i schwycił mnie w swoje objęcia. Chwilę pozostaliśmy tak w niemym uścisku, serca biły nam obu mocno tuż przy sobie i to pewne, że gospodarz przetrzymał mnie dłużej przy niem, niż wymagały okoliczności. Gderał potem trochę za nieostrożność i fantazję, ale widziałem, że był rad.

Posiedziałem z godzinę, rozgadaliśmy się obaj, a Wiktor, gdy przyszedł, popatrzał na mnie, naprzód ze zdumieniem, a potem z wdzięcznością, aż mi się cieplej zrobiło.

Tak się rozpoczęła moja bliższa znajomość z p. Turzyńskim. Nazajutrz poszliśmy obaj z Elkiem, już cywilizowanym sposobem, po oczyszczeniu mundurów, a że to była sobota, zagadaliśmy się do późnej nocy.

Odtąd bywaliśmy tam codziennymi gośćmi. W ten śliczny, staranny, wonny ogródek wnosiliśmy naszą młodość, wesołość, butę, a starzec okryty pledem patrzał na nas serdecznie, choć czasem wypukłe jego oczy zachodziły

mgłą łez, a twarz przybierała wyraz melancholji.

Wiktor bywał zwykle obecny przy naszych rozmowach; oparty o drzewo, kiwał siwą głową i śmiał się do rozpuku „z kawałów“, jakie im opowiadaliśmy.

I bywało nam rzetelnie dobrze w owych chwilach. Lecz wkrótce wakacje przerwały nasze wizyty.

W wigilję wyjazdu zaprosił nas p. Turzyński na herbatę. W strasznie sztywno i szablonowo urządzonej jadalni był jeszcze gościnniejszym gospodarzem niż w ogródku.

— No widzisz, mój Jędrusiu, — mówił, gdy po lekcji zasiedliśmy w ogródku — czy nie miałem racji, broniąc się zawierania znajomości z wami? Rozbałamuciliście mnie, a teraz rzucacie, abym…

— Wrócimy, proszę kochanego pana.

— I znowu będziemy się naprzykrzali.

— Przecie we wrześniu i w październiku bywają bardzo piękne dni; w ogródku przyjemniej siedzieć niż w mieszkaniu.

— Ależ my będziemy przychodzili i w grudniu i w lutym i kiedy pan zechce!… Zasiądziemy przy okrągłym stole, czytając gazetki… te z naszej partji… bośmy jednej orjeniacji z szanownym panem!…

— Moi chłopcy kochani, doprawdy zawstydzacie mnie swoją uprzejmością… Co wam za przyjemność ze mną starym?

— Taka jak panu z nami.

— O, to zupełnie co innego!… Wy to jak…

Urwał nagle, głowę opuścił na piersi, ręce splótł na kolanach, wargi mu zadrżały, a po chwili zaczął mówić

głosem cichym, jakby sam do siebie:

— Stach i Zygmunt byliby starsi, o tak… Stach już miałby dzisiaj dwadzieścia osiem lat… mężczyzna… Genio to w sam raz byłby w waszym wieku… osiemnaście lat… starszy o rok od Jędrka i Elka.

— O, miał pan nie wspominać już zmarłych, nie rozżalać się — wtrącił Wiktor.

— Żeby się nie rozżalać, powinienbym nie wspominać przedewszystkiem tego żyjącego… Co to gadać… Nie odrobi się!… Albo owszem, powiem wam… Niech to będzie nauką dla was, jak trzeba szanować święte uczucia i jak jedno zapomnienie w tym względzie może stać się nieszczęściem dla jednej strony, a zmarnowaniem życia dla drugiej…

Przetarł oczy, ścisnął skronie i ciągnął dalej cichym głosem:

— Widzicie… Bo to ja dziwnie nie miałem szczęścia… materjalnie i owszem: miałem dobrych rodziców, dobrą żonę, dobre dzieci i przyjaźni ludzkiej mi nie brakło… tylko byłem, jak ten ojciec zadżumionych, wszystko wokoło mnie umierało… Był taki okres w mojem życiu, że w ciągu pięciu lat pochowałem sześć najbliższych i najdroższych istot… tak, pogrzeb za pogrzebem, jakby kto kawałkami serce wyrywał i rzucał z grudkami piasku na te trumny i trumienki.

— Et, proszę pana, bo sobie pójdę — mruknął Wiktor.

— Dajcie pokój, Wiktorze, — rzekłem cicho — nie przerywajcie, dobrze jest czasem uchylić wieko zamkniętego w bólu serca… Więc przez pięć lat sześcioro

najbliższych to okropne… — dodałem, zwracając się do p. Turzyńskiego.

— Ostatnim z tych sześciu ciosów była śmierć mojej matki staruszki… w sześć tygodni po ostatnim wnuku. Zawezwany telegramem pojechałem do Koła, gdzie mieszkała stale. Zastałem ją dogasającą, a przy niej daleką kuzynkę, która od dzieciństwa chowała się w domu moich rodziców. Dobra była i niezmiernie zdolna, ale zanadto rwała się do wszystkiego co nowe lub rozgłośne. Zapragnęła pójść na medycynę. Rodzice moi nie przeszkadzali. Pojechała Kocia do krewnych w Kijowie zdawać egzamin gimnazjalny, bo tam miało być łatwiej. Nieszczęśliwy to był pomysł… Wpadła tam w kółko ludzi rozpolitykowanych, ona sama gorąca głowa, rwała się do czynu, więc posługiwali się nią, gdzie się dało i nie dało… Aż dochrapała się więzienia, a potem zesłania… w Zakaspijskim kraju znalazła męża, Polaka, niejakiego Kolińskiego. On już stamtąd nie wrócił, a ona powróciła z synkiem i starganem zdrowiem, to też niedługo po śmierci mojej matki zmarła i ona… Ale wówczas w Kole, na pogrzebie mojej matki udało mi się namówić Kocię do zamieszkania z synkiem u mnie w Warszawie. Przystała na to, i byli mi oboje słodką pociechą w mojem sieroctwie i osamotnieniu. Robiłem co mogłem, żeby wyrwać ją ciężkiej sercowej chorobie… napróżno… Genio, jak to dziecko, pierwszą rozpacz przebolał prędko, ale została w nim tęsknota za matką i cześć dla jej pamięci wprost bezgraniczna. Sprawował się wzorowo, bywał zawsze pierwszym uczniem… Żebyście wy widzieli jego kajety!…

Wiktor, przynieś skrzyneczkę tę… wiesz?… Profesorowie nachwalić go się nie mogli… A serce miał takie jak matka… każdy grosz przeznaczony na przyjemności oddał biedniejszym… O patrzcie, te kajety… jak to pisane, jak utrzymane… a gdzie otworzyć: 5, 5, 4, „doskonale“.

I drżącemi rękoma, ożywiony nadzwyczaj, wyjmował kajety z mahoniowej skrzyneczki, oprawne w błyszczący staroświecki papier, ze starannie wykaligrafowanym podpisem na każdym: Eugenjusz Koliński. Pan Turzyński zagłębiał się w te pamiątki, odczytywał urywki z ćwiczeń, aż zatrzymał się na jednym, na którym nauczyciel napisał: „Będzie z ciebie człowiek“.

— Wszyscy to przepowiadali, i byłby z niego bez wątpienia, gdyby nie jego zapalczywość i moje uniesienie!… Chłopak egzaltowany, wciągany w jakieś tajne kółka, niepokoił mnie, drżałem, że spotka go los rodziców. Tak się bałem utracić go! Raz przy gwałtownej sprzeczce powiedziałem mu, że ma po matce szaloną głowę i że skończy albo jak ojciec na tułaczce, albo jak matka przedwcześnie na łaskawym chlebie… Obraziłem go w najświętszych uczuciach, więc też uciekł, wzgardził moim…

Ostatnie słowa rozpłynęły się w łkaniu. Nie wiem, jak się to stało, alem się znalazł na piersiach p. Turzyńskiego i spostrzegłem, że Elek tuli się do niego z drugiej strony, a Wojtek przypadł do kolan i chlipie cicho. I długośmy tak pozostali, złączeni w uścisku, aż p. Turczyński uspokoił się i jaśniejszym już głosem dodał:

— Nie można się dziwić, że po takiem powiedzeniu

poszedł sobie w świat!

— Owszem trzeba się dziwić! — zawołał z mocą Elek — nie zapomina się o całych latach dobroci dla jednego uniesienia.

— Może on poszedł w świat tylko, aby dowieść panu, że i bez pańskiej łaski wyjdzie na człowieka — odezwałem się. — A gdy się to stanie, odnajdzie pana, aby mu się odwdzięczyć za wszystko dobre, które otrzymał od niego.

Pan Turzyński pochwycił mnie gorączkowo za rękę.

— I ty tak myślisz… Ja się zawsze tem pocieszałem… I ty tak myślisz… Jak to dobrze… jaką ty masz szlachetną duszę… Ale widzisz, ja się boję, że go tam nędza zjadła i te czasy niespokojne… Ty myślisz, że łatwo przebić się przez życie chłopcu biednemu, który mając lat 16 wchodzi w nie, uzbrojony tylko dziesięciu palcami.

— Proszę pana, dwunasta godzina bije! — zawołał zdumiony Wiktor.

— Jakto czas szybko upływa! Od dziesięciu lat nie zasiedziałem się jeszcze tak długo. A wy jutro rano?…

— Tak, o wpół do szóstej.

— Trzeba nie mieć sumienia, żeby was tak wytrzymać!… No, Bóg wam zapłać, chłopcy!… I szczęśliwej drogi… A jeśli wam naprawdę nienajgorzej ze mną, to nie zaniedbujcie mnie po wakacjach, nie zapominajcie przez lato!

— Ja będę panu pocztówki przysyłał, do siódmej skóry!… Mam kolekcję śliczną! — zawołał Wojtek.

— Dziękuję, dziękuję… Zatem obiecujecie?

— Obiecujemy i cieszymy się!

— Niech was Bóg prowadzi i przyprowadzi!

IV.

Wakacje, wakacje pełne swobody, gwaru, zamętu, ciepła rodzinnego, bujnej natury w pełnym rozwoju lipca i sierpnia, i bujniejszej jeszcze w piersi siedemnastoletnich młodzieńców, minęły szybko, zostawiając wspomnienie jakby wesołej, serdecznej humoreski.

Bez przykrości jednak wracaliśmy do szkoły; Steczkowscy bowiem, renomowane łobuzy, uczyć się lubili, książka nie była nigdy dla nich postrachem.

Pan Turzyński przeszedł latem jakąś ciężką chorobę, schudł też bardzo i postarzał się, ale powitał nas z dawną serdecznością, zapraszając na stałe przesiadywanie w ogródku, z czego nie mogliśmy dostatecznie korzystać, gdyż początek roku szkolnego zbyt nas pochłaniał.

W szkole ubyło kilku kolegów, przybył zaś tylko jeden, Marjan Pawlikowski z sześcioklasowej szkoły w Kole. Posadzono go przy mnie. Facet dosyć sympatyczny. Po kilku dniach obcowania w jednej ławce, spostrzegłem wypisane na podręczniku kosmografji: Eugenjusz Koliński… Aż podskoczyłem.

— Skąd macie tę książkę?

Marjan spojrzał zdziwiony.

— Jakto, skąd mam?… kupiłem ją… Czy myślicie, żem komu ściągnął?

— Ach nie, co za myśl… kupiliście, naturalnie… w

antykwarni, tylko mnie to nazwisko uderzyło.

— Właśnie, że nie w antykwarni, ale wprost od Kolińskiego.

— Znacie Kolińskiego?

— Był moim korkiem.

— Eugenjusz?

— Eugenjusz.

— Sierota bez ojca i matki?

— Tak, zupełny sierota, dzielny chłopak.

— Gdzie on teraz, gdzie?

— Skończył szkołę jako pierwszy uczeń, ale nie miał na przyjazd do Warszawy, przyjął kondycję u aptekarza w Kole, żeby zarobić sobie na dalszą naukę.

— Więc on jest w Kole? jest i teraz?

— To wasz krewny?

— Więcej niż krewny!… Kolego, żebyście mi ćwierć funta sturublówek położyli, to nie sprawilibyście mi takiej radości, jak tem odkryciem!

Wejście profesora przerwało naszą rozmowę. Po skończonej godzinie skoczyłem do Elka.

— Elek, Elek, wiesz co, łotrze jeden, odnalazłem Genia Kolińskiego !

I opowiedziałem wszystko. Elek omal mnie nie udusił z radości. Potem zrobiliśmy naradę: czy powiedzieć zaraz p. Turzyńskiemu, czy napisać do Kolińskiego, aby przyjechał do dawnego opiekuna, który tak bardzo tęskni za nim.

To wydało nam się właściwszem. Wieczorem zabraliśmy się do pisania listu, ale napróżno mordowaliśmy papier i pióro, a najbardziej własne głowy; sprawa, którą mieliśmy

poruszyć, była tak drażliwa i delikatna, że nie umieliśmy ubrać jej w słowa. Wobec tego postanowiliśmy wyzyskać okoliczność, że w najbliższą sobotę wypadała galówka, i pojechać samym do niego.

Cieszyliśmy się na tę podróż całą duszą. Państwu Rydlom i Wojtkowi powiedzieliśmy, że zaproszeni jesteśmy do kolegi.

Pierwszym pociągiem ruszyliśmy do Kutna. Byliśmy weseli, jakbyśmy już jechali na święta. Kupowaliśmy po drodze dzienniki, w Skierniewicach kazaliśmy podać sobie kawę do wagonu, zjedliśmy aż po trzy ptysie i postanowiliśmy sobie, że gdy będziemy wracali z Kolińskim zjemy po cztery.

Tu jednak nasunęła mi się jedna refleksja: być może, że nasz przyszły towarzysz nie będzie miał na bilet, trzeba więc od wszelkiego wypadku mieć tyle, aby móc mu zaawansować.

Obliczyliśmy nasze kapitały; starczyło nam doskonale na trzy bilety i pozostało jeszcze 65 kop. Te trzeba było zachować na pożywienie w ciągu dzisiejszego i jutrzejszego dnia, możność zaś przejechania przestrzeni między Kutnem a kołem karetką została wykluczona.

— Wielka heca! — zawołał Elek — to pójdziemy piechotą; pogoda, ciepło… będzie spacer.

I rzeczywiście puściliśmy się pieszo, przepytawszy się poprzednio o drogę i trzymając się pilnie szosy. Gdy jednak noc zapadła, zrobiło się tak ciemno, że drżeliśmy w naszych lekkich paltach; postanowiliśmy przeto zanocować w pierwszej lepszej oberży lub chałupie.

Musieliśmy jednak iść dobrą godzinę jeszcze, zanim jakieś światełko przy drodze zapaliło w nas nadzieję ogrzania się i przespania pod dachem. Jęliśmy dobijać się do drzwi, nad któremi zawieszony wieniec ze świeżego zboża świadczył, że niedawno winszowano tu plonu. Kołatanie nasze rozbudziło naprzód dziecko, które odezwało się cienkim dyszkantem, potem kobietę, która poczęła wołać wystraszonym głosem:

— Maciek! Maciek! o rety, drzwi wyłamują!

— A kto tam? — huknęło ze środka.

— Proszę otworzyć, podróżni…

— Nie otwieraj, Maciek, niech ręka Boska broni… pewno bandyty!

— Wynośta się, u nas pieniędzy niema… głupi tylko trzyma pieniądze w chałupie w te czasy.

— My nie chcemy pieniędzy, tylko noclegu.

— A to se szukajta noclegu we świecie, tu nie oberża!

— Ależ, mój gospodarzu, dajcie nam gdzie się przespać… może jaka stodoła, albo obórka.

— Juści, juści, obórka, stodółka… To wejdźcie do drewutni, która jest wedle chałupy.

— Na prawo, czy na lewo?

— Na lewo.

— Psia kość słoniowa, żebyś piekła nie oglądał, że nam taki bydlęcy nocleg przeznaczasz — mruczał Elek, zmierzając ku uchylonym drzwiom jakiejś przybudówki.

Przy blasku zapałki spostrzegliśmy, że była zupełnie pusta, w kącie leżało tylko kilka kloców drzewa, poza tem nic, nawet garści słomy.

— Bodaj mu pierzyny robaki stoczyły! — klątem ze złością.

— Cicho… otwierają drzwi chaty.

— Zmiękło w nim serce, ulituje się nad naszemi gnatami.

— Zawszeć poczciwy ten nasz ludek.

Kroki zbliżały się do naszych drzwi, ale dziwnie cicho i ostrożnie. Nagle usłyszeliśmy trzask zakładanego skobla, przesunięcie jakiegoś żelaza, a potem zgrzyt klucza.

— Co to?… Zamknęli nas!

— Siedźta teraz — usłyszeliśmy z zewnątrz. — Myśleliśta, żeście trafili na głupiego, który da wam tu siedzieć, póki reszta nie nadejdzie, a potem weźmieta strzelać z *braulingów* i »dawaj pieniądze«… Aha, malowana figa!… Maciej Ziółko nie głupi, wie, co się święci… Idę po chłopów i po sołtysa… Wypisze wam protokół na skórze.

I odszedł, nie słuchając naszych zaklęć i zapewnień niewinności.

Położenie było groźne. Wiedzieliśmy, że lud rozgniewany częstemi napadami bandyckiemi, bywa niemiłosierny w swych samosądach, a co gorsza, że karze podejrzanego, nie zbadawszy, czy jest rzeczywiście winny.

Zapalając jedną zapałkę po drugiej, obejrzeliśmy starannie nasze ukrycie, czy niema w niem jakiego okienka. Nie było! Chwilę staliśmy zgnębieni, wreszcie Elek odezwał się:

— Niema innej rady… Komórka nakryta jest deskami i słomą, postarajmy się oderwać jedną deskę, unieśmy

snopek i wymkniemy się.

Wzięliśmy się do roboty, stanąwszy na klocach; obaj pokrwawiliśmy sobie ręce, usiłując oderwać jedną deskę i to napróżno. Aż tu, gdy przy jakimś rozpaczliwym ruchu trąciłem przyległą dranicę, spostrzegłem, że usuwa się z łatwością.

Nie usiłując przeto wyłamać, zasunąwszy tylko jedną deskę na drugą i rozerwawszy złączenie snopków, pokrywających drewutnię, dostaliśmy się na dach, a z niego zsunęliśmy się na ziemię i rzuciliśmy się do ucieczki. Po kilkudziesięciu krokach Elek przystanął i schwycił mnie za rękę.

— Słyszysz? idą kupą.

— Schowajmy się za krzaki… lepiej niech nas nie spotkają.

— Wzięliby nas za wspólników samych.

Przykucnęliśmy za zaroślami, Minęło nas kilkunastu ludzi, zbrojnych w drągi, kije i latarnie, jeden nawet z wielką ostentacją niósł ogromny stary pistolet. Gadali i krzyczeli wszyscy naraz, tak że rozróżnialiśmy tylko pojedyńcze wyrazy: »a huncwoty!… pewno ci sami… my się nie damy!… przyszła kryska na Matyska… mało krwi przelali!…«

Otwarto drzwi komórki, i cała ta kupa wpadła do jej wnętrza. Chwilę panował zamęt, potem zaczęto wybiegać kolejno.

— Niema nikogo!

— Coście głowę zawracali?

— Przecie ścianą ani ziemią nie wyszli.

— Dziury niema żadnej.

— Przyśniło mu się coś i noc nam zepsuł.

— Przyśniło się po tej wódce, coście dziś w karczmie wychlali!

— Człowiek się naharuje cały dzień i jeszcze spokojnej nocy mu nie zostawią.

Rozchodzili się gniewnie, nie słuchając zaklęć gospodarza, że owi domniemani bandyci nie byli wytworem jego wyobraźni.

Ochłonąwszy z wzruszenia ruszyliśmy pod stóg, a wygrzebawszy trochę słomy, przytuliliśmy się do siebie, lecz sen uciekł od nas, spłoszony niepokojem, przewidującym jakieś nieokreślone bezpieczeństwa.

Z radością prawdziwą, otworzywszy po raz setny oczy, ujrzeliśmy tarczę słoneczną, wychylającą się nad złotawe ściernisko. Zebraliśmy zmęczone kości i głodni, zziębnięci, ruszyliśmy w dalszą drogę.

O ósmej byliśmy w Kole. Napiliśmy się po szklance gorącego mleka, zjedliśmy po dwie bułki, umyliśmy się kolońską wodą, którą elegant Elek miał przy sobie, uczesaliśmy się i zupełnie już raźno ruszyliśmy na mszę do kościoła, a stamtąd do państwa aptekarzów.

— Czy zastaliśmy pana Kolińskiego? — zapytaliśmy służącą, która nam drzwi otworzyła.

— Jest, je śniadanie.

W kilka chwil potem wysmukły młodzieniec o szlachetnem, wyniosłem czole, stanął przed nami w salonie państwa aptekarzów.

— Z kim mam przyjemność?

— Jesteśmy bracia Steczkowscy… przyjechaliśmy do pana, bo pan Turzyński…

— Co, może chory?… może?… — zawołał gwałtownie młodzieniec, blednąc jak chusta.

— Nie, nie, zdrów jest obecnie… tylko on tęskni bardzo za panem…

— Rozpacza, że pan przez niego może być w niedoli, w niebezpieczeństwach.

Młodzieniec zatoczył się na fotel, twarz ukrył w dłoniach i powtórzył jak echo:

— Tęskni?… rozpacza?…

— Tak… bardzo.

— A skąd?…

— Skąd my wiemy?… My go znamy doskonale.

— Byczy staruszek!

— Ze łzami mówił o panu.

— Więc on nie przeklina mnie? Nawet żalu do mnie nie ma?

— Najmniejszego.

— Przeciwnie, siebie potępia, że niesłusznie obraził pana.

Nagły, gwałtownie stłumiony płacz wyrwał się z ust Eugenjusza.

— Więc mi przebacza?

— Oddawna przebaczył, ale myśli, że pan ma do niego żal.

— Ja, ja… czyż ja mógłbym mieć żal za ten jeden wyrzut po tylu łaskach otrzymanych! Jak byłem przed rokiem w Warszawie, to co wieczór z twarzą przytuloną do

krat ogródka obserwowałem go, dusza mi się rwała do tego dobroczyńcy, do tego przyjaciela, ale mówiłem sobie: jeszcze nie pora, mógłby pomyśleć, że potrzebuję jego pomocy i dlatego…

— On tego nie pomyśli, panie Eugenjuszu. Jemu należy się ta pociecha za tyle ciosów, które go nawiedzały. A choć i materjalnie odtąd zajmie się panem, nie trzeba mu tego bronić, toć to będzie celem i szczęściem jego życia.

— Panie Eugenjuszu, niech pan się zaraz dziś zabiera z nami.

— Ależ nie mogę, tak…

— My mamy na drogę dla nas trzech.

— Pieniądze mam… tylko, że i obowiązki mam, więc odjechać tak nagle…

— Przecież nie na długo; jeden dzień — jutro może pan być zpowrotem. Pokaże się pan, przywita, pocieszy i wróci dla uporządkowania wszelkich spraw i zakończenia obowiązków.

— Nie namyślajcie się, decydujcie odrazu.

— Pojedziemy karetką! — wykrzyknął Elek z dziecinną radością.

Dla znużonych i zdenerwowanych nocną podróżą z przygodami, żydowska, brudna, rozklekotana karetka wydawała się pozłocistym zaprzęgiem z tysiąca i jednej nocy.

* *

*

Było pięć minut przed dziesiątą, zatem sień zastaliśmy jeszcze otwartą, gdy wraz z Geniem zajechaliśmy przed dom p. Turzyńskiego.

Wiktor otworzył mam drzwi, trochę wystraszony.

— Co, tak późno?… Pan już w łóżku.

— To nic, przyjmie nas!

I nie pukając nawet, wpadłem do sypialni.

— Cóż ty, warjacie, niezadługo o północy zaczniesz przychodzić… Dobrze żem jeszcze nie zasnął… A gdzieście przez dwa dni przepadli?…

— Jeździliśmy po karpia dla pana.

— Powarjowali, dość mam jednego… choć prawdę powiedziawszy boję się… jakoś osowiał od wczoraj.

— Przywieźliśmy panu gościa.

— Gościa?

— Nie gościa… Ach, ja nie umiem przygotowywać… choć kazali mi, zresztą, co to, wszak radość… od radości się nie umiera! Więc poprostu… Genia odnaleźliśmy… Panie Eugenjuszu, wyjdźcie!

Drzwi się otworzyły, Genio wpadł blady i drżący, rzucając się na kolana przy łóżku pana Turzyńskiego.

— Dziaduniu!… Ojcze mój!…

Starzec objął rękoma szyję Genia, przycisnął do serca i pozostali tak w długim, długim uścisku, w pokoju drżał tylko szept:

— Synu mój!… dziecko moje!…

Skoczyłem do przyległego saloniku, Elek stał wprost

drzwi sypialni i płakał.

— Czegóż ty beczysz?

— Wzięło mnie! wzięło mnie! — krzyknął wzruszony i rzucił mi się na szyję.

Wiktor stał we drzwiach.

— Ten się z tym ściska, ten z tamtym! pójdę ja do Wojtusia uściskać się... wszak to też Steczkowski. Niech żyją bracia Steczkowscy!

1. ↑ Bonnivard, przeor franciszkanów w XVI w., gorliwy obrońca swobód szwajcarskich, był więziony przez lat kilka w zamku Chillon, na jeziorze Lemańskiem, przykuty na krótkim łańcuchu.
2. ↑ dogadzanie sobie.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Maria Bogusławska](#).*

Panna z niedźwiedziem.

I.

Co to, ciotuchno, czy masz jaką złą wiadomość od wuja, że taka strapiona siedzisz nad tym listem?

— Nie, dziecinko, wiadomości, którą otrzymałam, nie można nazwać złą, ale kłopotliwą. Wyobraź sobie, wuj chce mi przysłać Lili dla skończenia edukacji w kraju.

— I to cię zatrważa? A przecież tyle razy mówiłaś, że pragnęłabyś mieć ją bliżej.

— Bliżej tak, ale nie u siebie.

— Lili jest w jednym wieku ze mną, będziemy mogły razem się uczyć, razem bawić!

— Zapewne, ale ja się Lili boję.

— Boisz się?

— Tak, obawiam się tej jedynaczki, córki miljonera, wychowanej tak daleko, w środowisku przeważnie rosyjskiem, a niezmiernie zbytkowem. Jak ona czuć się będzie w moim skromnym dworku!… Tem więcej, że

tęsknota za ojcem, którego podobno fanatycznie kocha, będzie powiększać odrazę do ubogich warunków, jakie tutaj znajdzie.

— Ach, ciociu, czyż tu jest ubogo?

Z lubością powiodła wzrokiem po obszernym salonie, w którym nie było ani jednego mebla współczesnego, a portrety prababek o wykwintnych rysach i prześlicznych rękach, oraz panów w senatorskich kołnierzach i bogatych deljach zdawały się mówić o wytwornej kulturze i zamożności całych pokoleń.

— Ubogo jest w stosunku do salonów mego bata i państwa gubernatorstwa gubernji jenisiejskiej.

— Zobaczysz, ciociu, że tak źle nie będzie. Lili kocha ciebie, mnie polubi z pewnością, z Jurkiem również się zaprzyjaźni i prędko przyzwyczai się do życia w dworku.

— Dałby Bóg, dałby Bóg!

— Przecież tam w Jenisiejsku, czy Krasnojarsku nie może być pięknie! Toć to kraina lodów i kajdaniarzy!

— Tak uogólniać przyrody gubernji jenisiejskiej nie można. Jest ona prawie tak rozległą jak Europa, więc i klimat ma dość różnorodny.

— Bądź co bądź jest kacapską i zimną!… Ach, co to będzie za rozkosz pokazać Lili naszą wiosnę, nasze lato, nasze kwiaty i nasze motyle!… Moja ciotuchno, niech ciocia nie odmawia!

— O odmowie nie myślę, nie odrzuca się propozycji brata, zamieszkałego na dalekiej obczyźnie, który godzi się na przykrą rozłąkę z jedyną córką, byle dać jej możność otrzymania wykształcenia w duchu narodowym.

— Bardzo mądra konkluzja!… Oj, ciotuś, ty masz główkę nie tylko do kapelusza!… Pójdę zakomunikować tę wiadomość Jurkowi.

Uściskała ciotkę i odbiegła w podskokach, pozostawiając panią Lewandowską w głębokiej zadumie.

Była to kobieta lat czterdziestu, ale wyglądała na znacznie młodszą, pomimo włosów prawie zupełnie siwych i pełnych powagi ruchów. Bezmała połowę życia spędziła w stanie wdowim, utraciwszy w przeciągu czterech lat męża i dwoje dzieci. Z rozpaczy, w jaką pogrążyły ją jeden za drugim te ciosy, wyrwał ją przyjęty dobrowolnie obowiązek zastępczyni matki przy dzieciach brata, mieszkającego aż w gubernji jenisiejskiej, w charakterze dyrektora jednej z kopalń złota. Spędziła tam dziesięć lat, pomimo że brat niedługo nosił żałobę; poznawszy bardzo piękną Polkę, której ojciec dzięki wyzbyciu się uczuć patrjotycznych doszedł do stanowiska wice-gubernatora, ożenił się z nią pomimo różnicy wieku, czyniąc młodziutką kobietę macochą trojga dzieci, z których najstarsze miało lat osiem, najmłodsza zaś dziewczynka ledwie czwarty rok zaczęła. Młoda pani Murzińska nie rwała się do roli wychowawczyni sierot, chętnie przeto widziała p. Lewandowską, pozostającą na tem stanowisku.

Gdy jednak w pięć lat potem w kraju zmarła kuzynka tej ostatniej, pozostawiając dwoje dzieci bez opieki i środków, pani Janina odjechała z Syberji, pozostawiając odchowane już dzieci brata pod opieką ojca i bardzo zacnej nauczycielki, a sama wróciła do Polski, jak sądziła, na czas krótki.

Stało się jednak inaczej. Przedewszystkiem raz odnalazłszy się wśród rodaków, w rodzinnym majątku, podupadającym skutkiem niesumienności dzierżawców, przy dwóch zupełnych sierotach, garnących się do niej z całem zaufaniem, uczuła, że byłoby nad jej siły porzucić to wszystko, pozostawić sieroty na łasce obcego otoczenia i samej powrócić do środowiska, które, z wyjątkiem najbliższych, pozostało jej niesympatycznem. Słowem nie znalazła dość sił dla ponownego wyrwania korzeni z rodzinnego gruntu i pozostała na Litwie, w majątku ojców swoich, w Sołohubach, położonym o kilka mil od puszczy Białowieskiej.

Z bratankami, a zwłaszcza z opiekunką ich p. Kazimierą Gostkowską, wymieniała często listy, śledziła za postępkami i postępami dzieci, ale wrócić na Syberię nie miała już odwagi. Zawsze jednak marzyła o tem, aby Lili przyjechała do niej na czas dłuższy, aby w kraju kończyła edukację. I oto gdy marzenie to stać się miało rzeczywistością, czuła więcej niepokoju niż radości.

Niepokój ten podwoił się, gdy w dwa tygodnie potem otrzymała list oryginalnego formatu, napisany sztucznie ułożoną ręką, pełen wykrętasów i zamaszystych ogonów, a wonny jak sklep kosmetyków. Zaniepokoił on ją i całą zewnętrzną oryginalnością, i treścią więcej niż niezwykłą:

„Droga Cioteczko, papa zakomunikował mi, że ciocia godzi się wziąć mnie do siebie, abym ze trzy lata jeszcze uczyła się z Krysią Stewnicką. Ja nie cierpię się uczyć, ale ponieważ gramatykę w pięciu językach już umiem, mam nadzieję, że z tem świństwem dadzą mi już pokój.

Arytmetyki też, zgodnie z obietnicą papy, uczyć się już nie będę, bo i poco?! Dodawać i odejmować umiem do miljona, a więcej jak miljon mieć nie będę. W mnożeniu i dzieleniu jestem kiepska, ale mnożyć będzie mój mąż, a bez dzielenia się obejdę. Wobec zatem zastrzeżeń co do gramatyki i rachunków, może obecnie nauki nie będą takie strasznie nieznośne. No, trzeba i to uwzględnić, że tu dobór profesorów z pod ciemnej gwiazdy. Poczciwa panna Ziuta Gostkowska jest nudna jak lukrecja i ma dwie lewe nogi (nie mogę patrzeć jak chodzi po pokoju!), Anglik tak cedzi słowa, że między jednem a drugiem mam czas trzy razy pokazać mu język (za książką lub kajetem), Niemiec nosi krawaty żółte z zielonem, które sprawiają mi mdłości, i czuć go cynamonem, a Moskal, który mnie uczy nauk ścisłych, jest byłym fałszerzem weksli i rewolucjonistą; zresztą ten byłby najzabawniejszy, gdyby nie robił do mnie czułych oczu, ile razy panna Ziuta zapatrzy się na swoje lewe nogi.

„Cieszę się na Krysię i Jurka, choć pewnie będę kłóciła się z nimi, tak jak z moimi braćmi. Toć ja raz Leonkowi w złości wylałam flaszeczkę atramentu na głowę, a pamięta cioteczka, że ma włosy jak albinos; było mu wcale do twarzy na pstrokato!

„Papa ma pisać osobno, żeby cioci podziękować i omówić finansową stronę, która jest dość skomplikowaną ze względu, że przyjedzie nas troje pensjonarzy: ja, Mikołaj Drugi i Gałganek. Ale z nimi będzie mniejszy kłopot niż ze mną.

„Całuję ciotuchnę w koniec noska, tak jak za dawnych

czasów, Krysię i Jurka także. Ah, Jurka nie! ma już dwadzieścia dwa lata, a panny szesnastoletnie nie całują kawalerów w tym wieku, choćby byli spokrewnieni tak, jak my ze sobą.

Kochająca bratanka
Lili Murzińska.

P. s. Zapomniałam objaśnić, że Gałganek to śliczny kot angora, a Mikołaj, czyli Niko, to mój oswojony niedźwiedź.“

Pani Janinie, która list ten czytała głośno swoim wychowańcom, opadły ręce z przerażenia.

Jerzy i Krysia porwali się z miejsca.

— Co! niedźwiedź!

Schwycili list, odczytując ostatni ustęp, aby się upewnić, czy nie zachodzi tu jaka pomyłka. Poczem Krysia rzuciła się na fotel, a Jerzy na kanapę, śmiejąc się do łez.

— Będziemy mieli pannę z niedźwiedziem, to ciekawe! — wołał Jerzy, nakładając binokle na załzawione od śmiechu oczy.

— Czy on będzie spał z nią w jednym pokoju?

— Prawdopodobnie!… faworyt pokojowy!

— Ależ ja się będę go bała!

— Napiszę do brata, żeby nie pozwolił tej warjatce zabierać ze sobą całego zwierzyńca.

— Owszem, to będzie bardzo zabawne, ja zamawiam sobie kozicę do spacerów, a Jurek pewnie wybierze nosorożca do swych ciągłych kąpieli.

— Żartujcie sobie, ile chcecie, ale ja dziś jeszcze piszę do Józia.

Pani Janina napisała rzeczywiście, usilnie prosząc brata, aby wyperswadował Lili zabieranie zwierząt do Sołohub. Pomimo to, w dwa tygodnie potem, gdy stała z Krysią na peronie dworca w Białymstoku, wypatrując wśród przybyłych sybiryjskiego gościa, zrobił się zgiełk przy zwierzęcym wagonie, z którego tragarz wyprowadził okazałego niedźwiedzia, szerzącego popłoch wśród publiczności, zwłaszcza żydowskiej.

Pani Janina z rozpaczą potrząsnęła głową.

— Ciociu, to musi być Lili — zawołała w tej chwili Krysia, ukazując biegnącą ku nim panienkę w wykwintnym kostjumie podróżnym, niosącą przepysznego angorę na ręku, a której promienny wyraz twarzy wskazywał, że poznała ciotkę.

Za chwilę była już w jej objęciach.

— Niech ciocia pozwoli, że zapoznam ją z moimi opiekunami z drogi, — rzekła Lili po przywitaniu — mają bowiem polecone zatelegrafować do papy, że oddali mnie do własnych rąk cioci.

To rzekłszy, zwróciła się w prześlicznym francuskim języku do postępującego za nią starego oficera:

— Panie pułkowniku, zwalniam pana ze służby z orderem *pour le mérite!*

Ze śmiechem przylepiła mu do munduru papierową foremkę od pomadki.

Pan pułkownik Aleksander Teodorowicz Afrasimow — dodała, przedstawiając go ciotce.

— Dziękuję panu bardzo za opiekę nad moją bratanicą — rzekła pani Janina, zmuszając się do uśmiechu.

Pułkownik złożył głośny pocałunek na jej ręce.

— *Prelest*[1] taka opieka — rzekł z przekonaniem.

— Ah to pewnie Krysia! poczekaj, zaraz się z tobą przywitam, ale wprzód muszę zaprowadzić ciocię do pani pułkownikowej, która jest taka gruba, że musi bokiem wyciskać się ze drzwi wagonu… A gdzie Jurek?

— Został w domu.

— Szkoda, bo we dwóch z pułkownikiem mogliby zrobić „stołeczek“ i przynieść panią pułkownikową.

Zbliżyły się właśnie do drzwi wagonu pierwszej klasy, które rzeczywiście zatarasowała sobą ogromnej tuszy kobieta z wesołą, czerwoną twarzą.

— Wybaczy pani, — rzekła uprzejmie — że nie wychodzę na jej spotkanie, ale Pan Bóg pokarał mnie taką tuszą, że wyjście z wagonu jest dla mnie niezmiernie uciążliwe i krępujące. Jadę na kurację do Karlsbadu, może uda mi się tam pozostawić kilkanaście funtów syberyjskiego tłuszczu.

— Państwo dawno w podróży?

— Czwarty dzień.

— Jakież to musi być uciążliwe i nudne.

— Nudy zaczną się dopiero od tej stacji, — rzekł pułkownik z galanterją, zwracając się do Lili.

— O tak, kto ma Lili w towarzystwie, nudzić się nie może — powtórzyła pułkownikowa.

— Pan Murziński to *geroj*,[2] że rozstaje się z taką córką!

— Ba, potomek walecznego Murzy, hana krymskiego — zaśmiała się Lili.

— Państwo zatrzymają się w Warszawie?

Pani Janina nie otrzymała odpowiedzi, rozległ się bowiem w tej chwili krzyk przeraźliwy. To niedźwiedź wyrwał się z rąk tragarza i sunął ciężkiemi susami ku gromadce, stojącej przed wagonem, drogą uprzątniętą natychmiast z ludzi, pobrzękując łańcuchem, który wlókł za sobą.

— Niko stęsknił się za panienką — zawołała Lili, wybiegając naprzeciw niego i ująwszy za obrożę, stanęła wsparta o olbrzymi łeb niedźwiedzia, jakby w najzwyklejszych warunkach.

Wszystko co było na peronie zwróciło się w tę stronę i stanęło, patrząc na »pannę z niedźwiedziem«, jedni zgorszeni, drudzy przerażeni, większość ze śmiechem.

— Wiesz, Lili, pisałam do twego ojca, że o ile pragnę mieć ciebie pod swym dachem, o tyle wypraszam się od niedźwiedzia — mówiła pani Janina, zwracając się w stronę dworca, po odejściu pociągu. — Widocznie ojciec listu tego nie odebrał jeszcze.

— Tak, papo tego listu nie odebrał, bo go spaliłam.

— Ty spaliłaś list pisany do ojca?

— Tak jest; papo pozwala mi wszystkie listy od rodziny otwierać i czytać pierwszej, bo sam tak dużo jest poza domem. Tak było i z tym listem, a gdy przeczytałam, że ciocia pisze takie niemożliwości, wolałam nie oddać mu listu. Zrobiłam to przez delikatność, przez wzgląd na papę, bo wiem, że byłoby mu przykro odmówić cioci, a odmowa

była nieuniknioną, bo ja z moim Nikiem nie rozstanę się nigdy; był mało co większy od Gałganka, gdy mi go przyniesiono. Nazwany był przez tego, co go wziął po zabiciu matki: Nikołaj… bo to był rewolucjonista… nie niedźwiedź, tylko ten robotnik, osiedleniec… Wykarmiłam go własnym smoczkiem, który papa chował jak relikwję… Odstąp, ty brudasie! — krzyknęła w tej chwili na jakiegoś żydka, który, bojąc się zbliżenia z niedźwiedziem, otarł się o panienkę. — Hej, *czelawiek!* masz kwit od bagaża… A tu rubel za fatygę… Jedziemy, ciociu?

— Musimy zaczekać, aż bagaż odbierze.

— Przecież taki numerowy musi być człowiekiem odpowiedzialnym, złoży go na wóz bez naszego dozoru.

— Nie kazałam wysłać wozu, licząc, że kufer można przywiązać z tyłu do powozu… Czy masz więcej?

— Ależ ja mam siedem sztuk na bagażu! nie licząc Miszki, Gałganka i drobnych sakwojaży, które miałam w wagonie.

— Siedem sztuk?

— Naturalnie: dwa kufry, dwie walizy, biureczko…

— Biureczko?

— Tak, mam bardzo piękne biureczko japońskie z siedemdziesięciu czterema szufladkami, nie umiałabym obyć się bez niego!… Paka z dywanami i paka z grobem Nika.

— Z czem?

— Z garderobą Nika?… Jakąż on ma garderobę?

Lili wybuchnęła śmiechem.

— Ja nie mówię: z garderobą tylko: z grobem; tak

nazywamy pakę, w którą, gdy wyjeżdżamy na lato, wkładamy Nika i zabijamy gwoździmi, przesypawszy naftaliną, żeby go mole nie zjadły!

— Zabijacie Nika gwoździmi?

— Przysypujecie naftaliną?

— To wasze niedźwiedzie odbywają sen letni, jak nasze zimowy?

Lili zanosiła się od śmiechu.

— Ale bo to Nik nr. 1, poprzednik Nika tu obecnego, czyli Mikołaja Drugiego. Otóż Mikołaj Pierwszy był także od dziecka u nas, niedługo po wyjeździe cioci przyniósł go Trafim, pozostawał w domu naszym sześć lat, aż pewnego dnia wściekł się z gorąca.

— Z gorąca w Jenisiejsku?

— Ale bo to był niedźwiedź z Alaski, a ja uparłam się jednego lata, żeby pojechał z nami na *daczę*.[3] A u nas w Sajańskich górach bywają upały, zwłaszcza na południowym stoku. Takich upalnych kilka dni przypłacił biedny Mikołaj Pierwszy życiem.

— Dobrze, że on tylko!

— Czy nie pokaleczył kogo z ludzi?

— Nie… tylko pogryzł dwóch Kałmuków, którzy także się wściekli i umarli w szpitalu. A biednego Nika trzeba było zastrzelić. To było okropne; wypuścili go na podwórze, ze wszystkich stron zamknięte, a z kilku okien strzelano. Leoś i Artur także strzelali, okrutnicy… Wtedy to Leon dostał kałamarzem w głowę. Boć przynajmniej on, jako starszy, powinien był uchylić się od roli oprawcy! Nieprawda?

— Bez kwestji!

— Potem wypchano go i stał zawsze w przedpokoju, mając lampę elektryczną w jednej łapie, a tackę na bilety w drugiej. Ludzie podziwiali jego kolosalny wzrost.

— I takiego olbrzyma zabrałaś z sobą?

— Tak, papa pozwolił mi zabrać, bo od dzieciństwa lubiłam się z nim bawić… Zabranie go stawiałam jako warunek mojej zgody na wyjazd tutaj… O, właśnie niosą skrzynię z moim portjerem!

— Rzeczywiście, że kolosalna!… Tak, tego się do powozu nie zabierze! Nie pozostaje więc nam nic innego, jak samym odjechać, a po rzeczy przysłać jutro wóz w cztery konie.

— Ależ ja się nie obejdę bez mego bagażu!

— Zabierz zatem to, co najpotrzebniejsze.

— Niemożliwy wybór, w każdych z moich *sunduków*[4] mam coś niezbędnego.

— Czy i w skrzyni z Mikołajem?

— Nie, ten bezwzględnie może pozostać. Bez biurka też obejdę się do jutra.

— A reszta?

— Żółty kufer muszę zabrać, bo mam w nim bieliznę, a już cztery dni nie zmieniłam jej. W czarnym mam suknie, więc też konieczny. W tej większej walizie mam obuwie, przynajmniej to, które zabrałam, szesnaście par tylko, a przecież w tych półbucikach zostać nie mogę, bo są już straszne! W małej walizce mam swoją srebrną kapliczkę, która zawsze wisi nad moją głową, a między dywanami znajduje się sobolowa skóra z przed łóżka, do której tak

przywykłam, że nie potrafię postawić bosych nóg na czem innem.

Dużo trzeba było użyć perswazyj, aby zdecydować Lili do zrezygnowania z dywanu, kapliczki, zmiany sukni i obuwia. Kufer z bielizną został przymocowany za powozem, drobne bagaże umieszczono na koźle, Mikołaja Drugiego powierzono tragarzowi, który miał go przytransportować na łańcuchu, i rącze konie poniosły trzy panie po kamienistej, wyboistej i zakurzonej drodze.

Lili mówiła dużo, przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, interesowała się wszystkiem, ale, ku rozczarowaniu Krysi, nie zachwycała się pejzażem i nie dziwiła się ani kwiatom, ani motylom, twierdząc, że takie same jak *„na daczy“* w Sajańskich górach.

Pani Janina, wciśnięta w kąt powozu, nie mówiła nic, przenosząc oczy z jednej na drugą, porównywając między sobą te dwie przybrane córy. Były rzeczywiście bardzo różne w typie. Krysia, niełądna dla przeciętnego gustu, przedstawiała ciekawy typ dla każdego lubiącego urodę oryginalną. Miała obfite złoto-rude włosy, cerę białą i przezroczystą, choć zlekka usianą piegami. Brak regularnych rysów wynagradzały oczy nietyle duże i piękne, ile pełne wyrazu. Lili natomiast miała rysy regularne, bardzo piękne szafirowe oczy, a przedewszystkiem niesłychany wdzięk w uśmiechu, odkrywającym jej śliczne ząbki i tworzącym dołki w obu policzkach. Przytem w wyrazie twarzy Krysi było pewne piętno nieśmiałości i wyczekiwania, właściwe istotom, które w dzieciństwie nie miały różanej doli. Każdy zaś

ruch, spojrzenie i odezwanie się Lili cechowały istotę przywykłą do stawiania wymagań i do podziwów, które stały się zwykłą strawą podlotka.

W ganku dworu stał Jerzy, który bardziej jeszcze odcinał się typem. Włosy miał jasne, układające się w samorodne pukle, rysy energiczne, krótki wzrok powodował przymrużanie oczu, nadając mu wyraz ironiczny, cała postać nacechowana była siłą i spokojem.

Lili, wyskakując z powozu, oparła się rękoma na jego ramionach, pozwalając mu wynieść się aż na próg ganku.

— Toś ty taki duży! — zawołała, podając mu rękę. — No, no!… Ty jesteś wyższy od Leona dobrze o głowę.

— Zmęczona jesteś, kuzynko?

— Przedewszystkiem nie lubię formy: kuzynko! Mów mi Lili — przecież jesteśmy bliscy krewni!

— O bardzo dalecy… w czwartym stopniu!

— Przeciwnie, jesteśmy krewnymi w pierwszym stopniu!

— Mylisz się! Moja babka…

— Moja babka twojej babce podawała gruszki w czapce!… To niczego nie dowodzi!… Jesteś synem cioci Janki, a ciocia Janka jest rodzoną siostrą mego papy!

— W tym wypadku masz rację!

— Mój Jurku, — odezwała się pani Janina — przyprowadzą tu niedźwiedzia; uprzedź o tem ludzi w podwórzu, żeby nie zrobiła się jaka awantura.

— Prawda, żeś ty panną z niedźwiedziem! Musisz starać się o dobre stosunki ze mną, bo zarządzam majątkiem i jak będę chciał, nie wydam twemu faworytowi paszy!

— To jej sobie kupię w okolicy! Dla interesu nigdy z nikim nie bywałam w dobrych stosunkach!

Zrobiła łobuzerską minkę i schwyciła Krysię pod rękę, prosząc, by poprowadziła ją do przeznaczonego dla niej pokoju.

Przez całą godzinę Krysia biegała jak tkackie czółenko od jadalni do pokoju Lili. W pierwszym przytulała się do ciotki, w drugim całowała Lili we włosy, twarz lub szyję, wołając:

— Czekamy na ciebie z podwieczorkiem! albo: Kawę wzięli do odegrzania! albo: Jurek nazwał cię Małą Niedźwiedzicą! — To znowu zachwycała się rozmaitemi przedmiotami wyjmowanemi z kufra przez Lili.

W jadalni zaś komunikowała, o ile postępuje tualeta gościa, jak piękne są jej szczegóły, szczególniej zachwycał ją neseser podróżny z przyborami z kości słoniowej i złota.

Po kilkunastu różnej treści komunikatach wbiegła ze słowami: Lili już idzie! I przytrzymując drzwi, wpuściła do pokoju kuzynkę, która biegła pędem rozśmieszona, roztaczając wokoło silną woń doskonałych perfum. Ubrana była w biały batystowy penjoar, przybrany koronkami.

— Nie pozwoliła mi ciocia zabrać kufra z sukniami, — wołała — *par conséquent* musi przyjąć mnie w negliżu.

— Negliż ten wygląda jak strojna suknia i jeżeli czem razi, to zbytkiem koronek i wstążek.

— Dobrze, że ciocia się tak zapatruje, bo bardzo pragnęłabym nie gorszyć nikogo; niestety nie udaje mi się to często, szczególniej w stosunku do starszych pań.

— A w jaki sposób usiłujesz nie gorszyć nas? — z

uśmiechem zapytała pani Janina.

— O, ja nie usiłuję wcale! chcę tylko! Ale robię to wszystko, co panie gorszy: zawsze mówię co myślę, kupuję przerażające oryginalności… Czy wie ciocia, że ja nosiłam przez długi czas japońskiego bożka na łańcuchu na szyi!… Gorszą się i tem, że nigdy nie słuchałam papy, który *bon gré mal gré* musi udawać, że się tem bardzo zachwyca.

— I mamę gorszysz także?

— O, mamę niełatwo zgorszyć! Ona jest większy łobuz ode mnie i także papy nie słucha, ale nic dziwnego, papę trzyma pod pantoflem, a stamtąd do ucha daleka droga.

— A projekt twego wyjazdu do kraju, to czyja inicjatywa? Twoja, ojca czy mamy?

— Na to zgodziliśmy się wszyscy troje. Papa chciał mnie wysłać z Krasnojarska, bo uważa, że wszystkie tamtejsze panny, moje przyjaciółki, są przeraźliwe. Mama życzyła sobie, żebym jechała, bo będzie to pretekstem dla niej do wyjechania każdego roku do Europy, dla spędzenia ze mną paru miesięcy u jakich wód, a ja rwałam się z Krasnojarska, bo tam okropne nudy. Wyborna kawa!

— Oh, spóźniona i odgrzewana, smakuje ci jednak, bo musisz być ogromnie głodna.

— O nie! Ciocia wie, co to jest podróżowanie z Rosjanami; siedzi się prawie ciągle w restauracyjnym wagonie. W dodatku ja musiałam dotrzymywać towarzystwa pułkownikowi, który nazywał mnie też swoją *dame de compagnie*. Bawiło go ogromnie, że mam taką mocną głowę; mieszałam wino, piwo, wódkę i likiery, i nic mi nie było. Aż się oficerowie dziwili.

Pani Janina aż pobladła i ręce jej opadły na kolana.

— Czemu ojciec powierzył cię tak niestosownemu opiekunowi? — zapytała.

Z kolei zadziwiła się Lili.

— Ależ pułkownikostwo Afrasimowie należą do najporządniejszych i najtaktowniejszych ludzi w Krasnojarsku.

— Nie można nazwać taktem rozpajania młodej panienki w towarzystwie oficerów.

— Ciekawy jestem, jacy są ci gorsi? — wtrącił po raz pierwszy Jerzy.

Lili wybuchnęła długą gamą śmiechu.

— Znasz, Jurku, rosyjskie wyrażenie: *swołocz?*[5]

— Niestety znam, bo zdarza mi się nieraz posyłać je w duchu pod adresem tutejszych reprezentantów władzy.

— Otóż w Krasnojarsku, to wszystko *swołocz*. A im wyżej sięgnąć, tem gorsi. Jeździ po Rosji znakomity tresurzysta zwierząt ze swym *cyrkiem*, nazywa się Durow. Otóż raz zademonstrował tresowaną świnię; przyniesiono platformę, Durow krzyczy: *Świnja wajdi!*

— Mów po polsku, bo Krysia nie umie ani słowa po rosyjsku.

— Dobrze. Więc mówi Durow do świni: wejdź tu! Weszła posłuszna. Przyniesiono wyższą platformę, Durow woła: Wejdź! Świnia nic! Durow dodaje: *Pażałujsta wajdite:* Proszę wejdź! Dopiero usłuchała. I tak przynoszono coraz wyższe stopnie, a Durow stosował coraz wyższe tytuły: błagorodje, wysoko-błagorodje, prewoshoditelstwo, sijatelstwo. Aż kiedy znalazła się na

najwyższej platformie, a on użył najwyższego tytułu, zwrócił się do publiczności i rzekł: *wot czem wysze postawlena świnia, tiem nada byt' sniej wieżliwiej*. Oto im wyżej postawiona świnia, tem trzeba zwracać się do niej uprzejmiej. Dostał olbrzymie brawo i wszyscy orzekli, że to stosuje się zupełnie do krasnojarskiego towarzystwa.

— I tak się ludzie tem cieszyli?

— Cieszyli się przedewszystkiem tem, że gubernator musiał to wziąć do siebie, a to był… największa swołocz w naszem mieście. To był poprzednik dziadka Jucewicza… Bo że łapownik, to mniejsza, tam wszyscy łapownicy… dziadek Jucewicz też… ale on wprost wpisywał na rachunki olbrzymie sumy, które jakoby wydawał na potrzeby gubernji, a których nie wydał wcale.

— A panie jakie? — zapytał Jerzy.

Ciotka zgromiła go okiem.

— Lepiej mówmy o czem innem — rzekła.

— O, ma cioteczka rację, mówmy o czem innem, bo jakbym zaczęła mówić o paniach, zgorszyłabym nie tylko ciocię, ale i Krysię.

— Powiedz mi, kuzynko, — zaczął Jerzy — czemu przeto ojciec twój tkwi w tem trzęsawisku?

— Przecież on ma tam stanowisko dyrektora kopalni złota, które daje mu olbrzymie dochody.

— Ależ o ile wiem, ojciec twój jest już bardzo bogaty.

— Wiadomo.

— Mógłby wrócić do kraju.

— A coby tu robił? Za młody na emeryta!

Jerzy skoczył jak oparzony.

— Coby robił… Pytać się w naszym kraju, coby robił! Ależ tu pracy jest wbród i pięknej i dającej nieskończoną satysfakcję!

— Papa pracować nie lubi. Na Syberji to co innego, tam ma wielkie dochody za nic. Ot, przejeżdża od miejsca do miejsca, gdzie wydobywają złoto, i rzuci czasem okiem… za to mu płacą.

Jerzy żachnął się.

— Czy twoi bracia będą także dozorowali tylko białych murzynów, wyławiających złoto?

— O nie, Leon jest w szkole paziów i zostanie prawnikiem, żeby potem objąć posadę w jakiem ministerjum, a Artur poświęci się karjerze wojskowej.

— Karjerze wojskowej!…

Jerzy zgryzł i rzucił na ziemię niedopalonego papierosa, poczem zaczął chodzić po pokoju z rękoma wtył złożonemi, monologując ze złością:

— Powinszować, powinszować ci braci! Jeden będzie przepisywał w ministerjum ukazy podkopujące nasz byt narodowy, drugi przy okazji będzie wybijał współbraci, którzy znajdą się w wojsku niemieckiem, austrjackiem, albo we własnym legjonie!

Lili ruszyła ramionami.

— Poco to wszystko brać tak dramatycznie? Leon, choć dostanie się do ministerjum, ukazów przepisywać nie będzie, bo on nigdy nie nauczy się ortografji rosyjskiej, to taki głąb, który nigdy: jat’ od je[6] nie odróżni. On wogóle nigdy nic umieć nie będzie. Ciocia pamięta, jak mu szły ciężko początki nauk? Ale papa grubo zapłaci, to będzie

figurował w ministerjum. A Artur, to taki tchórz, że nikogo nie zabije, bo jakby przyszło do bitwy, to cały czas przesiedzi pod *jaszczykiem*[7] jakiej armaty.

Całe towarzystwo parsknęło śmiechem.

— Czemu zatem nie zamienią się rolami? Czemu Leon nie zostanie oficerem, a Artut dyplomatą? — pytała całkiem rozbrojona szczerością Lili pani Janina.

— Bo Leonowi bardzo podobają się mundury ministerjalne, a Turek przepada za czerwonemi spodniami i szamerunkami huzarów.

— Ładne numery! — syknął Jerzy.

Lili zapałały oczy.

— Tylko bardzo proszę nie odzywaj się obelżywie o moich braciach.

— Nie nazywam ich obelżywie, tylko podziwiam ich krawieckie ideały.

— O przepraszam, to nie są ich ideały!… Ideały mają całkiem inne.

— Naprzykład?

— Leoś przepada za kobietami, a Turek za końmi.

— Ideał młodszego przewyższa Leonowy aż o dwie nogi.

Lili się roześmiała.

— To ci się udało; napiszę chłopcom ten aforyzm.

— Czemu twój ojciec nie pomyślał o przysłaniu też chłopców na studja do kraju? — zapytała ciotka.

— Jak Leoś zeszłego roku miał wyjeżdżać do Petersburga, chciał go ojciec wysłać raczej do Krakowa, ale mama wyperswadowała papie, że wróciwszy z patentem

krakowskiego uniwersytetu, miałby wszelką karjerę zamkniętą.

— Jest w tem racja, — odparł Jerzy — z tą jednak różnicą, że brat twój nigdy nie zdobyłby patentu krakowskiego uniwersytetu, bo tam za łapówki go się nie wydaje.

— Szkoda! — ze spokojem zakończyła Lili.

— Może Arturka przyśle ojciec na wyższe studja do kraju? — zapytała ciotka.

— Co to, to z pewnością nie! Artur jest dużo zdolniejszy od Leona, ale większy od niego leń. On rad, że w tym roku skończy gimnazjum i za wstąpi do konnicy.

— Mam nadzieję, Lili, że jak pokochasz nasz kraj, to będziesz potrochu wpływała na ojca, żeby pomyślał o przesiedleniu się do Polski — mówiła pani Janina.

— O nie!

— Nie wierzysz, żeby się to stać mogło?

— Jabym papy nie namawiała; straciłby stanowisko, a chłopcy nigdy w kraju nie zrobiliby tak świetnej karjery jak na Syberji.

Pani Janina westchnęła głęboko i wymieniła z Krysią wymowne, pełne smutku spojrzenie, a Jerzy stanął naprzeciw Lili i założywszy ręce po napoleońsku, mówił dobitnie:

— Zatem widzę, że jesteście rodziną straceńców!… Twój ojciec i twoi bracia należą do tych wyrodków, którzy wyparli się kraju za wór srebrników i patrzą, paląc najlepsze cygara, jak tu w kraju biorą nas na tortury, radzi, że im jest dobrze i wygodnie.

— Jerzy! — cicho upomniała go ciotka.

Lili podniosła się z miną obrażoną.

— Nie upoważniałam cię do sądzenia mojego ojca i braci. A widzę tylko z tego, że należysz do rzędu tych zwarjowanych rewolucjonistów, którzy zawsze plują na ludzi, co porobili karjery.

— Wiesz, ty jesteś taka daleka od nas, jak ta Mała Niedźwiedzica, której nosisz przezwisko.

— Bardzo mi to pochlebia, że mnie do gwiazd zaliczasz.

— Mylisz się bardzo, nazywam cię Niedźwiedzicą, zaliczam cię jednak do zwykłych gąsek.

Lili pobladła.

— Pamiętaj, Jurku, że masz we mnie wroga do śmierci.

I tegoż wieczora pisała do ojca, zraszając papier łzami:

„Nigdy, nigdy nie przyzwyczaję się do tego kraju i do tych ludzi, oni tacy surowi, wymagający, sami rewolucjoniści. Szczęście, że choć Mikołajów mam tu na pociechę…“

II.

Upłynął dobry tydzień, zanim się Lili rozpakowała i urządziła.

Jak ona sama, tak i pokój, który zajęła, odskakiwał od charakteru dworu w Sołohubach; znajdowały się w nim wyroby wszystkich ludów w Azji: strzyżone dywany smyrneńskie i zszywane z różnorodnych kawałków futer — jakuckie; przecudne, subtelne makaty indyjskie i jaskrawe o wyraźnym deseniu — chińskie, oryginalne malowidła

japońskie, parawany i poduszki najróżnorodniejszych stylów, rzeźby z hebanu i kości słoniowej, lakowe inkrustowane mebelki, wazony i cacka z porcelany chińskiej; liczne kindżały, sztylety, karykaturalne bożki, dziwne instrumenty muzyczne, zatrzymywały oko na każdej ścianie, na każdym meblu.

Dla Mikołaja zbudowano klatkę w najbardziej cienistej części parku, od północnej strony, w której dnie całe przesypiał z łbem ukrytym w łapach. Lili sama spuszczała go, zabierając ze sobą na spacer, oraz na noc, uprosiła bowiem u ciotki pozwolenie, żeby nocował w przyległym gościnnym pokoju, dowodząc, że jest to warunkiem spokoju jej na wsi.

Mieszkańcy Sołohub, zwłaszcza dzieci, z przerażeniem spoglądały na olbrzyma, ale że zachowywał się spokojnie i pokornie, a jak pies szedł krok w krok za swą panią, zaczęto niebawem przywykać do niego, i po kilku tygodniach panienka i niedźwiedź przestali być przedmiotem ogólnej ciekawości.

Najbliższe jej otoczenie również zaczęło przywykać do ekscentryczności dziewczęcia. Pani Janina tylko z niepokojem przysłuchiwała się opowiadaniom jej o życiu towarzyskiem Krasnojarska, które pozwoliło panience zaobserwować wiele rzeczy niemal skandalicznych. Nie wzbraniała jednak tych wynurzeń, przeciwnie rada była, że Lili mówi o tem przy niej, mogła bowiem oświetlić te opowiadania ze swego punktu widzenia. Bardziej surowo od ciotki odnosił się do tego Jerzy, traktując towarzystwo krasnojarskie bardzo dosadnemi określeniami. Wyradzały

się stąd ciągłe sprzeczki między dwojgiem młodych, ale że oboje mieli żartobliwe usposobienia, dawały one pole do dowcipnych popisów, które wnosiły dużo wesołości w poważne ściany dworu w Sołohubach.

Pierwszy miesiąc, stanowiący letnie wakacje, przeszedł Lili szybko i miło. Czuła, że w tym cichym, zapadłym zakątku Europy, przyjazd jej — Azjatki — sprawił nie lada sensację; zgadywała, że dla niej były jedna po drugiej wizyty znajomych, nawet z najdalszych okolic, a ciekawe oglądanie w parafji jej bogatych tualet i podziwiania przedmiotów, stanowiących jej własność, mile łechtały jej ambicję.

Niedźwiedź również popisywał się ku uciesze młodej trójki.

Pewnego dnia, gdy panienki szły szosą, eskortowane przez Nika, jadący konno dwaj wojskowi zwrócili się ku nim z dość niesmacznym komplementem.

— Niko, *bieri miod!*[8] — zawołała Lili, wskazując ręką jadących.

Niedźwiedź pomknął ku nim, konie oficerskie zestraszyły się, rzuciły się naoślep, jeden z jeźdźców spadł na ziemię, a potem porwał się czem prędzej i cały zabłocony, biegł za koniem, krzycząc wnieboglasy. Lili „ukarawszy winnych“ odwołała Nika, obdarzyła go piernikiem i obie z Krysią, zachwycone przygodą, powracały do domu.

Innym razem o szarej godzinie przyszła Lili z figlarną miną do siedzących na ganku Jerzego i Krysi.

— Chcecie zobaczyć komedję? — zapytała.

— Oj, jakby się chciało… — westchnęła Krysia — naprzykład Fredrę, lub Bałuckiego.

— Stylowe to nie będzie.

— To może…

— O i nie współczesne!… Przeciwnie całkiem archaiczne!

— Arystofanes?

— I nie klasyczne!… Komedia to na tle leśnej sielanki.

— Intrygujesz nas.

— Chodźcie, zobaczycie!

Szli lipową aleją w stronę budy niedźwiedzia.

— A może ona już się rozegrała?

— O nie… ja jestem reżyserem! Widzicie, dziś przybył nowy sadowy… widziałaś go, Krysiu?

— Widziałam, pyszny typek…

— Starozakonny!… Otóż scena rozegra się między Mikołajem II a Lajbusiem Judaszko.

— Już wiesz, jak się nazywa sadowy!

— Poznaliśmy się z nim dziś w ogrodzie; jak przystoi na dżentelmena, przedstawił mi się, a potem powiedział:

— Ja wiem, jak się panna nazywa.

— No jak?

— Panna z niedźwiedziem… Panna przyjechała z Czerwony dół… — Tak przerobił Krasnojarsk.

Doszli właśnie do klatki Nika. Niedźwiedź, spostrzegłszy ich już zdaleka, podniósł się na tylne łapy i wstrząsnął kratami, mrucząc radośnie. Lili otworzyła altanę i odjęła łańcuch. Nik obszedł ją kilka razy, otarł pieszczotliwie łeb o jej drobną kibić, polizał rękę i nie

zajmując się nią więcej, szedł ciężko w stronę sadu. Znalazłszy się w nim, zatrzymywał się raz po raz, patrząc po drzewach z miną znawcy. Gdy doszedł do jabłoni, pokrytej pięknemi papierówkami, stanął na tylnych łapach, objął pień w przednie i zatrząsł, zrazu lekko — spadły dwa jabłka. Nik skonsumował je za jednym zamachem i potrząsł znowu. Gdy uczynił to po raz trzeci, z gęstych krzaków leszczyny wychyliła się wąska twarz o kobuzim nosie, a za nią postać chuderlawa, uzbrojona w kij sękaty.

— Ty chamie! — krzyknął — ja *czy* dam *jabki!*

I wyciągnąwszy dłoń, uchwycił za kark, jak sądził, jakiegoś chłopa w kożuchu. Ale w tejże chwili ozwały się dwa ryki; jeden gruby, niski, niedźwiedzi, drugi cienki, piskliwy, w którym „aj waj mir“ zadźwięczało doniośle. Jednocześnie żyd rzucił się na lewo, niedźwiedź na prawo i zmykali wzajemnie przed sobą, co sił było w nogach.

Trójka, stojąca w alejce, zanosiła się od śmiechu.

— A co, nie warto było tu przyjść? — pytała Lili triumfująco.

— Dobre to było, — potwierdził Jurek — ale na nazwę komedji nie zasługuje, to tylko obrazek z kinematografu.

— Ale pyszny!

— Uśmiałam się, aż mnie boki bolą — mówiła Krysia. — Jak to ty przewidziałaś, gdzie się Nik skieruje, spuszczony z łańcucha.

— Ba, znam obyczaje mego pupila.

— Trudno zaprzeczyć, że jest weselej, odkąd ta Mała Niedźwiedzica ukazała się na naszym horyzoncie — mówił Jerzy.

— Pewnie, że wniosłam urozmaicenie, dotąd wasz Zodjak stał ciągle w znaku Panny i Raka.

— Pierwsze to dla Krysi, ale czemu ja mam być pod znakiem Raka?

— Bo czepiasz się wszystkiego, szczypiesz złośliwie i jesteś czerwonych przekonań jak rewolucjonista.

— Że też ty dotąd nie nabrałaś zielonego pojęcia o tem, co to jest rewolucjonista!

— A wszak Jurek wczoraj w tak interesujący sposób tłumaczył nam wszystkie odcienie różnych grup sejmowych i rozgałęzienie partyj.

— Tak, ale panna Lili cały czas, gdy ja wykładałem, niańczyła kota i wiązała mu kokardki nad uszami. Żeby ten Gałganek raz gdzie kark skręcił! Rozerwały psy zeszłego roku poczciwego Milona, co tak umiał być użytecznym, łowiąc myszy, a tego darmozjada żadna katastrofa dosięgnąć nie może.

Jerzy nie znosił angory od czasu jak udusił mu oswojoną kawkę.

— Czemu ty się zawsze czepiasz mego Gałganka? Udusił ci kawkę, ale gdy dostał za to w skórę, nie tknie teraz nawet pieczonego kurczątka, póki nie położę przed nim.

— Nie za kawkę nie znoszę go, ale za to, że to typ próżniaka i narzędzie rozpróżniaczania ludzi. Ile ty godzin dziennie przepróżnujesz, tuląc to bydlę i zanurzając ręce w jego kędziory!

— Trudno cały dzień pracować! Ty grywasz w tenisa po kilka godzin dziennie…

— Z wyjątkiem pory żniw…

— Choćby, a przecież z twego grania w tenisa ludzkość nie ma żadnego pożytku!

— Ale jest pożytek dla mego zdrowia, a im jestem zdrowszy, tem lepiej mogę pracować dla siebie i drugich.

— Mnie pieszczenie Gałganka także dobrze działa na organizm, bo uspakaja mi nerwy.

— Złudzenie! próżnowanie psuje nerwy — rzecz dowiedziona!

— A co ja mam robić? Chodzić z kąta w kąt i ziewać. Czy pluć i łapać? U nas na północy gubernji jenisiejskiej to możliwe, bo ślina marznie w powietrzu!… Żebym nie miała Gałganka…

— Krysia nie niańczy żadnego faworyta, a jednak nie nudzi się wcale.

— O, ja to co innego! Ja lubię robótki!

— Właśnie! Krysia lubi dłubać igłą, igiełką i igliczką. A co jabym robiła, zwłaszcza gdy przyjdzie jesień i zima?

— Boże! ona kłopocze się o to, co robić na wsi jesienią i zimą!

— Pewno, że tak.

— Pomóż mi w pracy.

— Mam za ciebie młocki pilnować, czy sprzedawać zboże?

— Pomóż mi w mojej szkole.

— W jakiej szkole?

— Słuchaj ty, nieświadoma ziemskich spraw, Mała Niedźwiedzico, czyż nie mówiono przy tobie kilkakrotnie o zaścianku rakowiczańskim?

— Wiem, chodziłyśmy tam nawet z Krysią odwiedzać tę dziewczynkę, co złamała nogę.

— No, przecie!

— Więc co?

— Więc co?!… Więc wiesz, że w Rakowiczach mieszka dwadzieścia sześć rodzin polskich.

— Że tam jest dużo Polaków wiem; że tam jest jeszcze więcej psów też się przekonałam, bo bardzo na mego Nika napadały.

— A wiesz, ile tam jest dzieci w wieku od siedmiu do czternastu lat?

— Pewnie dużo, bo w chałupach jest zawsze wiele dzieci i pcheł.

— Tylko proszę bez złośliwych porównań. Trzeba było urodzić się w Krasnojarsku, żeby tak pogardliwie odnosić się do polskich dzieci! Otóż tych naszych polskich dzieci w wieku szkolnym, a nie umiejących nawet dobrze mówić rodzinnym językiem, jest czterdzieści.

— Czy mam się z tego cieszyć, czy smucić? Powiedz, bo muszę przygotować odpowiednią minę.

— Et, z tobą nie warto nawet mówić!

— No, Juraś, nie ciskaj się. Już słucham poważnie… Więc cóż te dzieci?

— Więc te dzieci winny umieć czytać i pisać po polsku, poznać choć pobieżnie nasz kraj, nasze dzieje, arcydzieła naszej literatury.

— Bardzo słusznie… więc?

— Więc gdy roboty w polu skończone, przychodzą do mnie na naukę, codzień na dwie godziny.

— Jurek bardzo się tem naraża — wtrąciła małomówna z natury Krysia. — Jakby władze dowiedziały się o tem, zaaresztowałyby go z pewnością.

— Ah wiem, już rozumiem! — zawołała Lili — to ty jesteś rewolucjonistą!

Jerzy trzepnął szpicrutą, aż szereg badyli legł przetrącony.

— Co to mówić z kobietą, co ma taki mózg, który zmieściłby się w jej naparstku!… Więc w twojem przekonaniu wszyscy, którzy żyją w niezgodzie z rządem rosyjskim, są rewolucjonistami?

— Ah nie!… Są jeszcze anarchiści, robotnicy i zbrodniarze!

— A to zestawiła… Powinszować!

— Przypomnij sobie, Lilusiu, — odezwała się znowu Krysia — co Jurek mówił wczoraj o Polakach patrjotach, narodowcach.

— O tych to przecież słyszałam i u nas na Syberji!… Powstanie listopadowe, powstanie styczniowe!… Toć papa dotychczas wspomaga tak zwane ofiary obu powstań.

— No chyba nie listopadowego?

— Czy listopadowe, czy styczniowe to wszystko jedno.

— Wszystko jedno?

— No przecie — kilka miesięcy różnicy!

— Rozstąp się ziemio! Co ty wygadujesz, dziewczyno!… Trzydzieści lat upłynęło między jednem a drugiem.

— Mniejsza z tem, historji tych powstań nie czytałam, choć panna Ziuta ofiarowała mi ilustrowanego

»Sokołowskiego«, próbowałam czytać, ale to się zaczyna tak nudno, o różnych partjach. Rzuciłam okiem dalej, to tam był ciekawy kawałek, jak gdzieś ktoś Moskalom zabrał kasę, strzelając do nich ładunkami wykupionemi od ich własnych żołnierzy. Ale potem znowu: Biali — Czerwoni — Czerwoni z białem, Biali z czerwonem, w paski, w kratki, w kropki, jak chcecie!

— Czy to ma być dowcipne? Powiedz mi, a zacznę się śmiać.

— Impertynent jesteś!… Ja wiem tylko tyle, co papa zawsze powtarza, że oba powstania były głupstwem i szaleństwem, że skutkiem nich zaczęto stosować do Polaków różne represje i że odtąd poczęli oni zapełniać katorgi Sybiru.

Jerzy splunął.

— Moja droga, mówmy o czem innem, bo ja nie mogę słuchać takich sądów.

— Jesteś niesprawiedliwy, Jurku, — wmieszała się znowu Krysia. — Toć nic dziwnego, że Lili, wychowana w Krasnojarsku, ma tego rodzaju zapatrywania. Zamiast kłócić się z nią przy każdej sposobności, lepiej przeprowadź porządny kurs naszych dziejów porozbiorowych. Należy jej się tyle, jako naszej rodaczce i naszej siostrzyczce.

Jerzy przegarnął palcami czuprynę i rzekł z westchnieniem ulgi:

— Masz rację, Krysiu… Więc słuchaj, Lili.

— Tylko na miłość boską nie zacznij wykładać o partjach!

— A ty nie zaczynaj żartów, bo widzisz, gdybyś zamiast

przerzucać książki i czytać ustępy przy ciekawszych obrazkach, przeczytała je od początku do końca, to wiedziałabyś, że naród polski był tak deptany i poniżany we wszystkich swych szlachetnych jednostkach, a upodlony przez swych wynaradawiających się synów, że gdyby powstanie 63-go roku nie zmyło krwią i łzami całej naszej ziemi, byłaby ona przedmiotem ohydy innych krajów, które przedstawiałyby ją sobie jako kraj zaprzańców. Ulec przemocy i takbyśmy ulegli, tylko zamiast być wdeptanymi w ziemię jak nikła trawa, padaliśmy jak podcięty bór, który utworzył interesujący zwał wśród Europy, na którym porasta bujny, młody las, ściągający na siebie uwagę jednych, niepokój innych narodów. Lili, zrób mi jedną łaskę, poświęć godzinkę codziennie — możesz na początek nawet pieścić kota, i pozwól, żebym ci opowiedział dzieje naszych powstań, szczególniej ostatniego, oraz jak się do dziś chronią i bronią Polacy. Uprzyjemnię ci te chwile, pokazując arcydzieła ilustracji, szczególniej Grottgera, który wżywając się w cierpienia ojczyzny, szedł za upadającą na polską Golgotę, by jak w chuście Weroniki odbić rysy w cierniowej koronie i przekazać je potomności.

— Jakiś ty poetyczny! — próbowała żartować Lili, choć widocznie słowa Jerzego zrobiły na niej wrażenie.

— I nie myśl, Lili, — odezwała się Krysia — że na bohaterach powstań skończył się szereg męczenników, kładących życie, lub wolność w obronie ducha narodowego wbrew zakazom rządu.

— Musiałaś spotykać takich, lub przynajmniej słyszeć o nich na Syberji.

— Tak, to pewnie ci, których określają ogólną nazwą »polityczni«. Ale ja myślałam, że to wszystko socjaliści, a ja socjalistów nie lubię, bo wszak to sami robotnicy, a robotnicy są zawsze biedni.

— Kobieto, kobieto… co ja mówię!… Niedźwiedzico, przestań, bo uszy więdną od tych nonsensów.

— Zobaczysz, Juraś, jak ona inaczej zacznie o tem mówić za kilka tygodni!… Bo Juruś naprawdę będzie miał te wykłady.

— Ty zgadzasz się na to, Lili?

— Dobrze, ale ja z Gałgankiem.

— Niech będzie.

— W moim pokoju.

— Czemuż nie!

— Ja będę siedziała na dywanie oparta o Mikołaja Drugiego, bo to najwygodniej.

— W tych warunkach uśniesz przy poważniejszych ustępach.

— Inaczej ucieknę.

— Robimy na początek wszelkie ustępstwa rozpieszczonemu dziecku, — rzekła Krysia — w nadziei, że z każdym dniem będzie wymagało mniej wygód, a więcej wykładu.

III.

Nazajutrz o szarej godzinie do pokoju Jerzego weszła pokojówka z oznajmieniem, że panienki czekają na lekcję.

Jerzy udał się niezwłocznie do pokoju kuzynki.

Oświetlała go słabo lampa z ciemnego szkła, inkrustowana w złote wersety koranu, pozwalając odróżnić na środku smyrneńskiego dywanu potężną sylwetkę leżącego niedźwiedzia i opartą o nią wiotką postać Lili w niebieskiem kimono z białym kotem na kolanach. Przez figle rozpięła nad sobą płaską chińską parasolkę.

— Jużem gotowa, mistrzu, — rzekła do wchodzącego.

— W takich warunkach wykładu mieć nie będę — odrzekł Jerzy.

— Cóż ci to szkodzi? — wmieszała się Krysia z głębokiego fotelu, w którym zasiadła. — Jeśli ją to bawi…

— Ale mnie to denerwuje!

— Filozof nie powinien niczem się denerwować. Zresztą wszak zastrzegłam sobie siedzenie na dywanie, wezgłowie z niedźwiedzia i mufkę z kota.

— Ale parasolki nie zastrzegłaś — zauważyła ze śmiechem Krysia.

— Prawda, wobec tego *à bas l'ombrelle*, zawieś ją, kuzynie, na swojem miejscu, nad tualetą.

Jerzy spełnił polecenie, mrucząc pod nosem.

— Krysiu, usiądź bliżej mnie, a przynajmniej bliżej bombonierki z czekoladkami, będziemy sobie osładzali lekcję.

— Wiesz, Lili, — zawołał Jerzy — dajmy pokój projektowanym lekcjom, bo ty nie potrafisz być poważną, a wykładać w takich warunkach, to doprawdy katorga.

— Ależ, kuzynku serdeczny i profesorze czcigodny, przecie w pokoju prawie ciemno, proszę pana zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że masz przed sobą sześć szeregów

ławek, zawalanych atramentem i trzydzieści pensjonarek w bronzowych mundurkach, z gładko ulizanemi włosami, jeśli to ci ma dać natchnienie!

Jerzy wzruszył ramionami, zasiadł w przygotowanym fotelu i rzeczywiście zamknął oczy, po kilku chwilach jednak otworzył je i przekonał się, że wdzięczny obrazek, jaki miał przed sobą, nie przeszkadza mu wcale w snuciu poważnego wątku naszych dziejów porozbiorowych.

Ale przeszkód i nieoczekiwanych epizodów nie brakło prawie przy każdej lekcji. Raz niedźwiedź podniósł się raptem i Lili padła nawznak na dywan, powodując wybuch śmiechu Krysi i wykrzyk przerażenia Jerzego. Innym razem Krysia, sięgając do bombonierki, zrzuciła ją z hałasem i cukierki rozsypały się na wszystkie strony. Kiedy indziej Lili chciała rzucić karmelek Krysi, a trafiła profesora, ku wielkiemu jego oburzeniu. Najczęściej jednak dystrakcję sprawiał Gałganek. Raz wraz stawał, wyginał grzbiet w kabłąk i ziewał głośno, to znowu wspinał się swej pani na ramię, wywołując jej strofowanie, albo, gdy Nik machnął ogonem, zeskakiwał i przytrzymywał łapą kudłatą kitę niedźwiedzia.

Pewnego wieczoru był Jerzy lepiej niż zazwyczaj usposobionym. Składały się na to i warunki zewnętrzne: wiatr i deszcz biły o szyby, czyniąc tem milszem posiedzenie w pokoju, w którym rozpalono ogień na kominku, roztaczający dziwny, egzotyczny zapach, Lili bowiem sypnęła na węgle garść jakichś wschodnich wonności. Nika nie było w pokoju, wrażliwy bowiem na niepogodę, spał w przyległym pokoju już od rana. Obie

panienki, ubrane biało, siedziały przytulone do siebie na niskiej kanapce. Jerzy opowiadał niedolę poszczególnych grup powstańczych, wydanych na pastwę głodu, chłodu i kul nieprzyjacielskich; opowiadał o bohaterstwie kobiet, dostawiających prowjanty, roznoszących listy, opatrujących rannych; opowiadał o ofiarności matek, wyprawiających dzieci do oddziałów z ostrzeżeniem lub wskazówką… Mówił tonem zniżonym, a panienki słuchały go z zapartym oddechem, ze łzami w oczach. Nagle rozległo się przeciągłe mruknięcie, potem szmer podnoszącego się kota i nagle angora z całym impetem rzucił się na kolana Jerzego, chwytając coś na jego piersiach. Młodzieniec porwał się z okrzykiem, krzesło przewróciło się z hałasem, a obie panienki wybuchnęły śmiechem. One jedne widziały, że kota niepokoiło od pewnej chwili migotanie binokli na sznurku, któremi bawił się Jerzy, celem też pochwycenia ich, skoczył na kolana wykładającego.

Wyprowadzony z nastroju, wpadł Jerzy w rzadką u niego pasję.

— I czego się śmiejecie jak głupie? — zawołał, zwracając się do panienek.

Krysia, nie chcąc podniecać uniesienia brata, odwróciła się do okna i tłumiła śmiech chustką, którą trzymała przy ustach. Lili przeciwnie, odrazu przestała się śmiać, zbladła, przybrała minę obrażonej królowej i rzekła wyniosłym tonem:

— Jak ty śmiesz tak odzywać się do mnie?

— Bo zawsze na lekcjach zachowujesz się jak błaźnica!

— Jerzy, nie zapominaj, że jestem u siebie i że

przysługuje mi prawo pokazania ci drzwi!

— A ja nie zapominam, że jesteś moją uczennicą i że przysługuje mi prawo postawienia cię do kąta.

Lili zakipiała gniewem.

— Ty mnie! ty mnie! Dlatego, że toleruję twoją śmieszną słabostkę bawienia się w profesora i słucham twoich nudnych wykładów, walcząc z sennością, ty ośmielasz się odzywać do mnie ten sposób!

— Więc żebyś wiedziała, że koniec naszym lekcjom!

— Bogu dzięki! żegnam pana!

Jerzy wyszedł, drżąc ze zdenerwowania. Lili zaś wybuchnęła płaczem, kryjąc twarz na ramieniu Krysi.

— Jak on mi ubliżył! jak on mnie znieważył! jak on mnie sponiewierał! — szlochała.

— No, nie tak dalece, Lileńko! On się uniósł, bo był zdenerwowany, a ty także powiedziałaś mu w bardzo przykry sposób swoje zdanie o jego wykładach i to nawet bez przekonania, bo wszak przede mną nieraz bardzo je chwaliłaś.

— Bo bywały zajmujące i ładne, ale przecie jak kto jest obrażony, musi wyrazić się możliwie jak najostrzej.

— Musi, nie musi, to kwestja zapatrywania. Ale w tym wypadku jeden kot zawinił i na niego dąsajcie się oboje, a z sobą się pogódźcie.

Ale nie poszło to tak łatwo, jak się zdawało poczciwej Krysi. Lili i Jerzy przestali do siebie mówić, unikali wzajemnie swego wzroku, a nie pozwalali ciotce i Krysi na jakąkolwiek interwencję.

Atmosfera stawała się nieznośną. Pani Janina,

wyczerpawszy cały arsenał przekonywających argumentów, doszła do przekonania, że najlepiej będzie zastosować na pewien czas rozłączenie. Okazja zdarzała się po temu odpowiednia, wypadło jej bowiem jechać do Warszawy dla umówienia nauczycielek, Polki i Angielki, postanowiła przeto zabrać ze sobą panienki.

— Bogu dzięki, że będę bez babskiego towarzystwa choć przez tydzień — pomyślał Jerzy, patrząc za odjeżdżającym powozem.

I rzeczywiście w dniu tym cieszył się ciszą w domu i samotnością przy obiedzie, równie jak parkiem, którego powagę nie zakłóciły ani na chwilę śmiechy i śpiewy dziewczynek.

Na drugi dzień, chodząc po lipowej alei pomyślał, że jednakże byłoby wcale niezgorzej zobaczyć na jej końcu wysmukłe sylwetki Krysi i Lili, trzymających się wpół i biegnących do niego z jakąś zabawną wiadomością. Po trzech zaś dniach już formalnie miejsca sobie znaleźć nie umiał i z nudów włóczył się po polach z dubeltówką, na udręczenie biednych kuropatw. Bywał jednak tak roztargniony, że najczęściej chybiał i na trzy dni zaledwie dwie kuropatwy przyniósł do domu.

I w czwartym wracał z pustemi rękoma pomimo wystrzelanych ładunków. Mrok już zapadał, gdy wśród krzaków, pod wielkiemi liśćmi łopianu przesunęło się jakieś czworonożne stworzenie.

— Królik — pomyślał Jerzy i dodał: — ostatnia twoja godzina!

Padł strzał i wnet rozległo się rozdzierające miauknięcie.

— Sułtan, aport! — zwrócił się do wyżła.

Pies pomknął ku łopianom i ukazał się niebawem, niosąc w pysku… angorę!

Jerzy zadrżał, przyskoczył do wyżła i wyrwał mu z zębów kota, który broczył krwią, nie dając już żadnego znaku życia.

— Co ja zrobię? co ja zrobię? — pomyślał zaniepokojony. — Lili będzie najpewniejsza, że zrobiłem to umyślnie.

Przed oczyma jego wyobraźni stanęło dziewczę zalane łzami nad skrwawionemi zwłokami faworyta. Usiadł na pobliskiej ławeczce i wzrok przenosił kolejno to na ciało kota, to na wyżła, który patrzał na niego jakby z wyrzutem, że nie otrzymał zwykłej pochwały za aportowanie, wreszcie — w głąb swej strapionej duszy. Żal mu było Gałganka, do którego bynajmniej nie pałał niechęcią, wbrew temu, co mówił, przekomarzając się z Lili; żal mu było i jej, bo wiedział, jak jest egzaltowaną w swych przywiązaniach do zwierząt, i szukał słów, w jakich zakomunikuje jej śmierć angory. Ale tych właśnie nie mógł znaleźć w żaden sposób; postanowił przeto zwłoki kota zakopać, pojechać do Grodna i tam wyszukać jak najbardziej podobny egzemplarz. Postanowienie to sprawiło mu ulgę. Ukradkiem jak złodziej przeszedł do budy ogrodniczej, wziął z niej rydel i szybko wykopał głęboki dół w najgęstszych krzakach leszczyny, potem wrzucił biednego Gałganka, zasypał ziemią, przydeptał i przycisnął dużym kamieniem, by go psy nie wywlekły.

Nazajutrz pojechał do Grodna. U tak zwanego ptasznika

nie znalazł narazie żadnego angory na składzie, przyrzeczono mu jednak dostarczyć od kogoś, chcącego się pozbyć jednego ze swoich. Jerzy się niepokoił, powtarzając sobie ciągle, że pewnie okaz ten będzie miał jedno czarne ucho lub oczy zielone, a nie szare, stało się jednak wbrew przewidywaniom; kot, którego przyniesiono, był kubek w kubek taki sam jak nieboszczyk Gałganek. Szczególniej, gdy w domu założył mu zdjętą z zabitego obróżkę, był tak podobny, że nikt ze służby nie powziął podejrzeń co do jego autentyczności, pomimo że wiedziano, iż „gdzieś się zawieruszył“ i znowu odnalazł.

Nie spostrzegła tej zamiany i Lili, której w czasie dziesięciodniowej nieobecności rzeczywiście wywietrzała złość do Jurka. To też, gdy ten przywitał ją pocałowaniem w rękę i zapytaniem:

— Czy już nie będziesz się gniewała na mnie, Lilusiu?

— Zaco? — odrzekła zupełnie szczerze.

— Żem się wtedy uniósł i odezwałem się do ciebie ordynarnie — rzekł pokornie.

— A ja do ciebie odezwałam się wtedy złośliwie, więc się skwitowaliśmy — zaśmiała się panienka.

— Tak uważasz! — wykrzyknął wesoło. — I doprawdy już będzie zgoda między nami?

— A cóż ty myślisz, że to zabawnie ciągle udawać obrażoną!

I nastąpiła zupełna reakcja w stosunkach młodzieży w sołohubskim dworze; po ciągłych sprzeczkach — idealna zgoda.

Lili, znalazłszy się na nowo w Sołohubach cieszyła się

niemi i podobały jej się bardziej, niż to było z początku. Przytem całe jej otoczenie i służba garnęła się do niej coraz bardziej, jeden tylko Gałganek przez krótki czas rozłąki zdziczał, stracił swą dotychczasową pieszczotliwość i prawie unikał swej pani.

— Albo mu w czasie mej nieobecności ktoś krzywdę zrobił, — mówiła Lili — albo poznał jakiś ideał na jednym z samotnych spacerów i gdzie indziej serce swe umieścił. Nie poniżę się do okazania mu zazdrości!

. . . . . .

W dwa tygodnie potem siedział Jerzy nad książką tak zagłębiony w czytaniu, że nie zwrócił uwagi, jak przez przyległy pokój przebiegły z krzykiem i śmiechem Lili i Krysia; dopiero gdy wpadły do jego pokoju i pierwsza pochwyciła go za czuprynę, targając bez ceremonji, krzyknął i usiłował uwolnić ją z wysmukłych paluszków kuzynki.

— A łotrze! a oszuście!… Coś ty zrobił z moim Gałgankiem?

Jerzy się zmieszał.

— Jakto, co zrobiłem?… Leżał wczoraj cały wieczór w swoim koszyku.

— Gałganek?… Ty powiadasz, że Gałganek leżał w koszyku?

— Ależ daję ci słowo, że leżał.

— Gałganek?!

— No tak, przywtórzył mniej pewnym głosem.

— To Gałganek!… Śmiesz dowodzić, że ta Gałganek, mój panie!…

— No przecie…

— To nie Gałganek!… To Gałganica! ona ma Gałganiątka!

— Cooo!…

Jerzy opadł na krzesło.

— Chodź, zobacz jakie śliczne; jest ich czworo… jeszcze ślepe!

Biedny Jerzy nie pomyślał o jednem: o poinformowaniu się co do rodzaju kota, którego kupił.

IV.

Z przyjazdem nauczycielek zaczęło się w Sołohubach życie systematyczne wedle ściśle oznaczonych godzin. Ku zdziwieniu pani Janiny, Lili wciągnęła się w nie dość chętnie, zaprzyjaźniwszy się prędko tak z panną Haniczówną jak z miss Berny. Interesowała się nawet lekcjami, jakie dawał Jerzy dzieciom drobnej szlachty z zaścianka, i potrochu zaczęła się z niemi poznawać, naprzód przynosząc im przysmaczki, a gdy tem i wrodzonym wdziękiem skaptowała je sobie w zupełności, siadywała na lekcjach, bawiąc się naiwnemi pytaniami i odpowiedziami, a potem nawet udzielając im śpiewu i ucząc komedyjki; komedyjkę tę miały dzieci zagrać w miasteczku na dochód jednego z rakowiczańskich chłopców, który zaniewidziawszy z powodu ospy, miał być wysłany do instytutu ociemniałych w Warszawie.

Życie przeto, choć jednostajne, płynęło wesoło, a rzadkie wizyty sąsiadów bywały rozkosznem zdarzeniem, wywracającem porządek dnia do góry nogami.

Pewnego ranka Lili wbiegła zaaferowana do pokoju ciotki.

— Ciociu, Wasia Timirasiew przyjeżdża do Grodna.

— Któż to taki?

— To mój konkurent!

— Cooo!…

— Tak, on chciałby się żenić ze mną; wszyscy to mówią. Mama i gubernator są nawet za tem, bo to strasznie bogaty człowiek. No i wcale nie syberyjski, ani moskiewski nawet. Przeciwnie na Syberji, w Krasnojarsku, był tylko jednego lata u swej ciotki, właścicielki kopalni złota. Całą młodość spędził zagranicą, bo ojciec jego bywał konsulem w różnych krajach. Wasia urodził się w Lizbonie, gimnazjum kończył w Paryżu, a uniwersytetu liznął w Rzymie. I teraz jedzie prosto z Włoch. Ale papa nie wydałby mnie za niego, no i ja nie poszłabym za Moskala, choć prawdę powiedziawszy, jak tu jechałam było mi to obojętnem, a Timirasiew mi się podobał, be tak umie mówić komplementa, jak organista litanję, z jednego przechodzi w drugi.

— Mam nadzieję, że ten konkurent nie przyjedzie tutaj.

— Z pewnością przyjedzie.

— Czyś go zaprosiła?

— O nie, ale to taki osobnik, który i bez zaprosin wszędzie się wciśnie; zresztą mama pisze, że go upoważniła do złożenia wizyty w Sołohubach.

— Jest mi to bardzo nieprzyjemnem; Rosjanie nigdy nie bywali w moim domu, a tem bardziej w charakterze konkurentów. I doprawdy nie wiem, czy obowiązki gościnności potrafią powstrzymać mnie od powiedzenia mu czego niemiłego, gdyby zachowywał się zbyt… szarmancko wobec ciebie.

— Niech się cioteczka nie boi, już ja potrafię pozbyć się go bardzo prędko!

Jakoż w połowie listopada, w dzień naprzemiany śnieżny i dżdżysty, zajechał elegancki powóz, zaprzęgnięty „w orła“ we wspaniałe trzy rysaki. Z powozu wysiadł wykwintny młodzieniec w mundurze wyższego urzędnika. Wyniesiono za nim walizkę — znak, że nie miał zamiaru ograniczyć pierwszej wizyty przepisanemi przez ceremonjał światowy paru godzinami.

Lili wpadła do salonu, w którym Krysia ćwiczyła się na fortepianie.

— Krychna, Wasia przyjechał! — zawołała.

Krysia zeskoczyła z taburetu.

— Przyjechał ten Moskal?

— Przyjechał!

— A to zuchwalstwo!

— Panienko, — rzekła w tej chwili pokojówka, wchodząc do salonu, — ten pan, co przyjechał prosi o wskazanie mu jego pokoju, a pani gdzieś w podwórzu…

— Zaprowadzisz go do czerwonego pokoju.

— Obok ciebie? — spytała zdziwiona Krysia.

— Tak.

— Przecież to nie wypada.

— Wszak są drzwi z korytarza, a moje zamknę na klucz.

— Zdaje mi się, że lepiej dać mu który z pokoi na górze.

— Tam zmarznie, panienko; nie palono od zeszłego roku.

— Masz rację, Antosiu, zrób jak ci mówiłam. Zaprowadź go do czerwonego pokoju. A teraz poproszę moją kochaną kuzyneczkę, żeby mi udzieliła gościny w swoim pokoju na tę jedną noc.

— Wybornie, pościelą ci na otomanie; a będziemy gadały do białego dnia.

— O tak, bo od czasu jak mamy lekcje, nigdy nie możemy nagadać się dostatecznie!…

Pan Iwan Iwanowicz Timirasiew mówił bardzo dużo, opowiadał o swych podróżach i bytnościach na dworach, o zadowoleniu swem, jakiego doznaje znalazłszy się w kraju tak obfitym w lasy pełne zwierzyny, które pozwolą mu zadowolić wrodzone zamiłowanie do polowania na grubego zwierza. A spostrzegłszy ironiczny uśmiech na ustach Lili przy tym temacie, przerzucił się na inny, bawiąc się w lingwistę przez przeprowadzanie etymologicznych porównań wyrazów polskich, rosyjskich i litewskich.

— Podobno język litewski najpodobniejszy jest do łaciny, ale ja jestem realistą i języków klasycznych nie znam. Możemy jednak zrobić zestawienie na chybił trafił. Proszę powiedzieć jaki wyraz łaciński.

— Nie wiem tak narazie… Jurek, powiedz co po łacinie.

— *Asinus asinorum* — rzucił młodzieniec ze stoicką powagą.

— *Asinus asinorum* to znaczy osioł nad osłami? —

powstrzymując śmiech, zapytała Krysia.

— Nie, to znaczy: osioł z osłów!

— Tak niby Iwan Iwanowicz! — zaśmiała się Lili.

Timirasiew zaczerwienił się i ściągnął brwi.

— Może pan pozwoli jeszcze kaczki — zaproponowała gospodyni domu, dla zatarcia wrażenia, jakie ta wymiana zdań mogła na gościu uczynić, rzuciwszy karcące spojrzenie siostrzenicy.

— Pani stała się bardzo złośliwą, panno Lili, — odezwał się po chwili Timirasiew — przejęła to pani od Polek, które znane są z ostrych języczków.

— Nie miałam racji przejmować czegoś od Polek, gdy sama do nich należę, musi to być przeto zarówno i moją cechą.

— Pani była aniołem…

— A teraz jestem człowiekiem!

— Nie…

— Nie?!

— Teraz jest pani demonem.

— Niech pan nie mówi do mnie w ten sposób, bo odwykłam od pompatycznych wyrażeń i śmieszą mnie one niesłychanie.

— Pani zdziczała na Litwie.

— Nic dziwnego, siedzę wśród lasów, wilków, dzików i niedźwiedzi.

— I zagustowała pani w niedźwiedziach — rzekł, topiąc bazyliszkowy wzrok w siedzącym naprzeciwko Jerzym, który patrzał obojętnie przed siebie, jakby nie słuchając rozmowy.

— O tak, ja kocham mego niedźwiedzia! — zawołała Lili, wybuchając śmiechem.

Timirasiew zagryzł usta.

— Jest pani szczerą!… Czy mam powinszować?

— Naturalnie, można winszować każdego wielkiego uczucia.

— Czy rodzice są o tem powiadomieni?

— Naturalnie, nie mam przed nimi żadnego sekretu i oni bardzo lubią mego niedźwiedzia.

— Pani Eugenja Wacłówna nic mi o tem nie wspominała.

— A poco?… Dosyć, że pan sam pozna mego niedźwiedzia!

Pani Janina, którą raziła ta pusta i bezprzedmiotowa rozmowa, przeszła na temat polowania, opowiadając, jakie nieraz rzadkie okazy przechodzą z Białowieskiej puszczy do ich lasów.

Po obiedzie miss Berny zasiadła przy gościu, rozmawiając z nim o Londynie, trójka zaś domowa zajęła kanapę naprzeciwko i bawiła się wybornie, ku widocznemu udręczeniu Moskala, który nie czując się swojsko w tym domu, dość wcześnie poprosił panią Janinę o pozwolenie udania się na spoczynek.

— Kazałam panu przygotować pokój na górze — rzekła pani domu.

— Dziękuję pani, mnie zaraz po przyjeździe panna służąca zaprowadziła do pięknego pokoju na dole, gdzie już się rozgościłem.

Pani Janina z widocznem niezadowoleniem przyjęła tę

wiadomość.

— Sądzę, że pokój na górze będzie dla pana wygodniejszym; jest obszerny…

— Cioteczko, ja myślę, że nigdzie nie będzie panu tak wygodnie, jak w czerwonym pokoju. Będzie tam miał spokój, ciszę, podczas gdy na górze…

— No już dobrze, dobrze — przerwała jej pani Janina z rzadką u siebie niecierpliwością, żegnając gościa, który z wytworną uprzejmością każdemu na odchodnem powiedział coś miłego.

Wbrew temu, co okazywał napozór, był w jak najgorszym humorze: zawiedziony w nadziei podreperowania zadłużonej hulankami fortuny posagiem bogatej i ładnej panienki, ośmieszony i zdystansowany, jak wyobrażał sobie, przez swe vis-à-vis, przez tego młodzieńca, który przez cały czas kolacji mroził go chłodem i pogardliwem milczeniem. Aby tak niemile spędzić wieczór, jechał pięć godzin po straszliwej drodze, przeważnie wśród lasów, w których podejrzywał znajdowanie się drapieżnych zwierząt i grasujących bandytów, co wszystko napełniało go śmiertelną obawą, tchórzostwo bowiem było jedną z najdosadniejszych cech jego charakteru.

Zmęczenie jednak wzięło górę nad zdenerwowaniem i usnął dość prędko mimo podniecenia. Ledwo go ogarnęła pierwsza bezwładność, sprowadzając sen gorączkowy, zbudziło go nagle gwałtowne szarpnięcie drzwi. Porwał się z poduszek i siadł na łóżku; jakieś ciężkie kroki i czarna masa skierowały się ku niemu.

— Kto tu? — zawołał, — Kto tu? — powtórzył, zaświecając latarkę elektryczną.

O trzy kroki przed łóżkiem stał olbrzymi niedźwiedź, widocznie oślepiony chwilowo skierowanem na siebie światłem.

— *Hospodi pomiłuj!*[9] — krzyknął Timirasiew i jednym susem znalazł się na oknie. Był obdarzony nielada siłą, kilka wstrząśnień bowiem wywaliło okno razem z ramą. Wypadł do ogrodu. Pomimo zimna nie oprzytomniał i biegł naoślep, głuchy na krzyki Jerzego i służby, biegnących za nim z uspokajającemi słowy. Dobrych kilka minut trwała ta gonitwa, na szczęście Timirasiew pośliznął się i upadł w błoto, to pozwoliło Jerzemu dogonić go, podnieść i okryć jego własnym futrzanym płaszczem. Pomimo dojmującego zimna Timirasiew spocony był, a jednak drżał i dzwonił zębami, były to przecie dreszcze jedynie przestrachu.

— Niech pan prędko idzie na górę — mówił Jerzy — żeby pan nie przeziąbł; dobrze, że kazano i tamten pokój ogrzać.

— Dziękuję panu, wrócę do pokoju, w którym spałem.

— To niemożliwe, szyby potłukły się w oknie, wyrwanem przez pana.

— A — to niemiła historja!

— Przepraszamy pana najmocniej, zapomnieliśmy kazać zamknąć tego, zresztą zupełnie oswojonego, niedźwiedzia.

— Nie potrzebuje pan przepraszać, miło mi że dostarczyłem rozrywki w nudzie wiejskiego życia.

Jerzy wyczuł ironję, ale nie dziwił się jej, przeciwnie ze szczerą uprzejmością zajął się gościem.

— Jak ja wyglądam! — zawołał Timirasiew, z obrzydzeniem spojrzawszy po swej bieliźnie całej umazanej w błocie.

— Pozwolę sobie przysłać panu czystą.

— Dziękuję, mam zawsze kilka zapasowych sztuk ze sobą.

— Ale przyślę panu ciepłą wodę do umycia nóg.

— Tak, o to bardzo pana proszę.

— Zdaje się zresztą, że ma pan tu wszystko co potrzeba; neseser pana służący także zaraz tu przyniesie.

— Niech zbierze też przybory tualetowe z umywalni i szlafrok, który powiesiłem w szafie.

— Dopilnuję, żeby wszystko zabrał z pokoju. Dobranoc i jeszcze raz przepraszam.

— Moje uszanowanie.

Jerzy wyszedł po wpuszczeniu do pokoju służącego z ogromną miednicą, pełną ciepłej wody. Timirasiew zasiadł na niskiem krześle, nogi wsunął w miednicę i polecił służącemu, by mu je umył, sam zaś zapalił papierosa i wszczął z nim rozmowę.

— Czy rozumiesz po rosyjsku? — zapytał.

— Tak, *wasze błagorodje*, służyłem w wojsku.

— Powiedz mi, skąd ten niedźwiedź wziął się tak nagle? umyślnie go nasłali?

— Ale niech Pan Bóg broni, to oswojony niedźwiedź panny Lili, tylko zawsze jucha tak się włóczy.

— Skąd jednak przyszło mu wejść właśnie do tego pokoju, w którym ja spałem?

Służący uśmiechnął się znacząco.

Nastała chwila ciszy.

— Słuchaj… jak ci na imię?

— Szymon.

— Słuchaj, Szymonie, obetrzyj ręce i wyjmij z mego nesesera portmonetkę… musi leżeć na wierzchu. Podaj mi ją.

Służący spełnił polecenie. Timirasiew wyjął trzyrublówkę i podał ją chłopakowi.

— Mów szczerze, kto urządził „tę sztukę“?

— Niedźwiedź zawsze sypia w tym pokoju.

— I dlatego pani Lewandowska tu mnie umieściła.

— Nie, dziedziczka chciała pomieścić pana w tym pokoju, dlatego cały wieczór tu paliłem, i jak się ta awantura zrobiła, to aż łamała ręce, że zapomniała przestrzec pana, aby drzwi na klucz zamknął, i bardzo gniewała się na pannę Lili.

— Więc to jej koncept?

— O, panna Lili to figlarz jak mało kto.

— *Ładno!*

Pan Timirasiew zapalił drugiego papierosa, podczas gdy służący wycierał mu nogi.

— Słuchaj-no, chłopcze, kto jest ten młody człowiek, to syn pani Lewandowskiej?

— Nie, siostrzeniec.

— A on się tu jak pan rozporządza.

— Bo gospodarz, zresztą dziedziczka ma mu zapisać Sołohuby.

— Tak?… on będzie się żenił z panną Murzińską.

— Tak ludzie mówią.

— *Ładno!*… Podoba mu się?

— Pewnie; kłóci się z nią, ciągle mówi, że postrzelona, ona na niego, a to: socjalista! a to: rewolucjonista!… A wiadomo, że kto się czubi, ten się lubi.

— Tak go nazywa? tak? a czemu?

— Ot tak, pewno z głupoty.

— Ale bo może on należy do jakich partyj, tajnych związków?

— A tak.

— Do jakiego?

— Zapomniałem jak się nazywa…

Timirasiew podał mu srebrnego rubla.

— Może teraz przypomnisz sobie?

Szymon drapał się w głowę, tuląc z lubością rubla w ręku, na twarzy jego znać było, że stara się przypomnieć sobie zabłąkany w zwojach mózgu wyraz. Nagle rozpromienił się.

— Wiem!… On odbiera Gazetę Sportową!… Tak to jest Związek Sportowy!

— *Idi k‘ czortu!*

Miał już nogi umyte, bieliznę zmienioną, rzucił się więc w łóżko, odwracając twarzą do ściany. Szymon skorzystał z tego, by się oddalić, skoro jednak zamykał już drzwi za sobą, Timirasiew go przywołał.

— Szymon!

— *Słuszajuś wasze wysoko błagorodje!*

— Powiedz mi… on patrjota?

— Rozumie się, w całej okolicy powiadają, że rzadko takiego spotkać.

Timirasiew siadł na łóżku.

— A cóż on takiego patrjotycznego robi?

— Mnie nie pozwalają tego mówić!

— Mów, głupi, dostaniesz zato dobrą zapłatę!

— Ale pan nie powtórzy żadnemu *naczalstwu?*

— Nie, nie!

— On uczy dzieci… Z rakowiczańskiego zaścianka przychodzi ich cała kupa.

— Polskich dzieci?

— Tak, szlachty zagrodowej z Rakowiczan.

— Uczą się? po polsku naturalnie?

— Rozumie się.

— *Ładno.*… i z książek się uczą?

— No przecie.

— Tu w dworze?

— Tak, jest taka duża izba przy czeladnej kuchni.

— *Ładno.*… Możesz odejść.

Całe towarzystwo było już po śniadaniu, gdy Timirasiew wszedł do jadalni. Pani Lewandowska siedziała sama pod oknem, wyszywając siatkę w dużych krosnach. Z przymusem bawiła go w czasie śniadania, bo i on nie był tak wymowny i pełen werwy, jak poprzedniego wieczoru.

— Czy mogę pożegnać pannę Murzińską? — zapytał zabierając się do odjazdu.

— Panienki moje pojechały z nauczycielką do kościoła, dziś rocznica śmierci matki mojej bratanicy.

— Pani będzie łaskawa pożegnać je ode mnie, równie jak pana… nie pamiętam nazwiska siostrzeńca pani.

— Stawnicki.

— Jerzy?… prawda?

— Tak, Jerzy.

— A zatem pani będzie łaskawa kłaniać się Jerzemu Stawnickiemu i powiedzieć, że bardzo będzie mi miło, jeśli mnie sobie zapamięta!

„Trojka“ mknęła jak wiatr. Przy zbiegu dróg nadjechał wolant. Nad głównem siedzeniem, z pośród masy futer i chustek wychylały się młode i wesołe twarze, otulone w kapturki, z pod których wymykały się niesforne loki.

— Nik! Nikuś! — krzyknęła w tej chwili Lili, podnosząc się i wyciągając rękę przed siebie.

Timirasiew obejrzał się. Drogą, w bliskiej odległości za jego powozem sunął w ciężkich podskokach niedźwiedź. Młodzieniec spojrzał na Lili; nie mogła powstrzymać się od serdecznego śmiechu i złośliwego spojrzenia w stronę Rosjanina. Niedźwiedź tymczasem nadbiegł do wolantu, który zwolnił z powodu wybojów, zawrócił i człapał po błocie obok niego, raz po raz ocierając się pieszczotliwie o kolana panienki.

Timirasiew długo patrzał za oddalającymi się, twarz jego przybrała wyraz groźny, a oczy błyszczały złowrogo.

V.

Wrócono do lekcyj historji. Gałganka nie asystowała przy nich, nie odstępowała bowiem sowich dzieci, dokazujących od rana do wieczora w wygodnym koszyku w garderobie. Nie było też Nika, który z zaostrzeniem się zimy coraz więcej sypiał, nie przestając ssać łapy. Nikt nie

przeszkadzał Jerzemu w wykładach, nikt nie psuł nastroju. Przybyło tylko słuchaczy, bo i pani Janina, i panna Wacława, nauczycielka, a nawet Słoduszko, eks-rządca, który nie mogąc już pracować na siebie, przypomniał się pani Lewandowskiej i został zatrzymany przez nią w charakterze rezydenta — wszyscy troje zapisali się „na kursa“ w charakterze „wolnych słuchaczy“.

I znowu płonął wesoło ogień, arabskie kadzidła roztaczały woń upajającą, a Jerzy opowiadał przyciszonym głosem, nieledwie modlitewnie dzieje narodowej pracy konspiracyjnej, kreślił sylwetki wybitniejszych działaczy, mówił o męczeństwach, wygnaniach i skonach naszych — ponurych, jak ponurym być musi żywot narodu ujarzmionego. Kobiety słuchały w milczeniu, Słoduszko wtórował czasem jękliwem: tak, tak! Opowiadanie zaabsorbowało wszystkich, ani jeden cukierek nie ubył z bombonierki, stojącej na japońskim stoliku.

Nagle pod oknami rozległy się dzwonki; ktoś zajeżdżał szumnie, z rozmachem, brzęcząc janczarami. Sań musiało być dwoje.

— Goście! — krzyknęli wszyscy z tem wyczuciem doniosłości tego pojęcia, jakie nadaje utęsknienie za ludźmi zimą w zapadłym, wiejskim zakątku.

— Boże! taa w sieni ciemno! — zawołała pani Janina, — Szymek! Frania! światło do przedpokoju! Jurku, idź wprowadź gości do salonu, ja poprawię sobie włosy.

— Nam się też *un coup de peigne* przyda — rzekła Krysia.

— Ja zajrzę kto przyjechał, bo to mi mocno wygląda na

kulig.

Lili wybiegła do przyległego pokoju, za nią postępował Jerzy.

— Zanim oni rozkutają się z ciepłotek w przedpokoju… — zaczęła i urwała nagle…

Drzwi otwarły się jak szeroko; do salonu weszło czterech żandarmów.

— *Zdieś żiwiot gaspadin Jurej*[10] Stawnickij?

Twarz Jerzego pokryła się lekką bladością.

— Czem mogę panom służyć? — rzekł z pozornym spokojem.

— Rewizja… Pan pozwoli z nami do swego pokoju.

Przetrząśnięto dom od suteryn do poddaszy.

W izbie przy czeladnej znaleziono ławki, mapę Królestwa Polskiego i zbiorową tablicę królów naszych. Za piecem starannie owiniętą paczkę książek polskich i kajetów, zapisanych dyktandem, ćwiczeniami i wierszykami, między któremi znalazły się i pieśni narodowe. Opieczętowano zdobycz, spisano protokół i polecono Jerzemu zabrać się z nimi.

Krysia zalewała się łzami, przysiadłszy u nóg pani Janiny, która oczy miała suche, choć twarz śmiertelnie bladą. Lili przechodziła z pokoju do pokoju za rewidującymi, spokojna, czujna, obserwująca Jerzego i żandarmów. Tylko twarz jej nabrała zupełnie odmiennego wyrazu, zdawało się, że spoważniała, dojrzała w jednej chwili. Gdy Jerzy zbliżył się do niej przed odjazdem dla pożegnania, podała mu rękę drżącą, lecz rzekła głosem jasnym i silnym:

— Bądź spokojny, Jurku, ja i do cesarza trafię, a krzywdy zrobić ci nie pozwolę.

Rzeczywiście chciała nazajutrz jechać z ciotką do Grodna, dla rozpoczęcia starań, lecz pani Janina zdecydowała, że narazie pojedzie sama.

— Gdyby ciocia znalazła sposobność pomówienia z nim sam na sam, niech mu ciocia powie, że ja nadal będę prowadziła lekcje z dziatwą rakowiczańską sumiennie i wytrwale — rzekła stanowczym głosem.

— Nie myśl o tem, byłoby to w najwyższym stopniu niebezpiecznem.

— Przecież oni nie wrócą znowu jutro lub za dni kilka.

— Ale na dom nasz jest zwrócona czujność. Zresztą kto wie, czy między służbą niema jakiego szpiega.

— Ma ciocia rację… A jednak trzeba coś wymyślić, żeby te dzieciny nie zmarnowały korzyści, osiągniętych taką ofiarą.

Zamyśliła się głęboko.

— Już wiem!… — zawołała po chwili. — Przedstawiam taki projekt; codzień w godzinie spaceru pójdziemy z p. Wacławą do Rakowiczan. Tam każda pójdzie do innej chaty odbyć lekcję choć z kilkorgiem dzieci. W ten sposób na każdą chatę przypadną dwie lekcje tygodniowo, co wystarczy, aby dzieci nie zapomniały, a jeszcze douczyły się nieco.

— Wybornie obmyśliłaś to, Liluś! — wykrzyknęła Krysia z zapałem.

— I powiedz, ciociu, że my to przeprowadzimy z wytrwałością.

Twarzyczka jej się rozpromieniła, przeskoczyła leżącą na podłodze walizę i zawołała pompatycznym tonem:

— Mała Niedźwiedzica świeci na naszem niebie i rzuca promienie na głowy polskich dzieci!… Tak powie czcigodny pan Jerzy Stawnicki.

— Nie wątpię, że dzięki kilkorublowej łapówce otrzymam możność widzenia się z Jurkiem na osobności; nie omieszkam mu to powtórzyć rozumiejąc, jaką to mu sprawi radość.

Pani Janina zabawiła w Grodnie dłużej, niż przypuszczała. Powróciła przygnębiona bardzo. Wprawdzie kilkakrotnie widziała się z Jurkiem, otrzymała dla niego pozwolenie brania obiadów z domu dozorcy więzienia, posiadania u siebie książek, materjałów piśmiennych i papierosów, ale zarazem dowiedziała się, że jest on w oczach rządu mocno skompromitowany i że grożą mu ciężkie roboty.

Lili zaraz po zaaresztowaniu Jurka napisała do rodziców z prośbą o robienie starań u najwyższych władz, ale po pewnym czasie otrzymała odpowiedź w tej kwestji, wykazującą trudność uzyskania czegokolwiek, ze względu że sprawa Jerzego przez najbliższe instancje była przedstawioną w jak najgorszem świetle.

Mijały miesiące męczącego wyczekiwania. Pani Janina i panienki jeździły kilkakrotnie do Grodna, aby po prośbach, przedstawionych w różnych kancelarjach, po nużącem wielogodzinnem chodzeniu pod murami więzienia, po przekupywaniu wyższych i niższych organów policyjnych uzyskać kilka minut rozmowy przez framugę muru grubego

ma półtora łokcia, zamkniętego z dwóch stron grubemi kratami.

A lekcje w godzinach spaceru w zaścianku rakowiczańskim odbywały się codziennie; najwięcej gorliwości wykazywała w tym względzie Lili, która choćby w najgorszy czas, choć zmęczona lub zakatarzona, jechała karjolką, zaprzężoną w swego siwka, zastępując często p. Wacławę lub Krysię, zdwajając wówczas godziny zajęcia.

Tak minęła zima i wiosna. Sprawa Jerzego nie była jeszcze rozpatrywana, pozostawał przeto ciągle w więzieniu śledczem, wśród zbrodniarzy i przestępców najgorszego rodzaju.

Pewnego dnia w pierwszej połowie maja otrzymała pani Janina list od adwokata, który prowadził sprawę Jerzego, wzywający ją do Grodna.

Pojechała i wróciła nadspodziewanie prędko.

— Dziwnie postawiono kwestję — rzekła po przywitaniu, odpowiadając na pytania panienek. — Jakieś „naczalstwo“, którem jest jenerał Matiuszyn, podobno decydujący w tej sprawie, przyjął mnie dość uprzejmie, ale mało mówił o Jurku, natomiast usilnie wypytywał mnie o szczegóły tego wypadku z niedźwiedziem, który to tak wystraszył Timirasiewa.

Lili pobladła.

— No i co powiecie, że jenerał zaśmiewał się słuchając tego, a potem tak się dopytywał o Nika, że widząc w jak dobry humor go to wprowadza, opowiedziałam mu szczegółowo jak jest oswojonym i delikatnym.

— No i co?

— Nakoniec powiedział mi: Jak mi pani da tego niedźwiedzia, to zwrócę pani siostrzeńca; słowo jeneralskie!

— A ciocia co odpowiedziała? — prawie bez tchu zapytała Lili.

— Przecież znam moją Lilusię.

— Więc?

— Więc powiedziałam: dobrze, będziesz pan miał niedźwiedzia.

Zrobiła się cisza wielka. Pani Janina podniosła zaniepokojone oczy na Lili, spodziewała się entuzjastycznej aprobaty, a oto dziewczę siedziało przed nią nieruchome, z oczyma spuszczonemi, drżącemi usty i splecionemi na kolanach rękoma, które od czasu do czasu podrzucał spazm wewnętrzny.

— Lili, czy źle zrobiłam? — zapytała pani Janina nieledwie z wyrzutem.

Lili milczała.

— Lilusiu, przecież tu idzie o wolność Jurka, onby się zmarnował, onby zginął w katordze, ciocia nie mogła odmówić tego — wtrąciła Krysia.

— Bez skrupułu rozporządziłam twoją własnością, znając twoje przywiązanie do Jurka. Nie przypuszczałam, abyś mając do wyboru między…

— Ależ ciocia zrobiła dobrze!… bardzo dobrze!… Tylko mi tak żal mojego Nika!…

Z piersi jej wyrwało się łkanie. Wybiegła z salonu i zamknęła się w swoim pokoju, nie chcąc przyjąć nawet Krysi.

Ale nie była to jedna z tych istot, które płaczą długo; przeciwnie, wstydziła się swych łez jako objawu słabości, a energja jej wzmagała się wobec przeciwności, usilnie wynajdując lekarstwo na ogarniającą ją rozpacz.

To też i teraz nie upłynął kwadrans, a postanowienie było już skrystalizowane. Spokojna i zdecydowana usiadła na dywanie i przygarniając się do niedźwiedzia, puściła wodze wspomnieniom dzieciństwa, gdy naprzód pierwszego, potem drugiego Nika karmiła smoczkiem, pieściła i zabawiała się z nim, rozkoszując się jego figlami i komicznemi skokami. To zwierzę było, od śmierci angory, ostatniem żywem wspomnieniem jej domu, a takie do niej przywiązane, takie wierne! Głaskała go, tuliła się do niego i szeptała jakieś pieszczotliwe słowa. Kurantowy zegar w jadalni wybił północ, gdy Lili podniosła się z dywanu i przeciągnęła z cichem ziewnięciem, jak ktoś bardzo wyczerpany.

— Tak, Niku, pójdziemy w świat — szepnęła, klepiąc zwierzę po szyi.

Otworzyła szafę; wśród obuwia, jakie tam stało, wybrała wysokie, turystyczne buciki z nieprzemakalnej skóry, gwoździami podbite, włożyła je miasto pantofelków, które miała na nogach. Potem zarzuciła na siebie burkę kaukaską z kapturem, z kosmatej białej wełny. U paska uczepiła torebkę skórzaną, w którą włożyła portmonetkę, rewolwer i dwie tabliczki czekolady, potem cmoknęła na Nika. Niedźwiedź podniósł się ciężko, jakby niechętnie.

— Chodź, Niku, pójdziemy w świat — powtórzyła.

Stała chwilę zamyślona, potem zbliżyła się do biurka,

nakreśliła słów kilka, namyśliła się znowu, podarła i raz jeszcze cmoknęła na Nika, który stał, jakby bezradny i niepewny, czy ułożyć się na nowo na dywanie, czy czekać na dalsze rozkazy pani. Ale ta otworzyła już drzwi od przyległego pokoju i przyświecając sobie elektryczną latarką, przesunęła się przez czerwony pokój, w którym uśmiechnęła się mimowoli na wspomnienie uciekającego Timirasiewa, przez salon, pełen jakichś tajemniczych blasków, kładących się na ścianach i posadzce od wielkich okien przysłoniętych kwiatami i luster… otworzyła drzwi werandy. Niedźwiedź szedł za nią posłuszny.

Owiał ją chłód i upoiło powietrze przesiąknięte zapachem bzów. Wydało jej się, że jest przeraźliwie ciemno, więc objęła ramieniem szyję niedźwiedzia, zarzucając na niego część kaukaskiej peleryny i szła z zapartym tchem świerkową aleją, ale gdy minąwszy ją, znalazła się na ścieżynie objętej gęstemi krzakami leszczyny, wśród której słowiki wyśpiewywały zgodny kwartet, obawa poczęła ustępować. Niebawem też srebrne lustro sadzawki, w której przeglądały się miljony gwiazd, rozjaśniło krajobraz. Lili wyprostowała się i z lubością objęła okiem tajemniczy, cichy park. Wyszli na pokrywającą torfowiska łąkę, która uginała się pod ciężkiemi krokami niedźwiedzia. Prosta kwadratowa tafla wody, powstała po wybranym torfie, wyglądała jak płyta czarnego marmuru, wypolerowanego olśniewająco. Na lewo błędny ognik migotał z miejsca na miejsce.

— Moglibyśmy zapaść się na tej łące — pomyślała Lili, przypominając sobie spłowiałą fotografję młodego

Kieniewicza, który w tych okolicach zapadł na wieki w oczach ojca.

Skierowała Nika na skraj łąki, którą szli z pół godziny, aż da traktu. Tu odetchnęła już swobodniej, bielił się on wyraźną wstęgą wśród kamieni, obrzucanych wapnem daleko, daleko. Widziała, że prowadzi on do puszczy Białowieskiej, a pragnęła znaleźć się w niej, zanim ruch zrobi się na gościńcu, zachęcała przeto Nika do pośpiechu i sama postępowała krokiem śmiałym, energicznym.

Pierwsze kury odezwały się w zagrodach, gdy mijali wioskę o lichych, dranicami krytych chatach. Jakiś chłop, męczony gorączką panującej tam chronicznie malarji, otworzył okno i wyjrzał na drogę, ale cofnął się zaraz i przeżegnał trzy razy. To zjawisko złożone z olbrzymiego niedźwiedzia i wspartej na nim postaci okrytej w tajemniczą białą burkę ze spiczastym kapturem, wydało mu się nadprzyrodzonem. Przyskoczył do łóżka żony, szarpiąc co sił śpiącą:

— Biegnij, zobacz co to, czy ja pijany czy jakaś wiedźma idzie drogą! — wołał.

Kobieta podniosła się z pod kożucha, a że miała na sobie całe swoje ubranie: spódnicę, kaftan i fartuch, wybiegła za mężem przede drzwi.

Dwie sylwetki, biała i czarna już mijały czwartą chatę. Kobieta poczęła drżeć na całem ciele.

— Nie *pijan* ty, nie *pijan!* księżniczka to idzie drogą! księżniczka puszczy!

I poszła nazajutrz przez cały ubogi zaścianek i wybiegła do przyległych zaścianków i wiosek opowieść o zjawieniu

się tajemniczem królewny, która jechała na niedźwiedziu, w biel spowita.

Jedni przepowiadali stąd wojnę, drudzy nieurodzaj, inni jeszcze mówili o pokutującej królewnie, która rycerza swego na pożarcie niedźwiedziom wydała.

Lili czuła się już bardzo zmęczona, gdy niebo na wschodzie poczęło przybierać tony jaśniejsze, perłowe, potem poorało się w smugi purpury i fioletu, wreszcie rozzłociło się nagle, uwydatniając kontrast ozimin, zlekka wysrebrzonych szronem, i miedz o niezdecydowanym ciemnym kolorze. Lili nie odrywała oczu od tego codziennego, a tak potężnego, tak rzadko obserwowanego przez nią zjawiska. Tarcza słoneczna wychylała się ponad horyzont, coraz większa, jaskrawsza, ukazała się półkolem w wieńcu promieni, rozsuła w srebrnych szronach migotliwe brylanty, obramowała złotą wstęgą grupy drzew, rozmigotała się w kałużach, aż wypłynąwszy w całości, znalazła się poza polną gruszą, która na jej tle wyglądała jak misterna wystrzyganka z czarnego papieru. W przydrożnych zaroślach nieśmiała dotąd, jękliwa uwertura ptasząt zamieniła się w chór zgiełkliwy, a jednak zgodny. Jakby zmęczona obserwowaniem cudu natury, uczuła Lili w tej chwili takie wyczerpanie i senność, że przygarnęła się do niedźwiedzia, uchwyciła obu rękoma jego kudeł, i szła tak, nieledwie niesiona, kołysząc się zlekka na karku zwierzęcia. Jak długo pozostała uśpiona w tych dziwnych warunkach, nie wiedziała. Obudził ją turkot i brzęk żelastwa. To chłop jakiś jechał lichym wózkiem, na którym leżały dwa pługi. Widocznie już od dłuższej chwili

obserwował niezwykłe zjawisko, na twarzy bowiem miał zabobonne przerażenie i krótko trzymał konia, który strzygł uszyma. Lili uśmiechnęła się i powitała go w imię Boże po białorusku. Odpowiedział z widoczną ulgą.

— A panienka skąd ma tego niedźwiedzia?

— Z lasu, jak wszystkie.

— Oswojony od małego?

— A tak.

— Ładnie wam z sobą do pary.

Zaśmiał się i pogonił konika, wiele razy jednak oglądał się jeszcze i kręcił głową ze zdumieniem.

Potem szło dwóch robotników; na widok niedźwiedzia zeszli ostrożnie do rowu, a gdy jeden z nich go minął, puścił za nim kamień. Nik mruknął z nieukontentowaniem, a Lili wyjęła rewolwer i pogroziła nim w stronę atakujących.

Potem przejechał znowu wózek z dwojgiem ludzi, ale zarówno chłop jak baba spali, kiwając się na wszystkie strony, tak że panna z niedźwiedziem przesunęła się niespostrzeżona.

Potężna, zbita masa drzew zalegała już horyzont jak długi i szeroki, gdy na drodze, wynurzającej się z tajemnic pełnej puszczy, wyjechał furgon, wiozący kilkunastu żydów do Białegostoku. Lili nagle ogarnęła chęć żartu, zeskoczyła do rowu, zachęcając Nika, by szedł za nią: stoczył się ciężko jak kłoda i legł w trawie, widocznie rad ze spoczynku. Dopiero gdy furgon był już o kilkanaście kroków, gwizdnęła znacząco i pchnęła niedźwiedzia na drogę. Wychylił nad rów swój łeb potężny i wyskoczył

wprost na furgon. Podniósł się wrzask nie do opisania. Żydzi, żydówki, dzieciaki, wszystko rzuciło się na przód wozu, jakby usiłując przenieść punkt ciężkości i zmusić konia do szybszego biegu. Jakaś tłusta żydówka, wypchnięta przez tłoczących się, wisiała na drabinie wozu, rękoma sięgając prawie ziemi i wrzeszcząc jak opętana. Szczęściem, że suknie jej, przytrzymane kolanami klęczącej na siedzeniu towarzyszki, nie poszły wślad za głową.

Lili wychyliła się z rowu i śmiała się do rozpuku. Potem wyskoczyła lekko, wzięła niedźwiedzia na obrożę i poszła w stronę lasu. Odrazu ogarnął ją jakiś wewnętrzny niesmak na myśl, że bawiła się tak po ulicznikowsku w chwili, która była przecie bardzo poważną. W smutnej zadumie doszła do lichej wioseczki, leżącej w rozpoczynającej się rzadkiemi sosnami puszczy.

Tu niedźwiedź wzbudził mniejszą sensację niż panienka. Ze wszystkich chat, ze wszystkich kątów wybiegi chłopi, baby i dzieci, patrząc na nią wielkiemi oczyma, pokazując palcami i czyniąc ciche uwagi.

Lili czuła się śmiertelnie zmęczona. Od czterech godzin szła dobrym marszem, spostrzegłszy przeto ławkę przed jedną z chat, siadła, zrzuciła ciężką pelerynę i poprosiła, aby dali jej co zjeść. Gospodyni przyjęła to życzenie z widocznem zadowoleniem. Zapach gotowanego śniadania już się rozchodził, przyniosła więc niezwłocznie miseczkę ciemnej zacierki z mlekiem. Lili to skromne śniadanie smakowało jak żadne. Pamiętała też o niedźwiedziu, któremu kazała przynieść parę garncy owsa. To polecenie nie zostało przyjęte z tą samą pochopnością co pierwsze,

przeciwnie, gospodyni zafrasowała się.

— My owsa nie siejemy, — rzekła — sami kupujemy, a drogi jest, strasznie drogi.

— To nic, zapłacę.

Gospodyni wyniosła z komory kobiałkę pełną owsa.

— Mój chłop zapłacił za to 40 kopiejek — rzekła z przejęciem.

— To bardzo tanio.

Gospodyni spojrzała na nią zdumiona i zgorszona nieledwie, przyglądała się jak niedźwiedź opróżniał pośpiesznie cenną kobiałką.

I Lili i niedźwiedź posilili się dostatecznie, ale dziewczę siedziało jeszcze, wypoczywając i rozmawiając z kilku ludźmi, którzy nadciągnęli, patrząc na rzadkiego gościa. Po godzinie powstała, informując się, którą drogą najprędzej dojdzie do wielkich uroczysk. Wskazano jej ścieżynę, którą za dwie godziny miała się znaleźć w Teremiskach, gdzie pierwszy lepszy starszy człowiek zaprowadzi ją za kilkanaście kopiejek do uroczyska, zwanego Teremiski bór, lub do dalszego, a straszniejszego jeszcze, noszącego nazwę Hacisk Dworzyszcze. Na pożegnanie podała Lili gospodyni rubla.

— Nie mam reszty, — rzekła zakłopotana — może posiadacie drobne?

— Nie potrzeba mi nic wydać.

— Przecież owies kosztował tylko czterdzieści kopiejek.

— A moje śniadanie?

— Tego się u nas nie sprzedaje; Chrystus nauczył: podróżnego w dom przyjąć.

— Zatem przyjmijcie to dla dzieci na pierniki, — odrzekła i odeszła wśród podziękowań i błogosławieństw.

Weszli w szczery, nieprzebyty bór.

Niedźwiedź uczuł puszczę, podniósł łeb, zaryczał jakby triumfalnie i wymijając Lili, szedł naprzód; porzuciwszy bitą drogę, przedzierał się przez gąszcza, łamiąc krzewy, przeskakując obalone olbrzymy leśne. Lili podążała za nim, jakby ciągnięta magnetyczną siłą, nie mogąc jednak pozbyć się trwożliwego niepokoju, gdzie powiedzie ją ten niezwykły przewodnik.

A on znalazł drogę…

Nie ręką ludzką jednak była ona zrobioną. Wrzosy nie były wydeptane ludzką stopą, rosły bujne, zielone, jeszcze nie przybrane nawet w drobne pączki, ale krzewy, łamane snadź rok rocznie, rosły po bokach tej drogi karłowate, o dziwnie kończących się gałęziach. W jednem miejscu na krzaku ciernia spostrzegła Lili kosmyk niedźwiedziego futra. Niko spostrzegł go także i powąchał z lubością. Dalej zabielił się szkielet jakiegoś zwierzęcia — lisa czy borsuka… Jedna kłoda, leżąca wpoprzek, była w środku poznaczona uderzeniami rogów.

Cisza panowała przejmująca, tylko w górze konary drzew szumiały monotonnie, jak odległe morze.

Lilę przejęła trwoga.

Dokąd zaprowadzi ją Niko, czy nie do ostępu, w którym otoczą ją dzikie zwierzęta, aby poniosła straszną śmierć, igrzyska rzymskie przypominającą? Stanęła przed niedźwiedziem, zastępując mu drogę. Zatrzymał się zdziwiony, a ona otoczyła rękoma jego szyję i poczęła

szeptać do ucha:

— Żegnaj mój miły, mój stary przyjacielu. Lili nie daruje cię jak zabawkę, która znudziła się, lub jak znoszoną suknię. Lili nie odda cię obcym, którzy może uczyliby cię tańca z zastosowaniem gorących blach, albo sztuk — biciem i głodem. Odprowadzam cię do puszczy, oddaję cię twojej dobrej matce-puszczy. Tu będziesz szczęśliwy; jesteś większy i silniejszy od tutejszych niedźwiedzi… Może obiorą cię królem… Bądź szczęśliwy, mój mały olbrzymie, będziesz nim, bo jesteś wolny! Panienka darzy cię największem szczęściem — darzy cię wolnością.

Całowała zwierzę, które stało jak w ziemię wrosłe, od czasu do czasu tylko wznosząc łeb, jakby chciało również szepnąć jej coś serdecznego do ucha.

Niechętnie wypuszczała go z drobnych ramion, żal jej było wychowańca, strach puszczy, którą miała przebywać sama. W domu projektowała, że pójdzie drogą do której z wiosek w głębi puszczy i stamtąd jakiemu przewodnikowi każe odprowadzić się do uroczyska, z nim wróci, a w wiosce najmie konie do Sołohub. Nik po raz pierwszy okazał się samowolnym i poszedł za głosem instynktu, drogą żubrów i niedźwiedzi.

— Pa, mój mały, pa, mój mały, — mówiła do olbrzymiego zwierzęcia, odstępując o kilka kroków i zwracając się na drogę, którą przyszła. Nik, choć niechętnie, zawrócił się także.

— Tam! — zawołała, rozkazującym gestem wskazując głąb puszczy.

Niedźwiedź przyszedł do jej nóg i począł jak pies lizać

jej stopy. Lili ucałowała go raz jeszcze i powtórzyła rozkaz, a gdy nie skutkował, wyjęła rewolwer i dała dwa strzały w powietrze. Nik instynktownie rzucił się ku gęstwinie, a Lili ukryła się za drzewo, wyglądając z ukrycia. Niedźwiedź biegł kilka chwil przed siebie, a potem przystanął i obejrzał się wokoło, widocznie szukał swej pani; nie spostrzegłszy jej, podniósł łeb i zaryczał kilka razy doniośle, rozdzierająco. Puszcza powtórzyła ryk potężnym echem, a on rzucił się za tym głosem i szedł naprzód, łamiąc krzaki i młode drzewa, które z szelestem i jękliwym trzaskiem padały poza nim.

Lili patrzała za nim długo, aż znikł za kępą olbrzymich olszyn, wtedy wyprostowała się, otuliła burką, bo dreszcz ją przejął, i szła pośpiesznie, aby odnaleźć ślady niedźwiedzia, zanim trawy wysuszone słońcem z rosy podniosą się, zacierając je na zawsze.

Smutek ogarnął ją wielki i poczucie samotności i lęk przed puszczą i przed powrotem do domu i przed najbliższemi dniami, w których wiedziała, że ma się rozegrać coś bardzo doniosłego.

VI.

W wiosce pod puszczą, u tej samej gospodyni, która przyjęła ją śniadaniem, najęła mały wózek z końmi. Wózek trząsł okropnie po wyboistej drodze, chłop nie przestawał coś opowiadać monotonnym, śpiewnym akcentem, a ona nie słyszała i nie czuła nic, cała pochłonięta myślami i strasznem zmęczeniem. Dopiero widok muru, otaczającego

ogród w Sołohubach, wyprowadził ją z zadumy. Zatrzymała chłopa, zapłaciła mu sowicie i poszła przez park prosto do dworu. Spojrzała na zegarek, dochodziła dziesiąta.

Okiennice w sypialni pani Janiny były jeszcze zamknięte, natomiast z pokoju Krysi dochodził głos panny Wacławy, wykładającej coś w języku francuskim.

Lili udała się naprzód do swego pokoju, zrzuciła burkę, zmieniła wilgotne obuwie i weszła do pokoju, w którym odbywała się lekcja.

— Gdzieś ty się podziewała, Lili? — zawołała Krysia.

— Nie kładłaś się wcale spać; łóżko twe było nietknięte — dodała panna Wacława.

— Nie mógłam spać dzisiejszej nocy — odrzekła i zasiadła na swem zwykłem miejscu przy stole.

Panna Wacława i Krysia popatrzały na nią z niepokojem; była bardzo mizerna i jakby zgaszona, najbardziej jednak uderzał wyraz jej twarzy, która stała się poważną i niezwykle skupioną. Jakieś silne postanowienie zarysowało głęboką zmarszczkę między jej brwiami, a usta zacięły się bólem, który nie skarżył się i nie wyskarży się nigdy. Wymieniły między sobą znaczące spojrzenie, a zamiar zrobienia jej wymówki za spowodowany niepokój prysnął zupełnie.

— Pójdź na śniadanie, Lilusiu.

— Dziękuję.

Ręce skrzyżowała na piersiach, zwróciła na nauczycielkę poważne spojrzenie i zdawała się bardzo uważnie słuchać wykładu, po nie długiej chwili jednak oczy jej zaczęły przybierać wyraz mętny, powieki coraz niżej się

opuszczały, usta rozchyliły się lekko, głowa opadła na piersi, i usnęła jak znużone dziecko.

— Biedactwo, cierpi nad czekającem ją rozstaniem z Nikiem — szepnęła panna Wacława.

— Ręczę, że dziś całą noc przesiedziała przy nim na dywanie, a potem chodziła na pożegnalny spacer — dopełniła Krysia.

— Czy ciocia dziś odeśle niedźwiedzia?

— Nie, ten jenerał ma za kilka dni sam po niego przyjechać.

— To dobrze, potrochu oswoi się z koniecznością rozstania się z faworytem.

Lili nie spała długo, jedno silniejsze opadnięcie głowy zbudziło ją ze snu, ale nie ukrywała już znużenia, przeciwnie, zaznaczając silny ból głowy, położyła się do łóżka, prosząc, by ją pozostawiono jak najdłużej samą. Rzeczywiście dopiero pod wieczór zadzwoniła, poleciła służącej, by poprosiła do niej Krysię.

Wezwana przybiegła pochopnie, niosąc na tacy filiżankę gorącego buljonu, kawałek zimnego kurczęcia i miseczkę kompotu. Lili dość chętnie zjadła to wszystko; młody organizm domagał się posiłku.

— Jak ci jest, złoteczko? — pytała Krysia, pieszcząc przyjaciółkę.

— W tej chwili nieźle; ale ja wiem, że to trzydniówka migrenowa… miewałam taką dawniej. Jutro rano znowu będzie mi bardzo źle i dlatego proszę cię o przestrzeżenie, żeby nikt nie wchodził do mnie przynajmniej do południa; jedynie zupełna cisza sprawia mi ulgę.

— Zabronię nawet wchodzić do czerwonego pokoju i do salonu.

— Dziękuję ci.

Lili zarzuciła ręce nad głowę i długo patrzała w sufit, potem odezwała się głosem matowym, jakby do siebie samej:

— Ja jednak postąpiłam bardzo podle.

— Kiedy?!

— Wówczas, gdy zabierano Jurka.

— Ty?!

— Tak ja… Ja powinnam była powiedzieć, że pomagałam mu w nauczaniu dzieci po polsku.

— Byłabyś była postąpiła bardzo nieroztropnie; zabraliby was oboje i my zamiast martwić się o jedno, martwiłybyśmy się o dwoje.

— Masz rację!… Ja powinnam była powiedzieć, że to moja szkoła.

— Jurek nie byłby przyjął nigdy takiej ofiary od ciebie… A ciocia!… Pomyśl, jakie byłoby położenie cioci? Jaka odpowiedzialność jej wobec twego ojca, który powierzył cię z całem zaufaniem; co powiedziałaby mu na zarzut, że pozwoliła ci zaangażować się w tak niebezpieczną sprawę?

— Zapewne byłoby jej bardzo przykro. Ale mnie uwolnionoby na pewno po krótkim czasie, gdy ojciec rozpocząłby za mną starania.

— Ah, moja Lili, czyż mało kobiet z najwyższego towarzystwa petersburskiego, nawet księżniczek krwi, więdło w kazamatach Szliselburga!

— Tak, ale za poważniejsze rzeczy; za zamachy stanu…

Za szkołę polską ojciec zapłaciłby parę tysięcy łapówki, parę tysięcy kary i byłby spokój… Tak, Krysiu, nie broń mnie, bo mnie nie przekonasz. Jestem podły tchórz, przynajmniej byłam!… Ale ja to naprawię — dodała po chwili jeszcze ciszej.

— No, już się nie masz co martwić, zato ceną twego faworyta uzyskasz wolność Jurka.

Lili westchnęła.

— Znowu zaczyna mnie boleć głowa!

— Czy mam odejść?

— Jeśliś łaskawa…

— Jakżesz ceremonjalnie do mnie mówisz.

— To tak cierpienie mnie ogłupiło.

— Ciocia pytała, czy może do ciebie przyjść.

— O nie!…

— Czemu nie?… Ciocia ma wrażenie, że gniewasz się na nią za rozporządzenie Nikiem.

— Jeśli tak sądzi, to poproś, niech przyjdzie. Ale na Boga, niech nie gderze na mnie, że mnie głowa boli z własnej winy, że noc zmarnowałam…

— Ah, Lili, czyż to do cioci podobne?… Ona taka dyskretna, taka delikatna!…

— Prawda, nowe głupstwo powiedziałam… ale widzisz… chora jestem!

I jakby chcąc wynagrodzić tę jedną myśl niesprawiedliwą, upieściła ciotkę, gdy ta przyszła do jej łóżka, bardziej niż kiedykolwiek. Ale wbrew poleceniu jej, by starała się usnąć, skoro tylko odeszły z Krysią, wstała, zarzuciła szlafroczek i długo kręciła się po pokoju,

porządkując go, potem układała w szufladach biurka, wreszcie zamknęła je klapą z laki i na wysuniętym blaciku jęła pisać co następuje:

»Cioteczko droga i Krysiu moja najmilsza, doszłam do przekonania, szkoda, że tak późno, że powinnam siedzieć zamiast Jurka, naprzód dlatego, że grom ten ja na wasz dom ściągnęłam mojem dziecinnem drażnieniem Timirasiewa, powtóre, że ja łatwiej wyjdę z tych perypetyj. Nie łudzę się, aby po zaaresztowaniu mnie, mieli wypuścić zaraz Jurka, ale wiem, że na wiadomość o tem, że ja jestem w niebezpieczeństwie, przybędzie zaraz papa, a gdy on osobiście zacznie za mną chodzić, wypuszczą nas oboje.

»Nie mów, Cioteczko, żem szalona, to dzieło zwykłej sprawiedliwości.

»I niech Ciocia nie pośpiesza czem prędzej za mną do Grodna, gdy jest chora i doktór polecił jej spokój. Przecież po odebraniu tego listu nie mogłaby Cioteczka już pojechać inaczej jak »wołowym pociągiem« na noc, lub rano pośpiesznym, do tego czasu ja w każdym razie będę już uwięziona. Lepiej przeto niech Ciocia się nie rusza, tylko wyszle pana Słodyczkę, aby zatelegrafował do papy i Was zawiadomił telegraficznie o tem, co się ze mną dzieje.

»Pa, Cioteczko złota, wybacz to nowe zmartwienie, którego ja jestem powodem; ale mam silne przeświadczenie, że tym razem obróci się ono na pocieszenie nas wszystkich.

„Ściskam i całuję najczulej

Lili.«

List odczytała, włożyła w kopertę, zaadresowała, potem nastawiła budzik na godzinę 5-tą, zmówiła pacierz i zupełnie spokojna położyła się do łóżka.

Nie bez potrzeby budzik zaczął dzwonić swój krzykliwy hejnał: zbudził Lili z tak mocnego snu, że w pierwszej chwili, nie otwierając oczu, mechanicznie pochwyciła go z nocnego stolika i wsunęła pod poduszkę, ale głuche jego warczenie pod samem uchem, choć stłumione warstwą pierza, roztrzeźwiło ją prędko, siadła przeto na łóżku, przeżegnała się, spojrzała w okno, które różowiły pierwsze promienie słońca, i lekko skoczyła na dywan. Tak jak była, w nocnej bieliźnie zdjęła z szafy niedużą walizkę, okurzyła ją starannie, i jęła pakować kilka sztuk bielizny, najskromniejszą suknię, ciemny szlafroczek, trochę książek i drobiazgów. Poduszkę i kołdrę zapakowała w futerał z żaglowego płótna ściągany paskami, a potem prędko zabrała się do tualety. Pół godziny nie upłynęło, a była już ubrana w granatowy kostjum podróżny i miękki kapelusz. Wziąwszy w rękę oba bagaże, wyszła cicho, obchodząc ogrodem w dworskie podwórze.

Cicho tu było i pusto. Fornale wyjechali już w pole, bydło i owce wygnano na pastwiska, pootwierane budynki dyszały mdłą wonią, pozostawioną po nocy przez inwentarz. Tylko koło cugowej stajni kręcił się stangret Hieronim, który spostrzegłszy panienkę dźwigającą bagaże, kłusem pobiegł do niej.

— Rany Boskie! panienka sama niesie, a co robi ten wałkoń Szymek?

— Nie spotkałam go, a nie chciałam zbudzić kogo

wołaniem, nic się nie stało… Jak widzicie, to wcale nie ciężkie.

— Jedziemy do miasta?

— Tak jest, zaprzęgnijcie bułanki; ja tu poczekam.

Weszła do wozowni i przysiadła na pace; bała się być widzianą przez kogo ze służby.

Hieronim zaprzągł »duchem«, i niebawem lekki wolancik unosił szybko Lili w stronę odległej o trzy mile stacji kolei.

Zegar na pojezuickim gmachu uderzał dwunastą i wszystkie kościoły Grodna dzwoniły na Anioł Pański, gdy młoda panienka zajechała przed pałac gubernatora. Była tu kilkakrotnie z ciotką, na którą czekała zawsze w dorożce. Tym razem wysiadła i skierowała się na schody z bramy, nad którą czernił się orzeł dwugłowy, malowany na owalnej, żółtej blasze. W poczekalni siedziało kilka osób o twarzach strapionych i niespokojnych. Lili stanęła i rozejrzała się niepewnie.

— Czego panienka sobie życzy? — zapytał żandarm, pilnujący drzwi gabinetu.

— Chciałam się widzieć z panem jenerałem,

— *W czom dieło?*[11]

Zawahała się chwilę.

— Osobista sprawa — odparła niepewnym głosem i bardziej jeszcze niepewnym ruchem wysunęła rękę z pięciorublówką ściskaną w palcach.

Zaczerwieniła się przytem jak winowajca. Żandarm natomiast zręcznie i ze spokojem odebrał papierek, wsunął do kieszeni i podsunąwszy jej krzesło, zapewniał, że

generał przyjmie ją niebawem. Potem podszedł do okna, rozwinął banknot, a przekonawszy się, że to aż pięć rubli, wyniósł wyścielany fotel z przyległego pokoju, zachęcając panienkę, by usiadła pod oknem, wychodzącem na ogród. Ale ona zaprotestowała potrząśnieniem głowy i siedziała na drewnianem krześle głęboko zamyślona i blada.

Drzwi od gabinetu otworzyły się nagle, wyszedł z nich jakiś urzędnik w mundurze.

— Czy pani ma prośbę? — zapytał żandarm stróżujący drzwi.

— Tak.

— To proszę.

Nie zrozumiała gestu, z jakim wyciągnął do niej rękę i postąpiła ku drzwiom.

— Pani nie ma prośby na piśmie?

— Nie.

— To jakże można tak bez *bumagi*[12].

Zastąpił jej drogę do gabinetu, ale w Lili zbudziło się wspomnienie poczekalni gubernatora w Janisiejsku, gdzie adjutanci, urzędnicy i żandarmi nisko jej się kłaniali, i krew w niej zagrała.

— Proszę mnie puścić — rzekła tonem rozkazującym. — Nie mam czasu.

Było tyle wyniosłości w jej głosie i ruchu, że żandarm zmiękł i pośpiesznie drzwi otworzył.

Weszła do obszernego gabinetu, raczej salonu o czerwonem obiciu i meblach aksamitnych z początków XIX stulecia. Przy biurze siedział mężczyzna w białym kitlu ze złotemi guzikami. Miał twarz szlachcica polskiego, wąs

sumiasty i wesołe spojrzenie. Zjawienie się w gabinecie młodej panienki, bardzo wykwintnej, zdziwiło go widocznie; odrzucił się w głąb fotela, gestem wskazał jej krzesło przy biurku i nie spuszczał z niej oczu.

— Czem mogę służyć? — zapytał, gdy usiadła.

A ona czuła, jak serce jej biło, zdawało się, że w gardle i że myśl umknęła nagle z mózgu, zabierając z sobą okrągłe, logiczne i mądre zdania, które przygotowywała sobie w czasie całej drogi i w poczekalni. Wytężyła jednak wszystką energję, by z pustki, jaką czuła w mózgu, wydobyć świadomość jedną, dominującą, świadomość celu, z jakim przybyła. Podniosła główkę, odgarnęła loczek, który spadł jej na oczy, i rzekła jednym tchem:

— Proszę, żeby mnie pan kazał zaaresztować.

Fotel, pchnięty przez siedzącego, potoczył się o kilka cali w głąb pokoju. Jenerał Matiuszyn bił się w wojnie tureckiej, uzyskał kapitańskie szlify i dwa krzyże za waleczność, ale bał się niezmiernie zetknięcia się z ludźmi, których władze umysłowe są w jakimkolwiek stopniu zachwiane. Obejrzał się za siebie, a przekonawszy się, że niskie okno wychodzące na ogród jest otwarte szeroko, nabrał ducha i ciekawe spojrzenie skierował na przybyłą. Ale dziecinna jej twarzyczka tchnęła taką determinacją, a duże szafirowe oczy miały wyraz takiego rozumu, że przestał wątpić o przytomności dziewczęcia, natomiast powziął podejrzenie, że jest to jedna z tych egzaltowanych istot, co pragną zdobyć nimb męczeństwa za jaką bądź cenę.

— Zachciało się poznać rosyjskie więzienie? — zapytał

dobrodusznie i ujął ją pod brodę.

Usunęła się wyniośle, dotknięta lekceważącym tonem i gestem.

Wstała.

Była już zupełnie panią siebie.

— W listopadzie roku zeszłego — zaczęła spokojnym, choć cichym głosem — zaaresztowano w majątku Sołohuby Jerzego Stawnickiego, który dotychczas siedzi w tutejszem śledczem więzieniu. Otóż przychodzę oznajmić, że jest on więziony zupełnie niewinnie. Szkołę bowiem, o której prowadzenie go pomawiają, miałam ja i ja dzieci uczyłam, na co mogę przedstawić świadków.

Generał pokiwał głową.

— Ot *głupaja malutka!*

Takie potraktowanie znowu podrażniło Lilę.

— Komunikuję, że uczyłam dzieci po polsku i uczę dotychczas, jestem więc winną wobec praw rosyjskich — zawołała głośniej.

Generał zrobił gest, jakby chciał jej zatkać usta, a potem machnął dwukrotnie chustka, jakby chciał spędzić niesforną muchę.

— Ciszej, ciszej! — wołał. — No wiem, panienka kochasz Stawnickiego…

Wyraz niekłamanego zdziwienia odbił się na jej twarzy i kazał zamilknąć generałowi, aby zaniechał obelg, spostrzegłszy ich niesłuszność. Na policzki Lili wystąpił rumieniec i obejmował powoli czoło, uszy, szyję…

— Pan się myli, panie generale — odezwała się, opanowując się znowu — ja przyszłam to zakomunikować,

bo to jest prawda.

— Ale skądżeż pani przyszło uczyć po polsku? Sądząc po akcencie, jest pani rodowitą Rosjanką.

— O nie, jestem Polką do szpiku kości, choć urodzoną i wychowaną na Syberji.

— Jak wasze nazwisko?

— Murzińska.

— Murzińska… Murziński… Murzińskij… Czekaj pani… Czy ojciec pani nie ożenił się z panną Jucewicz?

— Tak jest.

— Z córką Pawła Wacławowicza Jucewicza?

— Tak…

— Mój Boże, mój Boże, Paweł Wacławowicz!… Mój druh, mój dobry druh… Kolega z jednej ławki w gimnazjum w Mińsku i z korpusu kadeckiego. Towarzysz broni z wojny tureckiej… Dobry, dobry przyjaciel… Gdzie on teraz?

— Jest gubernatorem jenisiejskiej gubernji.

— Gubernatorem!… choć Polak… Powinszować, powinszować… Jeden wspólny przyjaciel mówił mi, że Paweł Wacławowicz wydał swoją jedynaczkę za Murzińskiego… mówili, że to bardzo mądry człowiek… To ojciec pani?

— Tak, panie jenerale.

Oczy Matiuszyna zaśmiały się jowjalnie.

— Taki mądry człowiek, a ma taką głupią córkę! — zawołał.

Lili zadrżała z gniewu.

— Panie jenerale!

— Prawdę mówię. Co za czort każe ci gadać o tem, żeś jakiegoś bachora uczyła *azbuki*[13] polskiej.

— Sprawiedliwość każe mi tak postąpić! Za mnie siedzi niewinny.

— Niewinny, niewinny, nie taki on bardzo niewinny. Zresztą za niego jest okup. A ty *mała*, wnuczko Pawła Wacławowicza, siedzieć cicho i o tem ani mrumru.

— Panie jenerale, ja wiem, że dziś niema innego sposobu, jeśli nie zostanie zaaresztowany winny, to jest ja… nic już nie zwolni Stawnickiego.

— A to uparta koza!… *Wot wydumała!…*[14] Tobie się zdaje, że to rozkosz więzienie… jak posiedzisz z miesiąc, ze dwa, to inaczej śpiewać będziesz. To te Polki mają tak przewrócone w głowie, każdej chce się być męczennicą.

Uwaga ta dotknęła miłość własną Lili.

— Właśnie nie dla taniego efektu chcę być zaaresztowaną zamiast Stawnickiego, ale dlatego, że wiem, że to pobudzi ojca do rozpoczęcia tak energicznych starań, że zostanę w niedługim czasie uwolniona, albo wykupiona.

Matiuszyn pokiwał głową i popatrzył na nią z admiracją.

— *Wot nie tak głupaja, kak ja dumał,*[15] — rzekł z uśmiechem.

A Lili spostrzegła się teraz, że odkryła swe tajne karty, i łzy niemocy napłynęły do jej oczu.

— Zanimby papasza przyjechał a przeprowadził starania, upłynęłoby przynajmniej ze 4 tygodnie.

— Wiem o tem.

— Przez ten czas pozostawałabyś w więzieniu.

— Tak jest.

— A wiesz, jak się przedstawia nasze więzienie?

Potrząsnęła głową.

— To popatrz.

Z jednej z szuflad biurka wyciągnął dużą fotografję, przedstawiającą wnętrze wąskiej izby o jednem zakratowanem oknie, której umeblowanie stanowiło kilka nar, stół i ława.

— Ładny salon, co?

Wzruszyła ramionami.

— A nie widać tu jeszcze tego, że ten salon roi się od robactwa, myszy i szczurów; wszy nie do wytępienia wciskają się w ubranie i włosy delikwenta i nieprzyzwyczajonego doprowadzają do szaleństwa ciągłem, nieustannem toczeniem.

Lili się wstrząsnęła.

— Biedny Jurek — szepnęła cichutko.

— I myślisz, że sama ten lokal zajmować będziesz? O nie, panienko!… będą siedziały z tobą złodziejki, awanturnice, może i jaka morderczyni,… dzieciobójczyni,… bo taka najłatwiej… zdarzy się na odmianę. Nauczysz ty się, nauczysz ładnych słówek! ładnych piosenek!… Lubić cię nie polubią, bo im gorsza łajdaczka, tem bardziej politycznych, a zwłaszcza młodych i ładnych, nie cierpi.

Uchwycił ją nagle za obie ręce i spojrzał prosto w oczy.

— Chcesz być aresztowaną, co, mała?

— Tak, panie generale!

Matiuszyn wyciągnął ręce, odskoczył, plunął ze złością.

— *Sumaszedszaja, prosto sumaszedszaja!*[16] — zawołał.

Przeszedł się kilka razy po salonie i znowu stanął przed nią z rękoma w kieszeni.

— Zatem zaaresztuję panią.

Skłoniła głowę i stała wyczekująca.

— Ale protokół muszę spisać na miejscu przestępstwa, a że dziś po południu miałem jechać do Sołohub po przyobiecanego mi niedźwiedzia, zabiorę panienkę i na miejscu przestępstwa, po przeprowadzeniu odręcznego śledztwa oddam w ręce żandarmów.

Spojrzała na niego niemal z wdzięcznością. Generał wyjął zegarek.

— Teraz jest pierwsza, a pociąg odchodzi o 3-ciej minut 20. Ma pani czas zjeść obiad… tu naprzeciwko jest restauracja Brańskiego, bardzo porządna.... A najpóźniej o 3-ciej musi być pani na dworcu.

— Dobrze, panie jenerale.

Wziął ją znów pod brodę i uśmiechnął się jowjalnie.

— A nie da pani tymczasem nogi gdzie w świat? zagranicę?

— O nie, panie generale! — zaprotestowała z głębokiem przekonaniem. Zresztą niech mi pan doda żandarma.

Uśmiechnął się pod wąsem.

— Już on będzie pilnował panią zdaleka.

Ukłoniła się i wyszła z lżejszem sercem, niż tu wchodziła. Nie poszła jednak do restauracji, w której oknach widziała wielu panów cywilnych i wojskowych, tylko się udała do cukierni, gdzie zaspokoiła głód czekoladą i ciastkami.

O 3-ciej stawiła się na dworcu. Niebawem wszedł do poczekalni jenerał, uśmiechnął się przyjacielsko i podszedł do niej z zapytaniem:

— Ma już pani bilet?

— Nie jeszcze… nie wiedziałam czy konwój…

— Konwojować panią będę ja.

Zwrócił się do postępującego za nią z walizką numerowego.

— Postaw tu rzeczy i kup dwa bilety pierwszej klasy. Ma pani jaki bagaż?

— Mam walizkę i pościel u portjera. Ale nie będę odbierała, skoro mam tu wrócić; tam są tylko rzeczy niezbędne mi w więzieniu.

Generał się uśmiechnął.

— Czy ja wiem, czy pani tu będzie odsiadywała więzienie? Może pozostawię panią w Białymstoku. Proszę o numer, jak przyjdzie tragarz, każę mu wynieść te rzeczy do wagonu. Umieści je razem z panią w damskim przedziale, bo ja zawsze śpię w wagonie bez przebudzenia… Zresztą nie wypada mi jechać razem z aresztowaną.

W Białymstoku na dworcu czekały konie naczelnika powiatu, zamówione telegraficznie przez gubernatora; była to ta sama trójka zeprzęgnięta w orła, którą przyjechał Timirasiew. Matiuszyn z całą galanterją pomógł wsiąść Lili i zabawiał ją przez drogę, przechodząc z tematu na temat. Dziewczynka była smutna, wyładowała całą swą energję i teraz z przerażeniem przedstawiała sobie życie czekające ją w więzieniu i przypuszczalną bezcelowość ofiary, jeśli

gubernator rozgniewa się nie znalazłszy w Sołohubach przyrzeczonego niedźwiedzia.

Serce biło jej jak młotem, gdy podjeżdżali pod ganek. Wbiegła pierwsza na schody i wpuściła generała do przedpokoju, a że ciemno było zupełnie, wzięła zapałki z tacki niedźwiedzia i zapaliła lampę trzymaną przez niego.

Matiuszyn stanął zdumiony, zapatrzywszy się na niezwykłego lokaja, upuścił czapkę z ręki; Lili ulegając podszeptom swej figlarnej natury, schyliła się, podniosła ją i bez namysłu włożyła na łeb niedźwiedzia, z fantazją na bakier ku lewemu uchu. Generał począł się śmiać do rozpuku.

— Ot figlarka! ot sprytnierka! — wołał — ot czapkę generalską wymyśliła komu włożyć!

— A to bestja!… Wygląda jak pijany jakut!…

— Ale olbrzym, bo olbrzym… Szkoda, że to zdechło, nie doczekawszy się mego przyjazdu… Ha, niedźwiedzie z Alaski nigdy długo u nas nie żyją!… Ale państwo obmyślili zrobić z niego portjera!… Ha ha ha!… dali mu lampę i tackę… Ha, ha, ha! *Służy, rabie!*…[17] Taki twój los!

Aż się trząsł od serdecznego śmiechu.

Właśnie weszła pani Janina, zawiadomiona o przybyciu gościa. Od wczorajszego dnia troska o Lilę przysporzyła jej lat kilkanaście, to też ujrzawszy ją niespodzianie, omal nie zemdlała z wrażenia. Dziewczynka rzuciła się jej w ramiona.

— Jenerał pewnie przyjechał po Nika — rzekła ciotka, wśród uścisków — a on tymczasem znikł gdzieś od wczoraj bez śladu.

Jenerał tymczasem otarł załzawione od serdecznego śmiechu oczy, zdjął płaszcz, poprawił wąsy przed lustrem i zwrócił się do pani domu, witając ją szarmancko.

— Pysznie pani wymyśliła z tym niedźwiedziem. Ale on i tak mój… solennie obiecany. Musi mi go pani dać… choć trupem!… Choć wypchanego, gdy tak mądrze obmyśliła lokaja z niego zrobić po wiek wieki. Zabiorę jak swego!

Pani Janina spojrzała pytająco na Lili.

— Ależ prosimy, prosimy, panie jenerale, — zawołała panienka — zapakujemy go w odpowiednią skrzynię.

— Z lampą i tacką?

— Z lampą i tacką.

— A tacka srebrna?

— Tak, panie jenerale.

— To znakomicie. Ja wolę nawet dostać go w tym stanie, bo moja stara gderze, że wnuki będą się bały żywego niedźwiedzia, a ona za wnukami świata nie widzi.

— Zatem pan jenerał zadowolony z podarku?

— Bardzo… kto to wydumał tak urządzić?

— Moja bratanica, panie jenerale.

Matiuszyn wskazał oczyma Lili.

— Ona?

— Tak.

— Taka mądra! patrzcie państwo, a w czem innem… *krugom duraczok!* Wie pani, co ona wymyśliła? — dodał zasiadając w salonie.

Pani Janina westchnęła i spuściła głowę pod brzemieniem wspomnienia strasznych chwil, które przeżywała od dwóch dni.

— Wpadła dziś do mnie i woła: aresztujcie! aresztujcie! skóra mnie swędzi, chcę, żeby mnie wszy więzienne posmerały!

— Tak nie mówiłam — broniła się Lili.

— Biedaczka, chciała ratować krewnego za wszelką cenę…

— Za wszelką cenę!… za wszelką cenę… Cena była umówiona!

— Ale wobec tego…

— Wobec tego, że niedźwiedź wziął i zdechł, wezmę go jakim jest. Mało to się ludzi nazabijało o niedźwiedzią skórę. A młodzieńca wam oddam. Niech się ożeni z tą dziewuszką, jeśli mu się podobają ładne a głupie!

— A czy inne władze…

— Co inne władze!… Czort z niemi!… Umarł tu kto we dworze w ostatniem półroczu?

— Nie, nikt — odparła pani Janina, zdziwiona tym zwrotem.

— A na folwarku?

— Zmarł zeszłego miesiąca były ogrodnik, pozostający w Sołohubach w charakterze emeryta już od dziesięciu lat.

— Cudownie!… zrobiono!… Wiadomo, ogrodnicy to najwięksi patrjoci… Jak on się nazywał?

— Bolcewicz.

— Bolcewicz?

Jenerał wyjął notes i zapisał.

— A imię jego?

— Antoni.

— *Otczestwo?*

— Wiktorowicz.

— Ile miał lat?

— Siedemdziesiąt sześć.

— Gdzie urodzony?

— Tego nie wiem… ale mogę się dowiedzieć.

— Mniejsza, napiszemy: w Psiej Wólce, albo w Sołchubach… Dawno on tutaj

— Sześćdziesiąt lat tu mieszkał.

— Zatem urodzony w Sołohubach… A zmarł kiedy?

— Zeszłego miesiąca.

— Proszę o dokładną datę.

— Czternastego kwietnia — wtrąciła Lili.

Jenerał zapisywał.

— Zatem — rzekł z jowjalnym uśmiechem — Antoni Wiktorowicz Bolcewicz, liczący lat 76… A prawda… Jakiego wyznania?

— Katolik.

— …rzymsko-katolickiego wyznania, urodzony we wsi Sołohuby, powiatu prużańskiego, gubernji grodzieńskiej, utrzymywał od lat trzech tajną szkołę w wynajmowanym przez siebie od pani Janiny… przepraszam jak *otczestwo?*

— Witoldówna.

— Witoldówny Lewandowskiej pokoju… Rozumiecie, panie?

— Rozumiemy! rozumiemy! — zawołały radośnie.

— No i Antoniego Wiktorowicza Bolcewicza skaże się na zesłanie, pan Jerzy Stawnicki zaś wróci za trzy dni do Sołohubów.

— O, jaki pan dobry, panie jenerale!

— Tylko proszę dobrze upakować niedźwiedzia, bo jakbym się przekonał po rozpakowaniu, że ma przetrąconą łapę, to i ja przetrąciłbym łapę naszemu więźniowi! — żartował rubasznie.

Ale musiał Mikołaj I szczęśliwie dojechać do Grodna, bo trzeciego dnia gdy panienki, przewidując możliwość powrotu w dniu tym Jerzego, wyjechały naprzeciwko, ujrzały wyjeżdżającą z lasu bryczkę pocztową, a w niej siedzących dwóch mężczyzn, z których jeden poznał snać zaprząg, bo twarzy w żaden sposób rozróżnić jeszcze nie było można, gdyż porwał się nagle, stanął, wziął od pocztyljona trąbkę i zaczął grać jakąś doniosłą, triumfalną, choć trochę fałszywą fanfarę.

— Prędzej! prędzej Hieronimie — wołały panienki pełne radości.

Hieronim podciął konie, obie panienki stanęły także w wolancie, dając znaki chustkami. Nagle Lili krzyknęła i kurczowo pochwyciła ramię Krysi.

— Papo! papo! — wołała — papo jedzie z Jurkiem!

Nie mogła utrzymać się w miejscu, skoczyła na kozioł, potem na przód wolantu, wydarła bicz stangretowi i okładała nim konie, które rwały jak wiatr. Za kilka chwil była już w objęciach ojca, podczas gdy Krysia zawisła na szyi Jerzego.

— Ty warjacie, — wołał śmiejąc się przez łzy pan Murziński — coś ty wymyśliła nowego… poświęcić się za Jurka!

— Skąd papa wie?

— Ode mnie, moja dobra Lilusiu — odezwał się Jerzy,

całując rękę Lili.

— A ty skąd?

— Od jenerała, który z rozrzewnieniem opowiadał o twojem bohaterstwie.

Lili nagle żachnęła się gniewnie.

— Ot zwarjował stary, Bóg wie co ci naopowiadał… To wcale tak nie było!

— Grunt, żeście oboje cali i zdrowi i znowu razem w Sołohubach — odezwała się Krysia.

— Ale poco ja się tłukłem tyle dni koleją i po tej strasznej drodze!… szczęściem, że z Jerzym, z którym poznaliśmy się przy szukaniu koni na poczcie.

— Poco?… papa może jeszcze pytać poco tu przyjechał?

— No przecie!

Zawisła mu na szyi.

— Czy papa był kiedy szczęśliwszy, jak w tej chwili, mając tak swą jedynaczkę przy sobie po całorocznem utęsknieniu?

Pan Murziński nie mógł dłużej panować nad wzruszeniem; dwie łzy spłynęły na czoło panienki.

— No widzisz, papciu, no widzisz, bekasz sobie ze szczęścia, bekasz… i ja bekam… O, i Krysia… już… kap… kap… i Jurek tylko patrzeć jak beknie. Bośmy wszyscy szczęśliwi, tacy bardzo szczęśliwi! O, kochający się ludzie nie powinni się nigdy rozstawać ze sobą. I ja już nie chcę, nie chcę być dłużej bez ciebie, papusiu.

— Zabiorę cię do Krasnojarska, kochanie.

— O nie! co to, to nie!

— Więc?

— Ty papo, tu osiądziesz!

— Ja?

— Tak ty, z mamą, z chłopcami. Przecież i ich trzeba zacząć przerabiać na ludzi, bo to pół Moskale, a pół nicponie.

— Cóż ty sobie wyobrażasz, że to tak łatwa przesiedla się z jednego kraju do drugiego?

— Z jednego do drugiego — trudno, ale z obcego do swego człowiekowi mającemu duży majątek powinno być łatwo. Wiesz, papusieńku, jest tu do kupienia wspaniały klucz po hrabiu Woroninie; przy swoich stosunkach kupisz go z pewnością.

— Nie przeczę, żeby mi się to nie uśmiechało, zawsze marzyłem, żeby osiąść na starość na rodzinnej Litwie, ale kupić majątek nie znaczy jeszcze koniecznie ciągle w nim mieszkać. Za młody jeszcze jestem na emeryta.

— Nie emerytura czeka cię tu, papo, ale praca, praca ciężka, wymagająca sił i energji, dlatego nie pora brać się do niej na starość dopiero. Stargasz siły na pracy dla obcych, a tu wrócisz starcem wyczerpanym! Tak to nie będzie, papeczko! Musisz zlikwidować wszystko i wracać tu jak najprędzej, żyć naszem szczęściem i naszemi celami. Musisz mi… musisz mi…

Zawisła mu ze śmiechem na szyi.

— Musisz mi choć Mikołaja zastąpić!

— Prawda, przestajesz być panną z niedźwiedziem — odezwał się Jerzy z uśmiechem.

— Tymirasiew uważał ciebie za synonim tego zwierzęcia — odparła wesoło.

— To może zechcesz być na odmianę panią z niedźwiedziem? — zapytał z prostotą.

— A może!… Papo, co myślisz o tem… Jurek jest taki dobry, taki miły!

— Za wiele wrażeń naraz, za wiele, daj mi się w tem wszystkiem zorjentować.

— Mamy czas omówić to, papeczko, jak tu zamieszkasz; ja potrzebuję dość czasu, aby z Małej przerobić się na Wielką Niedźwiedzicę.

1. ↑ rozkosz.
2. ↑ bohater.
3. ↑ letnie mieszkanie.
4. ↑ kufrów.
5. ↑ łajdactwo
6. ↑ dwie spółgłoski, które w języku rosyjskim stosują się bez żadnej gramatycznej reguły.
7. ↑ skrzynka na proch.
8. ↑ bierz miód.
9. ↑ Panie, zmiłuj się nade mną !
10. ↑ Czy tu mieszka pan Jerzy…
11. ↑ Co za sprawa?
12. ↑ Papier.
13. ↑ Abecadła.

14. ↑ A to obmyśliła coś.
15. ↑ Jednak nie taka głupia, jak myślałem.
16. ↑ Warjatka! zupełna warjatka!
17. ↑ Służ, niewolniku.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Maria Bogusławska.*

Przygody Pensjonarki.

I.

Wańdzia Uszycka była to panienka nad wiek duża i rozwinięta, miała długie ciemne warkocze, twarzyczkę rumianą i oczy!… oczy takie, za które musiał polubić ją każdy, kto choć chwilę w nie popatrzył. Nie były to oczy ani duże, ani piękne, ot takie sobie szare, średnie oczy, jakich tysiącami na świecie, ale było w nich tyle szczerości, wyraz takiej dobroci, takiej wrażliwości na wszystko, takiego zainteresowania się ludźmi i przedmiotami otaczającemi, że lśniły jak tafla jeziora w słonecznym dniu, wiecznie migocąca blaskiem i odbijająca promienie.

Ale te strasznie miłe oczy bardzo często chowały się, zamieniając się w wąskie szparki; bywało to w chwilach śmiechu, lub gdy w myśli rodził się projekt jakiegoś figla. A figli tych tysiące przechodziły przez główkę Wandeczki. Stąd koleżanki nazywały ją najczęściej: Wanda de Łobuz Figlarska. Pomimo to, raczej i dlatego jeszcze była Wańdzia całem sercem kochana przez koleżanki; zdolna, pilna, uczynna, pomagała wszystkim mniej obdarowanym, a nadto towarzyszki, dzięki jej wesołemu humorowi i nadzwyczajnym pomysłom często tak się serdecznie uśmiały! A przecież to też coś warte na tym smutnym świecie!

Miała Wańdzia jeszcze drugi przydomek: Rymarka. Nazywano ją tak dla łatwości i zamiłowania w dobieraniu rymów. Niechno koleżanka zwróciła się do niej z prośbą:

— Wańdziu, pożycz mi kajetu!

Wnet odpowie:

— Do twego rozporządzenia wszystkie są te tu!

Albo powie jej sąsiadka:

— Wańdziu, rozplotły ci się włosy.

Na to ona:

— I nie grzmią niebiosy!

Czasem profesor zwraca się do niej:

— Proszę panią o ćwiczenie.

A ona wnet pod noskiem:

— Przenika mnie drżenie!

I tak zawsze. Czasami składała myśli bez związku, byle był rym, a im mniej było sensu, tem więcej śmiały się koleżanki.

Pewnego niedzielnego popołudnia, gdy z całego zastępu pensjonarek zaledwie dziesięć pozostało w murach pensjonatu, uprzyjemniając sobie czas muzyką i tańcem, weszła panna Aniela, siostra przełożonej, i rzekła zaraz z progu:

— Wańdziu, proszę do salonu.

— Gdzie zostaniesz aż do zgonu! — dokończyła półgłosem Wańdzia, zrywając się z krzesełka, na którem siedziała, akompanjując Reni Ofmańskiej w sławnym kotletowym walcu.

— Wańdziu, jakaś pani przyszła do ciebie.

— Zaraz, zaraz się wygrzebię, — szepnęła a głośniej

dodała:

— W tej chwili, proszę pani, tylko przygładzę włosy. Stacha, służ mi za zwierciadło, zrób oblicze swoje taflą jeziora Bodeńskiego, niech w niem Jungfrau ujrzy swoje oblicze… Czy tak dobrze?… To wspaniale! Jezioro, wracaj do swoich źródeł.

— Popraw pasek, bo bluzka wyłazi.

— Gość w salonie się przerazi!

— No, Wańdziu, co tak długo! — zawołała panna Aniela.

— Jestem jaśnie pani sługą.

Lekko jak sarenka pobiegła w stronę sali, przeznaczonej na rozmowę uczennic z rodziną i znajomymi.

W obszernym pokoju, jasno oświetlonym czterema lampami gazowemi, na krzesełku, stojącem między szafą z obrazami zoologicznemi, a szafą z obrazami botanicznemi, siedziała dama nadzwyczaj okazałej tuszy, ubrana w kraciastą suknię i fiołkowy kapelusz, przysłonięty długim zielonym woalem. Dama ta miała twarz bardzo czerwoną i spoconą, ale niezmiernie dobrą i pogodną.

Wańdzia wchodząc rozejrzała się po sali, upatrując jakiej znajomej twarzy, ale nie było nikogo, prócz owej otyłej damy, która także przez kilka chwil patrzyła obojętnie na Wańdzię, a potem odezwała się z miejsca śpiewającym akcentem:

— Moja panienko, czy nie mogłabyś tu Wańdzi Uszyckiej *przygłosić?*[1]

— Ja nią jestem — odparła Wańdzia.

Dama porwała się z miejsca.

— Duszo ty moja!… a toć ja nigdybym nie poznała ciebie, choćby dziesięć razy na ulicy minąć. O kochanieńka moja, toż ja jestem Samosieczyna!… Nie poznałaby mnie?… Bo takiem *rebionkiem* ostawiła ciebie, a dziś już pannica!… No, niby błaźnica jeszcze, ale gdzie to do tego, co ja ostawiła!… Oj, rozkoszna ty była, rozkoszna! Bywało mama zostawi ciebie przy mnie, to ja posadzę przed sobą na stole, a ty *dawaj* między talerze łazić… nogę jedną wsadziła w konfitury, drugą w miód, obie rączki w masło, a potem *dawaj* do kosza z owocami sięgać. Ja mówię: nie bierz, Wańdzieńka winogron, winogrona be! A Wańdzieńka nic, pcha pełną buzię, z pestkami, z korzonkami. A potem brzuszek ją boli; a mama mnie łaje, że dziecko chore, że żółte pantofelki zniszczyło… Prosto: postrzelona! na mnie mówi!… Jak Boga kocham!… Ale gdzie jabym Wańdzieńce co *odkazała!*… Oj kochała ja ciebie, kochała!… Oj *hołubiła, hołubiła!*… Potem poszła za mego męża, za Michała!… Samosiechaty wcale nie znasz Michała! Serce człowiek!… Dusza człowiek!… Mama nierada z niego była, że mnie tak daleko, w Zakaspijski kraj zabrał. Co zrobić! człek za chlebem idzie! Tęskniła ja tam za swoimi w pierwsze lata, myślała że *pomrę*, a najbardziej za Wańdzieńką. Wracać chciała, odwiedzić chciała, mąż mówił: szkoda pieniędzy — droga daleka, kosztowna, za rubla, dwa nie pojedziesz. I rację miał, skąpili my, odkładali tyle, że teraz Michał majątek w smoleńskiej gubernji kupił, czternaście tysięcy dziesięcin!… Mileńka moja, co tam za las, a co borowików, kobiałkami zagarniaj, a *koromysłem* odnoś… A jaka tam pasza w lesie i dla bydła i dla trzody!

Musisz przyjechać, zaraz tam potłuściejesz!… Toż powiedziała ja do Michała: jak *parasionki* sprzedam, to do mojej siostry pojadę, a przedtem do mojej Wańdzieńki wstąpię. No i parasionków dużo sprzedała, pieniądze wzięła i dalej do mojej Wańdzieńki… No, pokaż-że mi się, powiedz jak *pożywasz?*

Wańdzia była formalnie ogłuszona szybką mową i śpiewnym akcentem ciotki. Nawet rymu ni razu dobrać nie zdążyła. Śmiać jej się chciało z rusycyzmów, stroju i przesady gościa, ale wiedziała, że nie wypada śmiać się ze starszych, przytem pani Samosieczyna spoglądała na nią z tak szczerą serdecznością i zachwytem, że uczucie wdzięczności i przywiązania do ciotki wzięło odrazu górę nad innemi.

Pani Samosieczyna postawiła przed sobą Wańdzię, kazała jej się obrócić dookoła, wzięła pod brodę, pogładziła po włosach i nagle wybuchnęła donośnym, choć krótkim płaczem.

— Jakby skórę zdarł z nieboszczki Anety… ty wiesz, kto Anetka? a?

— Najmłodsza siostra mamusi.

— I moja, kochanieńku i moja… te same oczy, okrągła twarz… Mój Boże, mało co starsza była jak zmarła, biednieńka, na tyfus… A ty zdrowa?

— Zdrowa jestem, ciociu.

— Zawsze to źle, że cię mama na pensję oddała, w domu uczyćbyś się mogła.

— Mnie tu bardzo dobrze, ciociu, a w domu nudziłam się sama między starszymi.

— Ale w mieście niezdrowo.

— Nie chorowałam ani razu jeszcze na pensji, a już czwarty rok jestem.

— Głodu niema, co?

— O nie!

— Zawsze to nie ta kuchnia, co doma, ja wiem, jak u nas w pensjonacie w Tomsku pensjonarki głodem przymierały i wiecznie to samo: barszcz z bocwinko i *bulonik* na sadełku… No, ale mama pewno prowizje ci daje…

— Tak, mam zawsze owoce z domu.

— Cóż tam owoce!… Tem się nie najesz *kochanieńka!*

— Kiedy ja…

— Ja wiem jak to w pansjonach!… Toż przywiozła ci coś niecoś przekąsić na wypadek głodu.

I nagłym ruchem wyciągnęła stojący dotąd w cieniu szafy z okazami zoologicznemi, duży zamykany koszyk…

— Mało co ci przywiozła, bo większego koszyka do wagonu nie puściliby, a na bagaż oddać bała się, żeby butelek nie potłukli.

— Butelek?

— Jest tam butelka soku i dwie butelki wina *ze smorodiny*,[2] jakby cię brzuszek bolał, i parę słoików konfitur… bo jak to herbatę bez konfitur pić… wolę wcale!… To tylko dla smaku… Ale mam tam i do jedzenia: jest świniaczek pieczony, nadziewany i suche kiełbasy, dwie kurki, jest…

— Ależ, cioteczko, — przerwała osłupiała Wańdzia — tyle zapasów, a nam nie wolno trzymać u siebie, co najwyżej trochę owoców.

— Nie wiedzieć co!… To dzieci morzyć będą?… A toż kazamaty nie pansjon!… Ot wymyślili coś w Warszawie!… U nas w Tomsku pensjonarki całe spiżarnie w pudełkach pod łóżkiem miały!

— Nam nie pozwalają dlatego, że te zapasy często się psują, więc i powietrze zatruwają i panienki niezdrowe rzeczy, lub nad potrzebę jedzą.

— Nie wiedzieć co!… koszałki, opałki!… Nad potrzebę!… Potrzeba, żeby dziecko głodne nie było!… Ot co potrzeba, kochanieńka!…

— My nigdy głodne nie bywamy, próbowała jeszcze perswadować Wańdzia.

— Bo ty nie wiesz!… przywykła już do głodu, wiadomo, jak to w pansjonie!

— Ale choćby i tak było, to co zrobić, cioteczko, ja tego koszyka wziąć nie mogę, bo nie pozwolą mi na to.

— To schowaj!

— Gdzie ja taki wielki koszyk schowam?

— Pod łóżko!

— U nas codziennie tak starannie sprzątają sypialnię! Nawet pantofelków rannych zostawić pod łóżkiem nie wolno.

— Wańdzieńka, posłuchaj ty mnie… koszyk rzuć, już i tak połamany, a jedzenie schowaj, tak jak ja schowała ciasto, kiedy Michałowi do zakładu woziłam?… Opowiadała ci to mama, a?

— Nie, ciociu!

— A toż ja matce pisała… nie opowiadała tobie?… a? Toż jest czego posłuchać, jak ja dobrze wymyśliła!…

Michał był ciężko chory na katar żołądka… dwa lata chorował, nie mógł nijak ozdrowieć… *przestudził* się raz na pomiarach… i ani rusz… źle i źle! Kazali doktorzy do Moskwy do lecznicy jechać. Trzy miesiące Michał tam zostawał. Pisze do mnie: coraz mi lepiej, tylko, że tu głód, czerstwym chlebem karmią, a jaby tak ciasta własnego wypieku pojadł. — To ja mu odpisuję:

— Upiekę i przyślę ci, gołąbku mój… A on na to:

— Na darmo, bo tu rewidują wszystko, co choremu kto przyszle, albo przyniesie. Tak ja wymyśliła inaczej! Ciasto upiekła, każdą babę na cztery części przekrajała, w brudną bieliznę zawinęła, do walizki… i pojechała z tem… Przyjechała do lecznicy, mówię, że już dwa tygodnie podróżuję!… Otwierają walizki, widzą: zupełnie czysta bielizna, na spodzie brudna, starannie zawinięta… toż puścili!… Dobrze wymyśliła?… a?… Wzięła ich?… a?…

Wańdzia nie mogła dłużej panować nad sobą i parsknęła tak serdecznym śmiechem, że się rozległ echem między murami sali; śmiała się z nią i poczciwa pani Samosieczyna, ale zaczęła się już zabierać do wyjścia, naciągając na ręce bawełniane mitynki i zapuszczając na twarz zieloną zasłonę.

— No, ostań z Bogiem, kochanieńka, jutro rano do mamy jadę, zabawię tam tygodni ze trzy, wracając wstąpię do ciebie i dłużej zabawię, to się więcej nagadamy. No, ostań z Bogiem, kochanieńka, mileńka moja! A co w koszyku, to zjedz… ja znowu ci przywiozę. A jakby mieli zabrać, to lepiej w brudną bieliznę schowaj!

Z wielkim szelestem spódnic ku drzwiom zmierzała,

kilkakrotnie zatrzymując się i całując Wańdzię, która nie bez trudu dźwigała koszyk w obu rękach.

Drzwi za ciotką zatrzasnęły się, a dziewczynka stała chwilę wielce zakłopotana. Co zrobić z tym fantem? Oddać opiekunce klasowej, żeby wszystkie te przysmaki poszły do ogólnego podziału? — Wiedziała, że byłoby to najwłaściwsze, ale brała ją pokusa, aby owe konfiturki i słodkie winko dać tylko w większej obfitości ulubionym swoim koleżankom. Może przeto uda się obejść to prawo.

Wbiegła do małej salki, w której w tej chwili zebrane były pensjonarki. Dozorująca nauczycielka rozmawiała z Natalką Michalską, plecami odwrócona do wchodzącej. Skorzystała z tego Wańdzia, postawiła szybko koszyk przy fortepianie i lekko usiadła na nim, osłaniając sukienką.

— Tolu, Oleńko, Lorciu, chodźcie na naradę, — zawołała.

Trzy czwartoklasistki podbiegły do niej w podskokach.

— Wyobraźcie sobie, była u mnie ciocia Samosieczyna.

— Ona naprawdę tak się nazywa, czy to przez ciebie dane przezwisko?

— Ale gdzie tam! wuj nazywa się Samosiek, najautentyczniejsze litewskie nazwisko, ciocia kochana i dobra jak majowe masło… ale powiadam wam… okaz na parawan! Dwanaście lat mieszkała na Syberji, źle mówi po polsku, a myśli przedewszystkiem o jedzeniu! Ach, co ona opowiadała o tem, jak miała męża w lecznicy… i… Ale o tem potem!… Ważniejsze to… ot ten tron, na którym siedzę… wolno wam obejrzeć i ocenić jego majestat.

— Ależ tam jest chyba całe cielę rozebrane — zaśmiała

się Oleńka.

— Cielę nie, ale *„parasionok,“* a także winko słodkie i konfitury!

— Ależ to bajkowa ciotka!

— Oj, konfitury litewskie — zawołała Tola — słyszałam, iż są doskonałe, że jedząc je, trzeba oblizywać sobie palce aż do łokcia.

— Otóż to! Wartoby się tem delektować, ale tak z wami trzema, no i dopuścić do uczty jeszcze Gienię, Dosię i Cechnę.

— Naturalnie, będzie bal!

— Tak, ale gdzie my to schowamy?… a?… jak mówi ciocia Samosieczyna.

— Prawda, gdzie my taką kolubrynę schowamy!

— W klasie czy w sypialni wyśledzą i wezmą do ogólnego podziału.

— Ja mam myśl! — wykrzyknęła nagle Lorcia.

— Słuchajcie, słuchajcie! nadzwyczajna nowina. Lorcia ma myśl!

— A mówią, że z pustej stodoły wróbel nie wyleci!

— Et, kiedy kpicie, to już nic nie powiem.

— No, mów, mów, Loruś, już nie będziemy ci przeszkadzać.

— Otóż tak: zaraz przy naszej sypialni jest mały korytarzyk, w którym stoją puste kosze panienek.

— No tak.

— Więc postawmy tam i ten koszyk. Nikomu nie przyjdzie na myśl otwierać go w przekonaniu, że jest pusty, jak inne, a ty przy każdej sposobności będziesz do niego

zaglądała i zaopatrywała nas w litewskie przysmaki.

— Wybornie! wybornie!

— Ja mówiłam zawsze, że z Lorci stodoły wróbel nie wyleci nigdy, ale zato orzeł czasem. Dawaj buzi Lora!… A teraz pomóż mi wynieść koszyk na korytarz, Oleńka i Tola niech osłonią sukniami nasz odwrót, a Wala niech idzie w awangardzie, wypatrując, czy skądinąd niebezpieczeństwo nam nie grozi.

Koszyk przeniesiono szczęśliwie na miejsce przeznaczenia. Był to wąski korytarz, niegdyś przedpokój, z drzwiami w głębi, zastawionemi równie jak i boczne ściany różnej wielkości kuframi i koszykami. Szparą z nad drzwi wpadało światło i przytłumiona rozmowa.

— Jaki tam jest pokój? — zapytała Lorcia, wskazując na owe drzwi.

— Zaraz zrekognoskujemy — zawołała Wańdzia i w kilku skokach stała już na stosie koszyków.

Posunęła lekko drzwi, otwierające się na zewnątrz.

— Oj, bo się otworzą!

— Nie bój się, szafą z tamtej strony zastawione — szepnęła Wańdzia, zapuszczając oko w głąb pokoju. — To gabinet pani przełożonej.

— A czyż tam stoi szafa?

— Stoi, ta oszklona ze starożytnościami.

— A prawda… Ktoś tam rozmawia.

— Przełożona z panną Trzecieską.

— Ojej, może o mojej dwójce… Wanda, schodź prędko, ktoś idzie!

Wanda zeskoczyła z koszy. Jakaś służąca minęła

korytarz, idąc do sypialni.

— Wiesz mała, to doskonałe odkrycie — rzekła Wańdzia — jak będzie sesja, to ja tu stanę i będę słyszała, co o nas radzą…

— Fe, podsłuchiwać!

— Moja kochana, *pro publico bono*[3] to nawet — wiesz w „Tadeuszu“ dobry Wojski sprzątnął Płuta.

— A dobrze byłoby wiedzieć, kogo trzeba się strzec, a kto z nami trzyma.

— Zatem postanowiono: wieczorem, jak wszyscy już usną, zbierze się tu nasza liga na ucztę. A przy pierwszej sesji ja się poświęcam i tkwię choćby do północy na koszach pod drzwiami, podsłuchując jakie wyroki na was padają.

— No i na ciebie!

— No i na mnie, jak Bóg na niebie!

* *
*

Cisza zaległa już sypialnię. Czternaście biało lakierowanych łóżek, czternaście niebieskich kołder w białem obramowaniu i czternaście główek na poduszkach o twarzyczkach pogodnych, jasnych, rumianych. Wanda, Tola, Oleńka, Lorcia, Gienia i Wala nie śpią, poruszają się niespokojnie, obserwując parawan panny Zofji, poza którym rozlega się jeszcze od czasu do czasu lekkie chrząknięcie.

Wreszcie upływa dziesięć minut zupełnej ciszy.

— Śpi! — szepce unosząc się na łokcie, Lorcia.

— Śpi! — powtarza Gienia.

— Śpi! — płynie od jednego łóżka do drugiego.

Z wielką ostrożnością podnosi się sześć dziewcząt, wsuwa pantofelki na nogi, otula kołdrami i powolutku zaczyna posuwać się w stronę korytarza.

Wtem rozlega się chrząknięcie. W jednej chwili, jak na komendę dziewczynki przypadły do ziemi. Ale cisza zupełna zalega znów sypialnię, to przez sen chrząka panna Zofja. Dotarły do korytarza, zamykając drzwi za sobą.

— Masz, Tolu, kłaczek waty, zatknij dziurkę od klucza.

— Poco?

— Żeby światło nie padało do sypialni.

— A skąd my światło mieć będziemy!

— Cóż ty myślisz, że uczta nasza odbędzie się pociemku, żebym, jak za dziecinnych lat, jedną nogę włożyła w miód, a drugą w konfitury!

To mówiąc Wańdzia wydobyła świecę, zapaliła ją i kapiąc stearynę na jeden z koszy, usiłowała ją przymocować.

— Skąd masz świecę?

— Od fortepianu… aż dwie!

— O ty mały złodzieju!

— Gdy będę wracała z domu, przywiozę dwie całe świece i osadzę w lichtarzach. A teraz do uczty.

Niemało było wybuchów śmiechu przy wydobywaniu prowjantów, flaszek i słoików.

— No zaczynajmy od pokrzepienia ducha. Za zdrowie cioci Samosieczyny!

I Wańdzia przytknąwszy butelkę do ust, wychyliła kilka haustów.

— A teraz wy koleją, a która spełniła toast, niech zagryza prosięciem.

Butelka szła z rąk do rąk.

— Wyborny prosiak.

— Ja wolę kurczę.

— A ja proszę o konfitury z wiśni.

— Wprzód coś solidnego.

— Przyjdzie kolej na wszystko.

— A teraz towarzyszki moje, spełnijmy toast koleżeński.

— Ale wygłoś go rymami… Tyś mistrz do tego.

— Tak, rymuj, Rymarka.

— Siostry me i towarzyszki! błogosławione niech będą Pilwiszki, albo inne Mysiekiszki, gdzie się takie jagody urodziły, co się w wino przemieniły, abyśmy je wypiły. A choć się zowią „smorodyna“ z rozkoszą je pije naród i rodzina! Piję za młodość naszą, bujną, piękną młodość laszą, bośmy wszystkie laszki z Bożej łaski. To się niezbyt składa, lecz trudna rada. Otóż za naszą młodość piję, niech nam żyje! Niech naprzód podąża z chytrością węża, z szybkością pary, mimo ogary przeróżnych złości, co ją w szybkości onej wstrzymują, gdy pokusami wciąż napastują. Na nic przeszkody, nie dla urody, nie dla rozkoszy, nie dla igraszki, jak małe ptaszki tutaj żyjemy, bo my dążymy wciąż ku lepszemu, by krajowi temu grono przybyło, co będzie siłą, dźwignią, podporą, by ojczyznę chorą do zdrowia przywiodło, i za to piję to nasze godło, niech młodość żyje!

— Niech żyje! — krzyknęły dziewczęta.

— Cicho, bo sypialnia się zbudzi! Pijcie koleżanki.

— Dajno tej suchej kiełbasy.

— Pyszności kiełbasa!

— Ja będę jadła kiełbasę z miodem.

— Daj pokój Lorciu, zemdli cię.

— Bądź spokojna, ja jestem przyzwyczajona do mieszanin.

— Ja wiem, tobie się nawet gramatyka z zoologją miesza i dlatego, jak cię nauczyciel zapytał, do jakich zaimków należy żaden, odpowiedziałaś: do przeżuwających!

— Przesadzasz, tak nie było.

— Koleżanki, wnoszę zdrowie zacnej naszej fundatorki, Wandy Uszyckiej.

— Ja wnoszę ten toast wierszem:

— Daj pokój, Walinka, nie potrafisz.

— Nie wpisano cię do cechu rymarzy.

— Właśnie, że potrafię, słuchajcie: Wańdzia Rymarka, szczupła jak szparka!…

— Nieprawda, gruba jestem!

— Nie przeszkadzać mi!… Wnoszę zdrowie najszlachetniejszej z fundatorek, która jest…

— Bliską Tworek.[4]

— Nie przeszkadzajcie!… No widzicie!… rym mi uciekł…

— Gonić rym!…

— Aha, chciałam powiedzieć: jak fiołek.

— Wiersz częstochowski.

— Wszystko jedno!… Wanda to najlepsza nasza

koleżanka, ma suknie pod kolanka.

— Nieprawda, mam do bucików.

— Wanda to zacna dziewczyna, bo dała nam wina.

— To ja skończę sama na siebie.

— Tak, tak, najlepiej.

— Zacna dziewczyna dała nam wina, dała nam miodu, z litewskiego ogrodu, anielska taka, że dała prosiaka, nieledwie święta, bo ma kurczęta, sławna po wsze czasy, bo dała kiełbasy i konfitury, więc ją do góry! Zacna niewiasta, dała nam ciasta!… Koniec i basta!

— Brawo! brawo! Ach, ta Wanda, nikt tak nie powie jak ona. Ona naprawdę będzie poetką.

— Przejdzie Konopnicką.

— To Deotyma najsławniejsza była ze swych improwizacyj.

— Co to Deotyma, ona dopiero wtedy umiała improwizować, jak włożyła grecką szatę.

— A Wanda i w nocnej koszuli potrafi.

— Wujek mówił, że kiedyś na wystawie był portret Deotymy przebranej za Greczynkę i ktoś złośliwy podpisał pod nim: »Deotyma sukni niema, zamiast kiecki ma strój grecki«.

— Ha! ha! ha! ha!…

— Ciszej!… warjatki!… Pijcie koleją.

— Ja już nie mogę.

— Niema wykrętów, pij! Nie codzień taka frajda! Ciotka Samosieczyna dwanaście lat oszczędzała, żeby nam tę ucztę sprawić.

— Ha! jak nie można inaczej!…

* *
*

Blady świt zaglądał do sypialni, gdy pannę Zofję zbudziły jakieś przytłumione jęki. Uniosła głowę, nadsłuchując i nagle jednym susem była już za parawanem. W drugim końcu sypialni rozległ się silny jęk, a bezpośrednio po nim »plusk« każący myśleć o »Rydze«.

— Gieniu, tyś chora!

Uniosła jej głowę i ratowała stosownie do potrzeby.

Gienia nie wróciła jeszcze z podróży morskiej do stolicy Inflant, kiedy z pobliskiego łóżka rozległy się stękania. Wala siadła na pościeli, wpół zgięta.

— Oj, nie wytrzymam, nie wytrzymam!

— Co, i tyś chora?

— Takie mam boleści.

— Lorcia także — odezwała się jedna z rozbudzonych koleżanek — a Oleńka już z kwadrans jak wyszła z sypialni, mówiła, że jej strasznie niedobrze.

— Boże miłosierny, czy to nie jaka epidemja, czyście się czem struły.

— O Boże, Boże, to ja może umrę — zapłakała nagle Tola.

— To, proszę pani, chyba po tej kiełbasie z kapustą, co była na obiad, — odezwała się Maniusia Skorupska, uczennica VI-tej klasy.

— E, ja przypuszczam raczej, że one musiały poczęstować się czemś niezdrowem, bo z innych klas żadna nie choruje, tylko czwartoklasistki.

— Nie wszystkie, Dosia śpi spokojnie.

— Bo nie mogłyśmy się jej dobudzić, — wyrwała się Pola.

— Jakto dobudzić? kiedy?

— Et nic.

— Coś się tu święci. Teraz pójdę dla was po lekarstwa, a potem do infirmerji i śledztwo! Zdaje mi się, że tu sześć serdecznych przyjaciółek będzie miało zmniejszone sprawowanie!

— Proszę pani — odezwała się w tej chwili Wańdzia, która zdrowsza i wytrzymalsza od innych panowała dotąd nad sobą, choć blada jej twarz i podkrążone oczy wskazywały, że i jej nie było dobrze. — Proszę pani, one nie powinny mieć zmniejszonego sprawowania, tylko ja… Ja dostałam od cioci Samosieczyny koszyk różnych prowjantów, ukryłam go w schowanku i tej nocy namówiłam je, żeby…

— Proszę pani, to nie tylko sama Wańdzia winna… o jej, jej, jak mi niedobrze… My także… oj nie wytrzymam… Ja pierwsza radziłam, żeby schować koszyk na koryta… o jej, jej, jak mnie mdli… na korytarzyku.

— Ślicznie spisała się moja kochana czwarta klasa, którą innym za przykład dawałam. Jakieś tajemne hulanki, tu na pensji, to nie do uwierzenia! Czego się po was spodziewać można, gdy tak zaczynacie!

— Ja wiem, że to niedobrze… o jak mi niedobrze!

— Potem się rozmówimy, teraz otulić się w kołdry i marsz do infirmerji, bo obudzicie koleżanki z wszystkich sypialni, tak jak te rozbudziłyście.

I opuściło sypialnię sześć towarzyszek wesołej uczty; śmiech koleżanek płynął za niemi, gdy tak szły szeregiem, pootulane w kołdry, skulone, skrzywione i stękające. Maniusia Skorupska usiadła na łóżku i zawołała za niemi z Ignacym Krasickim: »Miłe złego początki, lecz koniec żałosny«.

II.

Pomimo skruchy i obietnic poprawy wszystkich winowajczyń, nie obyło się bez zmniejszenia stopni ze sprawowania, a co za tem idzie wyjaśnień dawanych rodzicom, a stąd wstydu oraz narażania się na wymówki i kpiny.

Przykre to przejście nie wpłynęło jednak tak dalece na Wańdzię, aby powstrzymać ją od powziętego tak dawno zamiaru podsłuchiwania w czasie sesji, odbytej pomiędzy przełożoną a profesorami w końcu roku szkolnego.

Z biciem serca wyczekiwała zaśnięcia dozorującej nauczycielki i koleżanek. Lorcia ostrożniejsza od niej, przestrzegła ją jeszcze przed uśnięciem. — Lepiej daj pokój, jeszcze który z nauczycieli wyjdzie z sali obrad, będzie przechodził koło korytarzyka i zobaczy cię.

— Przecie będzie ciemno.

— Wśród ciemności będzie się bielił twój szlafroczek.

— To okryję się dużym czarnym pledem Oleńki.

— Chyba.

Wpół do jedenastej było, gdy wzruszona bardzo, podniosła się Wańdzia z łóżka i otulona w czarny pled zmierzała ku korytarzowi. Dziwnie a niespokojna;

wiedziała, że podsłuchiwanie jest rzeczą niską i brzydką, ogarniał ją niesmak wobec samej siebie, a przytem strach niewypowiedziany przed możliwą, nieoczekiwaną, a przykrą niespodzianką. Wdrapała się jednak na kosze, oparła o drzwi i ciekawy wzrok zapuściła w głąb jasno oświetlonego salonu.

Na środku pokoju stał olbrzymi stół, pokryty poważnem zielonego koloru suknem. Dla imponującego mebla usunięto pod ścianę kanapy i krzesła i wyniesiono szafę z antykami z pod drzwi korytarzyka.

»Ciało pedagogiczne« zebrało się w komplecie. Znakomity profesor historji polskiej gładził swą wspaniałą kruczą brodę siwiejącą zlekka, nadającą mu podobieństwo do Stefana Czarnieckiego, i porozumiewał się od czasu do czasu głębokim basem z profesorem literatury polskiej, brunetem z wąsikami, ze stałą swą wielką kokardą krawatu. Profesor historji powszechnej zanurzył szyję w kołnierzyk, aż mu bujne kędziory opadły na tużurek, i patrzał zamyślonemi, smutnemi oczyma z poza złotych okularów. Pan matematyk szarpał nerwowo wąsy i przerzucał czuprynę z prawego na lewe ucho, słuchając z największem skupieniem z gronem zebranych profesorów i nauczycielek przemowy przełożonej, dowodzącej konieczności owładnięcia rozprzężeniem, wkradającem się od pewnego czasu w mury zakładów szkolnych.

Skończyła. Wokoło stołu rozbrzmiał chór wykrzykników, przyznających słuszność słowom przełożonej. Wtem podniósł się profesor nauk przyrodniczych. Długą chwilę stał, panując swą wysoką,

szczupłą postacią nad siedzącem gronem i przecierając okulary, wreszcie odchrząknął i rozpoczął.

— Zgóry przeświadczony jestem, że niewielu znajdę zwolenników między szanownymi kolegami, którzy zechcą się zgodzić ze mną i iść ręka w rękę ku jaśniejszej przyszłości. Sumienie jednak każe mi zabrać głos, choćby miał być głosem wołającym na puszczy. Młodzież nasza, długo trzymana w złoconych klatkach dobrego wychowania, domaga się swobodnego lotu, rozwija szeroko skrzydła, rwie się naprzód, rzuca do czynu, zrywa!…

Nagle trzask, krzyk, huk upadającego ciała, łomot walących się przedmiotów, przewracanych krzeseł, okrzyki profesorów, wykrzykniki pań wstrząsnęły powietrzem, przerywając słowa wymownego przyrodnika.

Drzwi korytarza, nie podpierane szafą, pod naciskiem Wańdzi, rozwarły się nagle, a ona runęła z góry i padła między profesorów francuskiego i rysunków.

Czarna jej postać w rozwianym szalu, z białym przodem jak olbrzymi nietoperz spadła niespodzianie, pociągając za sobą kosze, na których stała, z których posypały się książki i różne rupiecie. Obaj profesorowie, potrąceni gwałtownie, pospadali z krzeseł, opiekunka klasowa ze wstępnej zemdlała, nauczycielka kaligrafji krzyknęła przeraźliwie: bomba! a ksiądz prefekt przeżegnał instynktownie dziwne zjawisko. Wańdzia nie czekała na oprzytomnienie zebranych, lecz okręciwszy się w pled, rzuciła naoślep w pierwsze drzwi.

Znalazła się na korytarzu; słyszała za sobą krzyki; kto to? co to? co się stało? i pośpieszne kroki kilku osób, przed

sobą widziała otwarte okno, z którego płynęła świeżość wiosennej nocy, przepojonej zapachem jaśminów i róż. Pociągnięta siłą magnetyczną, nie zdając sobie sprawy z możliwych skutków, jednym susem skoczyła na parapet okna, a z niego do ogrodu.

Drżąca, wzruszona przysiadła pod murem, serce jej biło jak ptaszę wyjęte z gniazda. Słyszała, jak kilka osób wybiegło na korytarz.

— Więc kto to był? — pytał jeden głos.

— Chyba która z pensjonarek.

— Niemożliwa.

— To może służąca?

— To najprawdopodobniejsze; służąca zdejmowała coś w schowaniu, oparła się o drzwi, które niezamknięte, usunęły się i padła na środek sali.

— Ciekawa historja!

— Ale profesorowi Forestier aż krew poszła nosem.

— Uderzył twarzą o stół.

— Ja sobie bok porządnie stłukłem.

— Może woli pan odjechać do domu?

— O nie, przejdzie mi! tylko posiedzę trochę na korytarzu, bo na sali zbyt gorąco.

— Ale radzę zamknąć okno, bo tu jest przewiew…

Zatrzaśnięto okno.

Wańdzia pozostała jak skamieniała. Co uczyni teraz? Co pocznie? Jak dostanie się do sypialni? Czy przyjdzie jej noc całą spędzić pod gołem niebem? Dreszcz ją przeszedł na myśl o tem. Podniosła się i zerknęła w głąb korytarza.

Profesor rysunków siedział na parapecie okna paląc

papierosa. Wiedziała, że na parterze tylko to okno, oraz okna dwóch klas pustych w tej chwili, wychodzą na ogród. Kędy więc powróci? Komu da znać o swej obecności w tem miejscu w tak niewłaściwej porze? Łzy gorące spływały jej po twarzy, dreszcz wstrząsnął ciałem. Spojrzała na kamienicę, na parterze, prócz okna korytarza, jedno jeszcze, znacznie odleglejsze, odcinało się jasną taflą wśród ciemnej nocy, podeszła do niego, zapuszczając badawcze spojrzenie wewnątrz.

Był to nieduży pokoik malowany w niebieskie róże, wśród których wisiało mnóstwo fotografij, przeważnie starych, wypełzłych, zawieszonych w systematyczny deseń, duży obraz haftowany krzyżykami i blada akwarela, przedstawiająca ks. Józefa skaczącego do Elstery. Przed samem oknem, w świetle wiszącej lampy, przysłoniętej zielonym abażurem, siedziało dwoje staruszków. Biały jak gołąb dziadunio z włosami starannie na skroń zaczesanemi i biała jak gołąbka babunia w czepeczku, z loczkami zwieszającemi się przy uszach, byli bardzo zajęci grą w karty. Z całego tego staroświeckiego wnętrza i z postaci dwojga staruszków biło tyle ciepła i zaufania, wiało wspomnieniem białych dworków i czystych dusz, że Wańdzia uczuła nieprzewidywaną śmiałość zapukania do tego okna. Oboje porwali się, czyniąc znak krzyża świętego i wytężyli wzrok ku oknu.

— Coś puknęło w szybę! — krzyknęła babunia.

— Chyba jakiś ptak nocny, — tłumaczył dziadzio.

— To zły znak.

— Pewnie kostusia dobija się do mnie.

— A niechże Bóg broni! Co też jegomość mówi!… Nie wymów w złą godzinę.

Wańdzia trochę mocniej zapukała w szybę.

— W imię Ojca i Syna! Ktoś się dobija od ogrodu.

— Jakaś biała postać.

— Duszyczka pokutująca, czy co!

— Babuniu, dziaduniu, wpuśćcie! — błagalnym głosem zawołała Wańdzia.

— Otwierajże okno, stary, to jakieś wnucząt ko.

— Przecież nasze wnuki już dorosłe.

— Wszystko jedno, nasze nie nasze, dość, że wnucząt ko; nie rezonuj, stary, tylko otwieraj.

Okno rozwarło podwoje, wychyliła się zeń sympatyczna postać dziadunia.

— A kto tam?

— Przepraszam państwa, że przeszkadzam, ale wyszłam do ogrodu, zamknięto mi okno, nie mogę wrócić do domu.

— A czyjeś ty, dziecko?

— Ja, pensjonarka.

— A któż to widział, żeby pensjonarki włóczyły się po nocy w ogrodzie.

— I to w koszulce samej, fe!…

— Ja wypadłam oknem.

— Matko Ukrzyżowanego, a nie zrobiłaś sobie jakiej krzywdy?

— Nie, tylko mi zimno…

— Prawda, noc chłodna, jeszcze zaziębi się biedactwo… Chodź prędko do mieszkania… ale kędy?

— To prawda, jak się ta biedulka tu dostanie?

— Oknem, jeśli państwo pozwolą.

— Oknem… łatwo powiedzieć… taki wysoki parter!…

— Wejdę po beczce, co stoi pod oknem.

— Chyba… to podaj mi rączyny.

Drobne rączki Wańdzi znalazły się w kościstych, ciepłych dłoniach starca, podczas gdy stopy przy zręcznie wykonanym podskoku wsparły się na brzegu beczki. Niestety brzeg był obśliźły, Wańdzia zachwiała się, beczka przechyliła i padła wraz z dziewczynką, wylewając na nią całą zawartość deszczówki. Trudno opisać przerażenie wszystkich trojga; niewiadomo, kto krzyknął głośniej, czy Wańdzia wobec niespodziewanego zimnego tuszu, czy dwoje staruszków, widząc co się stało. Dziadzio przygotowywał się już nawet do wyjścia oknem, co wobec zesztywniałych przez wiek ścięgien wymagało głębszego namysłu, gdy Wańdzia podniosła się z ziemi. Woda spływała z całej jej postaci, z włosów, zalewała oczy. Przygoda ta jednak dodała jej energji, pobudzonej przez silne pragnienie znalezienia się pod dachem. Zresztą beczka leżała teraz bokiem, co pozwalało bez ryzykownego podskoku ułatwić sobie dostanie się do okna.

O biedna, lśniąca jak lustro, posadzka w mieszkaniu miłych dziaduniów! Niebawem sadzawka utworzona z wody spływającej z bielizny Wańdzi, przekształciła się w strumyczek i podpłynęła pod trójścienną serwantkę ze starą porcelaną, stojącą w rogu pokoju.

— Jak to biedactwo wygląda! — zawołała babcia. — Jegomość, wyjdź do kuchni, muszę jej dać swoją bieliznę.

— Oj, to tak z tym postępem — gderał dziadunio. —

Wszystkie panny mają przewrócone w głowie. Pewnie tak się zapatrzyła w księżyc, że się nie spostrzegła, jak wyleciała oknem.

W kwadrans potem Wańdzia, odziana w bieliznę i watowany szlafrok babci, który leżał na niej, jak to mówią, jak pies na płocie, eskortowana przez dziadunia pukała nieśmiało i wielokrotnie do bocznych drzwi pensjonatu. Pani zajmująca się gospodarstwem wpuściła ją do sypialni, odburknąwszy dość niegrzecznie dziadzi, który próbował tłumaczyć postępek Wańdzi, bo jak wszystkich, tak też serca tych dwojga staruszków zdobyła odrazu.

Groziło Wańdzi wydalenie z pensji, ale koleżanki tak prosiły, tak błagały o przebaczenie i pozostawienie jej w ich gronie, że przychylono się do ich próśb, pod warunkiem, że same będą strzegły Wańdzi, aby ją zbytnia żywość nie wiodła za daleko. No i wspólnemi siłami zdziałano tyle, że Wańdzia skończyła pensję jak najchlubniej.

---

1. ↑ Przywołać.
2. ↑ Czarne porzeczki.
3. ↑ Dla dobra ogólnego.
4. ↑ Szpital warjatów w pobliżu Warszawy.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Maria Bogusławska](#).*

Dziecko szczęścia

i dziecko niedoli

I.

Pani radczyni Narzymska, według słów swej panny służącej »robiła się na piękną« tego wieczoru. Sztywny pancerz gorsetu doprowadził jej obfite kształty do modnego fasonu, w miarę wciętego i wydłużonego; bogata suknia z czarnej gazy lśniła kwiatami z dżetu i srebrnej łuski. Wiele sztucznych pasem i loków ręka fryzjera ułożyła w misterną piramidę, kryjącą dokładnie własne siwiejące i liche włosy. Do wykończenia tualety pozostała pani radczyni sama, zamknąwszy się na klucz. Na czem zasadzało się owo wykończenie, oko ludzkie nie oglądało nigdy, dość, że o godzinie siódmej drzwi się otworzyły i do salonu weszła pięćdziesięcioletnia pani Narzymska wyglądająca tak młodo, tak prawie bez śladu zmarszczek i żółtej skóry, że można jej było dać najwyżej lat trzydzieści.

Pan radca, równie elegancki i wykwintny, ale nie ukrywający swej sześćdziesiątki, podniósł oczy z nad gazety, uśmiechnął się i rzekł zadowolony:

— Piękna moja pani.

A potem zsunął okulary na czoło, zmrużył lekko jedno oko i dodał nieśmiało:

— Czy nie za dużo różu?

— Ah, daj mi pokój! — żachnęła się pani domu i niespokojnie obejrzała się, czy kto nie stoi za nią.

— Czesławostwo nie przyszli jeszcze? — zapytała.

— Nie, duszyczko… No, mają jeszcze czas; dopiero siódma.

— Co dziś w teatrze?

— »Dziecko szczęścia.«

— Komedja?

— Nie, operetka.

— Ah, to dobrze!

— Zapewne, niema jak operetka!…

— Bałam się, że znowu jaki dramat, jak przeszłym razem ten »Książę niezłomny«… Boże, co to były za nudy!

— Mogłaś być spokojna, przecież ja kupowałem bilety, a nie jestem tak głupi, żebym skazywał nas na słuchanie przez cały wieczór Słowackiego lub Przybyszewskiego!

— Powiem, ci, Zosia mówiła mi, że jak znowu będą dawali jaki dramat, to wezmą tylko fotele dla siebie… Ona jest taka delikatna, dziecinka złota, nie chce skazywać nas na nudę!

— Przedewszystkiem nie chce wstydzić się za ciebie, jak kiwasz się w loży, niby żyd nad talmudem.

— O, to przedewszystkiem chyba za ciebie! Ostatnim razem chrapnąłeś na cały głos i to właśnie wybrałeś sobie chwilę jakiejś nastrojowej ciszy na scenie.

— Proszę jaśnie państwa, kareta zajechała, — odezwała się w tej chwili pokojowa, wchodząc do salonu.

— No widzisz, Piesiu, a ich jeszcze niema!

— Może przyjdą wprost do teatru.

— Wątpię, przecie wolą jechać powozem, aniżeli iść piechotą po błocie, zwłaszcza Zosiunia.

— Mogli wziąć dorożkę.

— Oh, te nasze dorożki!

— Bądź co bądź, czekać na nich nie będziemy, bo jeśli idą ku nam, spotkamy ich po drodze.

— Zapewne… Olesiu, podaj mi żółty szal i okrycie.

W kwadrans potem pani Narzymska, wdzięcznie wychylona z loży, rozdzielała ukłony i uśmiechy między znajomych, zapełniających parter i pierwsze piętro. Pan radca zaś chodził po korytarzu, czekając »na dzieci« i gawędząc z kolegą z zarządu klubu obywatelskiego, wyglądającym spóźnionej żony.

Uwertura została przegrana, kurtyna się podniosła, »dzieci«, to jest inżynier Tarner z żoną, panią Zofją z Narzymskich, nie pokazywali się jakoś.

Pierwszy akt skończył się wśród rzęsistych braw, a w loży radców siedziały tylko dwie osoby. Pani Narzymska zaczęła się niepokoić.

— Czy im się co nie stało?

— Coby się miało stać! może goście ich zaszli.

— Może Zosia niezdrowa.

— Bardzo być może, że nie czuje się dobrze i wolała nie iść do teatru.

— Tem więcej, że nie lubi operetki.

Tym argumentem uspokoili się zupełnie i w drugim antrakcie zaprosili do loży malarza Smałę, któremu trafiło się krzesło »za słupkiem«.

Wśród wybuchów wesołości zapadła kurtyna po raz ostatni. Pani radczyni, dyskretnie ocierając podczernione oczy, które załzawiły się od śmiechu, zabierała się do włożenia okrycia, podawanego jej przez pana Smałę, gdy do loży, bez ceremonji, bez zapukania, wtargnął chłopak szesnastoletni, zziajany mimo chłodu na dworze i ściągając z głowy wytartą czapczynę, zawołał:

— Dziecko się u nas urodziło, proszę jaśnie państwa!

— Dziecko?… co?… co ty gadasz?

— Dziecko!… Boże!… Jakto… pani.…

— A no, dopiero co urodził się pani synek.

— Synek, Boże mój!… I ja pierwsza nie przycisnęłam go do piersi!…

— Dużoby mu z tego przyszło!… Zresztą masz taki sztywny gorset, że nie byłoby mu wygodnie!

— Ah! ty zawsze żartujesz!… Nawet w takiej chwili!… No, co pani?…

— Nie widziałem pani, pan sam tylko wyszedł do kuchni i kazał mi iść z wiadomością do starszych państwa, a że w Alei powiedzieli mi, że państwo w teatrze, przygnałem tułaj.

— Macie dziecko szczęścia! — zaśmiał się pan Smała.

— Moja złota dziecina, jak ja już kocham to maleństwo!

— Pomimo że czyni panią babcią!

— Ha, trudno; trzeba będzie i z tem się pogodzić!

— Kobieta, co tak wygląda jak pani radczyni, może jedynie wzbudzić zdumienie, gdy stosować do niej będą ten tytuł.

———————————————————————————————

Osłonięty szalem gazowym, wśród pięknych haftów podłużnej poduszki, z piąstkami zaciśniętemi przy malutkiej, różowej buzi, spał nowonarodzony, obojętny na objawy radości i zachwyty rodziców i dziadków. Wszyscy mówili o niem »dziecko szczęścia« i zdawało się, że szczęście samo ciśnie się do tej drobnej istotki, syna rodziców rozumnych, zacnych i bogatych. A jednak w trzy tygodnie potem około jego kolebki przesunął się cień śmierci, zabierając śliczną, ubóstwianą przez męża i rodziców panią Zofję, matkę dziecięcia.

Chłopczyka przeniesiono do dziadków. Trudno było wymagać od zrozpaczonego ojca drobiazgowej opieki, jakiej wymagało niemowlę.

Przeniesiono z niem wózek obity różowym jedwabiem i kapiącą od koronek i haftów wyprawkę, i białe, lakierowane, lilipucie mebelki; przewieziono przedewszystkiem Stefkę, młodą, tęgą mamkę, troskliwą karmicielkę maleńkiego Henia.

Stefka jest bardzo ładna i zdrowa; pochodzi z Bronowic z pod Krakowa, skąd przybyła przed trzema laty, gdy po śmierci matki wypędzona przez wuja, zgodzona została przez jakąś panią na letnisko i przewieziona do Warszawy. Na miejskim bruku tęskniła bardzo za rodzinną wioską i towarzyszkami, z żalem widziała idący w strzępy wyszywany gorset i kwiaciastą spódnicę; z zaciśniętemi zębami znosiła ciągłe wymysły i popychania swej chlebodawczyni; uciekała wystraszona przed częstemi zaczepkami i bez chwili namysłu zdecydowała się oddać rękę pierwszemu, który ją o to poprosił. Był nim Franciszek Czereśnicki, poczciwy, niemłody wyrobnik, który dał Stefie rzecz niesłychanie ponętną dla każdej opuszczonej sieroty — własny kąt i serdeczną opiekę. Niestety nie trwało to długo. W pół roku po ślubie Franciszek utonął w czasie przejażdżki łódką na Wiśle, Stefa została wdową w dziewiętnastym roku życia, bez żadnych zasobów, bez możliwości zapłacenia czynszu za mieszkanie, i gdy w sam dzień Nowego Roku przybył jej na świat synek, nie miała już własnego dachu nad głową, musiała jak jaka nieszczęsna

włóczęga szukać przytułku w szpitalu.

Tadzik przeto jest »u podrzutków«, które to określenie Stefa wymawia z najwyższą przykrością, boć ona nie podrzucała swego maleństwa, przeciwnie od pierwszej chwili jego przyjścia na świat kocha go bezgranicznie i radaby na jedną chwilę z niem się nie rozstawać, ale musi przecie zarobić na życie, na ubranie swoje i opłacić utrzymanie Tadzia. W następnym roku, gdy przeszedł już »na garnuszek« umieściła go u Augustowej, poczciwości kobiety, która z powodu podeszłego wieku siedzi ciągle w domu, więc dziecko ma nieustanną opiekę, za którą nawet zapłacić nie trzeba, ale musi dać pieniądze na mleko, kaszkę, bułeczki.

Stefa bardzo starannie zgarnia zawsze w mały garnuszek wszystką mannę, której nie doje Henio, wszystkie biszkopciki, które rozkruszy, i zanosi je swemu Tadzikowi, ale to niedosyć. Szczęście, że pani radczyni jest bardzo hojna i nie spodziewa się drugiego wnuka po złożeniu do grobu jedynej córki, wszystko przeto, z czego wyrasta Henio, oddaje Stefie dla dziecka. Tadzio jest większy i tęższy od Henia, ma więc zawsze koszulki nie okrywające brzuszka, majteczki nie sięgające kolan, paltociki z przesuniętemi guzikami, kurtki nie dopinające się i sweterki przylegające jak gips do formy, ale przez to tem zgrabniej wygląda.

Henio sypia w lakierowanem łóżeczku, malowanem w kwiaty; Tadzio w koszyku od bielizny, połamanym na wszystkie boki.

Henio dostaje nowe buciki co kilka tygodni; Tadzia stale uciska dodzierane po Heniu obuwie.

Henio ma pełen pokój zabawek; Tadzio dostaje od czasu do czasu jakie zwierzątko z odłamaną nóżką lub przetrąconą szabelką.

Henia otacza pokój jasny, biało malowany, z porozwieszanemi na ścianach obrazkami, przedstawiającemi wesołe scenki ze świata dziecięcego; Tadzio mieszka w ciemnej suterenie, o brudnych, wilgotnemi plamami znaczonych ścianach.

Henia nazywają dzieckiem szczęścia, Tadzia dzieckiem niedoli…

A jednak…

Henio jest zawsze chmurny i znudzony, Tadzio wesół i rozdokazywany. Henia nie cieszą już liczne zabawki, bo je dostaje zbyt często; Tadzio ze swoim sztabem oberwańców codzień nową wymyśla zabawę… Ale bo jest ich wielu, a Henio wiecznie sam!

Ta samotność i obcowanie jedynie ze starszymi stanowi tragedję dziecka szczęścia.

Pani radczyni do dziwactwa posuwa obawę o zdrowie ukochanego wnuka. Nietylko, że strzeże go od chłodu, więc nie wypuszcza na dwór, gdy jest mróz poniżej 5°, nietylko strzeże od zgrzania, wzbraniając dużo biegać, nietylko od przejedzenia, ograniczając do minimum przysmaki, które jak na oskomę stawiają przy deserze na stole, ale przedewszystkiem strzeże go od zarażenia jaką chorobą przez zetknięcie się z dziećmi, zwłaszcza z temi z »ulicy«. Dlatego nie prowadzi się Henia do kościoła ani do kina, ani na poranki dla młodzieży i na obchody św. Mikołaja, lub choinki w klubie, którego dziadunio jest prezesem. Dlatego Stefa, która pozostała przy Heniu w charakterze piastunki, ma surowo zakazane dopuszczanie do chłopczyka jakich dzieci w ogrodach publicznych i na ulicy.

Przedewszystkiem zaś nie wolno, aby Stefę odwiedzał jej synek, a gdy ona idzie do niego czasem, musi za powrotem brać kąpiel i dezynfekować suknie.

Pomimo tak surowego zakazu poznali się Henio z Tadziem pewnego wiosennego popołudnia.

Wracała Stefa z Łazienek, prowadząc za rękę czteroletniego Henia, ubranego w białe flanelowe ubranko i czapeczkę z ryżowej słomy; była zmęczona, biegała bowiem przez dwie godziny, udając konia, a teraz niosła paltocik Henia, ogromną skórzaną piłkę w siatce, lejce z dzwonkami, bat i kółko, każdy przedmiot sam w sobie nieciężki, ale wszystko razem niewygodne do niesienia, a i Henio uwiesił się jej u ramienia, ciężąc całą siłą. Raz po raz podnosiła Stefa głowę i patrzała na wieżyczkę ich domu, widną zdaleka, z którą łączył się pożądany odpoczynek.

Nagle jakaś maleńka istotka przypadła jej do nóg, obejmując je powyżej kolan z radosnym z okrzykiem: Mama!

Stefa pochyliła się wzruszona:

— Tadzik, a ty tu skąd?

Z rąk potoczyło jej się kółko i upadł bacik.

Tadzik już go pochwycił.

— To dla mnie? — pyta, patrząc proszącemi oczyma, jakby błagał o

twierdzącą odpowiedź.

— Nie, syneczku, to Henia.

Tadzio ściągnął buzię w podkówkę.

— A balon mój? — pyta, wskazując na ogromną piłkę.

— Nie, Tadzinku, te wszystkie zabawki są paniczka — odzywa się Augustowa, która przyśpieszywszy kroku, przybyła zadyszana za chłopcem, co się jej wyrwał z rąk, biegnąc pędem naprzeciw matki.

— Dla mnie nic? — pyta Tadzio i ma minkę bardzo smutną.

Stefie ścisnęło się serce.

— Ja mam w domu trąbkę dla ciebie.

— *Daj tlombke, bede glal.*

— Trąbka zepsuta, ale w nią można dmuchać…

— *Daj, bede dmuchal.*

Henio przez ten czas stoi trochę na boku, spogląda nieufnie na Tadzia; ma ubranko sprane, niezdecydowanego koloru i buciki ze startemi końcami, ale twarzyczkę wesołą i bardzo miłą. Henio zdziwiony jest, że Tadzio tak łatwo rezygnuje z zabawek, o które prosi, i że wogóle mu odmawiają.

Stefę nie dziwi to, ale bardzo smuci. Żałuje, że nie schowała czerwonych lejcy z dzwoniącemi kulkami, bo Tadzio wyciągnął do nich ręce z takiem upragnieniem, że biednej matce nie może wyjść z gardła:

— Nie ruszaj Tadziu, to Henia.

Wyręczyła ją w tem Augustowa.

— Tadzik niegrzeczny, wszystko chce brać w rękę, a to paniczkowe.

— *Ja tylto dotne laz.*

I prosi tak błagalnym wzrokiem, że Stefa, rzuciwszy okiem na Henia, jakby chciała go przeprosić za tę samowolę, składa na wyciągniętych rękach dziecka czerwoną taśmę z dzwonkami.

— Ale tylko na chwilkę — zastrzega — tylko chwilkę.

Tadzio wziął lejce, podniósł je do uszka, zadzwonił nad niem kilka razy, potem pocałował je i oddał matce, grzecznie, jak przystało na dobre dziecko.

A w sercu Henia po raz pierwszy rodzi się pragnienie ucieszenia kogoś, złożenia daru, oddania tego, co mu było bardzo miłem dotychczas.

— Niech niania da!

Bierze czerwone lejce i zwraca Tadziowi.

— Weź!…

— *Mode sie jesie bawić?*

— Baw się, to twoje…

— Heniu, babunia może nie pozwoli oddać ci tych lejcy — robi uwagę niania.

— Ja chcę, żeby on wziął.

— Heniu, babunia nie pozwała żebyś…

I nagle orjentuje się, że oto od kilku chwil postępuje wbrew rozporządzeniu pani, rozmawiając »z dzieckiem z ulicy« przy Heniu, odsuwa więc gwałtownie Tadzia i woła, wydzierając mu z rąk lejce.

— Idź, Tadziu, idź, nie wolno ci zadawać się z Heniem.

Ale Tadzio czuje doniosłość otrzymania zabawki z rąk jej prawego właściciela, nie wypuszcza jej przeto, tuli do piersi i woła z płaczem:

— Nie dam, to moje, *chopcyt mi dal!*

— Oddaj, Tadziu i idź! — powtarza matka, coraz bardziej zdenerwowana.

Ale w Heniu budzi się jakaś stanowczość.

— Ja mu dałem, — mówi — to niech mu niania nie zabiera — i dodaje, podnosząc z ziemi elegancki bacik z gwizdawką i jedwabną »superfiną« — przy lejcach i bat ci potrzebny.

Tadzio chwyta za bacik i w obawie, żeby matka nie zechciała go odebrać, zaczyna biec naprzód, tuląc do siebie oba dary.

— Tadzio nie podziękował grzecznemu chłopczykowi — woła za nim zgorszona Augustowa.

Tadzio jest bardzo grzeczny i nauczony dziękować za najmniejszy drobiazg, wraca się przeto natychmiast i z lejcami w jednej, z batem w drugiej ręce, podbiega do Henia i całuje go w policzek. Taka radość maluje się na jego twarzyczce, że aż zagrała ona na nerwach zblazowanego dziecka szczęścia. Henio obejmuje go za szyję i oddaje pocałunek. Niania struchlała!… Henio pocałował dzieciaka z ulicy, dzieciak z ulicy pocałował panicza! Zapomina, że to jej własne dziecko, ogląda się trwożnie, czy kto nie widział zuchwałego postępku jej synka i woła nerwowo:

— No idź już, Tadzik! idź, idź!

Tadzik odchodzi, ale ogląda się kilkakrotnie i, gdy »mama« z Heniem zadzwoniła do żelaznej furtki, zamykającej niewielki, lecz wytworny ogródek jednego z pałacyków w Alejach Ujazdowskich, zatrzymuje się przy niej i patrzy z zachwytem na piękne kwiaty, na ścieżynę wysypaną drobnemi kamyczkami i na biało ubranego chłopczyka, wchodzącego marmurowemi schodami do drzwi mieszkania. A gdy drzwi te otwarły się przed dzieckiem, woła jak może najdonioślej:

— *Chłopecu, chłopecu, ja psyjde bawić się z tobo — jutlo!*

I dotrzymał przyrzeczenia.

Augustowa, nie znając zakazu radczyni, na prośby Tadzia zaprowadziła go nazajutrz pod furtkę pałacyku w Alejach. Stefa siedziała na ławeczce, plecami zwrócona do ulicy, cerując pilnie skarpetki Henia, który opodal na basenie, otaczającym wodotrysk, znudzonym wzrokiem gonił przewijające się złote rybki.

— *Chłopecu!* — woła Tadzio — *psysłem!*

Stefa drgnęła, ogląda się; tak, nie omyliła się, to jej synaczek stoi za bramką w spłowiałem ubranku z niebieskiego trykotu i w czerwonym berecie, który mu uszyła ze starego, krótkiego fartuszka Henia; Stefę ogarnia strach.

— Ten dzieciak będzie tak codzień przyłaził, — myśli — trzeba go raz przegnać!

Ale jak to przegnać własne dziecko i to takie miłe, takie dobre, wołające *»psysłem«* z tą pewnością siebie, co czuje się wolnem dzieckiem, mającem prawo do ogrodu, kwiatów, oka i serca macierzyńskiego. Jak to odegnać taką dziecinę? Przecie on to odczuje jak krzywdę!… Zresztą to dopiero pół do dziesiątej, pani radczyni nie wstaje nigdy przed jedenastą, do tej pory szczelnie zapuszczone rolety i firanki nie dopuszczają nietylko promienia, ale i szmeru do sypialni. Na ten jeden, jedyny raz, wpuszczę dziecko do ogrodu, myśli sobie matka i otwiera furtkę, mówiąc do Augustowej:

— Niepotrzebnie przyprowadzacie tu Tadzika, pani radczyni nie pozwala, żeby tu przychodziły dzieciaki z ulicy.

— A cóż to, ubędzie jej ogrodu?

— Jej o to nie idzie, tylko żeby się Henio z byle kim nie bawił.

— A co to, Tadzio byle kto! Fe, nawet brzydko, żeby rodzona matka

tak mówiła. Chłopczyk grzeczny jak mało które pańskie dziecko.

— Ja to wiem, ale widzicie, tu idzie o zarazę!

— Rany Boskie, to ten mały chory na jaką zarazę?

— A niech Bóg broni, idzie tylko o to, aby mu jaki dzieciak nie przyniósł zarazy z ulicy.

— Ot, zawracanie głowy!… Jak Pan Bóg mu przeznaczy, to choćby był na puszczy i tak zachoruje!… A gdybyś słyszała, jak Tadzik prosił!

— No tak, tak, dziś zostańcie, pani jeszcze śpi… Ale to ostatni raz! No chodź, syneczku, do Henia… siądźcie sobie, Augustowo… Heniuś chce, żeby się z nim mój Tadzio pobawił?

Henio kiwnął głową z miną prezesa parlamentu, podchodzi do Tadzia, bierze go za rękę i prowadzi do basenu.

— Chodź, pokażę ci akwarjum.

— *Cio to waljum?* — pyta Tadzio.

Tadzio jest o trzy tygodnie starszy od Henia, ale mówi daleko gorzej od niego i ma stokroć mniej wiadomości niż on, któremu w zimowe wieczory ciągle pokazują obrazki i opowiadają powiastki, lub przerabiają pogadanki z wszechświata.

— Widzisz, to są złote rybki — mówi Henio, wsuwając główkę miedzy wysmukłe trzciny — ale naprawdę one nie są złote, tylko takie żółte, albo czerwone… brzydkie! — dorzuca z przekonaniem.

Ale Tadzio nie dzieli tego poglądu bynajmniej! Przeciwnie złożył rączki i woła z zachwytem:

— Jakie cudne!… jak *duzo!… laz,* dwa, pięć, *tsy!* Jak one *plęciutto, plęciutto pliwają.*

— Ciągle wkółko — mówi Henio ze znudzeniem.

— *Pac jat odonem pacnela tamto po jbie!* — wola zabawiony Tadzio — a tamta *jo doni*, pewnie *cie jo udliźć* za to, *ze jo bez leb pacnela!*

Henio pochyla się znów nad akwarjum, zainteresowany słowami Tadzia, śledzi oczyma rybki i ze zdziwieniem dochodzi do przekonania, że odkrycie chłopczyka jest słusznem, że rybki nietylko pływają wkółko, ale mają swoje czynności i zabawy.

Pół godziny obserwują je, i Tadzio coraz zaznacza jakiś nowy zwrot, jakiś manewr, sprzeciwiają się nawet rybkom, podsuwając im pod pyszczek kawałek bułeczki na nitce i uciekając z nim dalej, lub

odrzucając go wtył, i bardzo się cieszą widokiem ogłupiałej miny rybki, gdy jej tak smaczny kąsek nagle zniknie z przed oka.

O dziesiątej niania przerwała im tę piękną zabawę, przynosząc drugie śniadanie. Henio dostał jak zazwyczaj: filiżankę mleka, bułeczkę i czekoladkę. Tadzio także bułkę, którą matka wsunęła mu nieśmiało.

— To nie będzie państwu krzywda — myśli sobie i wnet dodaje rozpromieniona: — Paniby mu sama dała, gdyby pozwoliła mu bawić się z Heniem.

I zapomniawszy, że przedewszystkiem przekracza ten zakaz, spokojna wraca do roboty i do rozmowy z Augustową.

Tadziowi ogromnie smakuje biała, drożdżowa bułeczka, posypana słodką kruszonką, Henio przeciwnie zaczyna zwykłe grymasy:

— Mleko za gorące! — woła.

Niania wstaje i spokojnie, długo przelewa mleko do pustej filiżanki.

— Kożuch na mleku! fe!

Niania zdjęła kożuch łyżeczką i dała go zjeść Tadziowi.

— Czekolada ciemna! ja chcę jasnej!

— Wczoraj mówiłeś, że jasna mdła!

— Chcę jasnej!

— To daj, tę odniosę, a wezmę ci jasną.

Henio zniecierpliwiony rzuca czekoladkę na ławkę.

— *Klowa!* — woła w tej chwili Tadzio z zachwytem, pokazując malowaną krowę na papierku stanowiącym opakowanie czekolady.

— Chcesz? — pyta Henio.

Tadzio kiwnął ciemną główką.

— Masz, ale to paskudna, gorzka, smakuje kawą.

Ale Tadzio i w tym względzie nie podziela zdania Henia, z przyjemnością przewraca w buzi pierwszy kąsek, pomimo że mama uderza w lament:

— Co Henio zrobił? czemu Henio oddał czekoladkę! Były w kredensie tylko dwie, ciemna i jasna! Co ja powiem, jak się pani zapyta, co się stało z drugą czekoladką?

— Powie niania, że oddałem chłopcu.

— Ale niech Pan Bóg broni! babcia nie pozwala ci zadawać się z chłopcami.

— No, to powie niania, że zjadłem.

— I to źle; Henio wie, że nie wolno zjeść więcej niż jedną czekoladkę na śniadanie, boby Henia brzuszek bolał. Chyba niech Henio powie, że czekoladka upadła w wodę.

— Dobrze, powiem, że czekoladka wpadła w wodę — powtarza chłopczyk, bardzo rad z podsuniętego mu kłamstwa, patrząc jak Tadzio lubuje się każdym kąskiem.

— Chodź, Tadziu, umyję ci buzię, bo umazałeś się czekoladką, a poco mają inne dzieci wiedzieć, że dostałeś tu coś dobrego, znarowiłyby się i przychodziłyby pod bramkę prosić Heńka o przysmaczki, a on taki głupi, że zarazby oddał.

I szoruje różową buzię rogiem fartucha, umaczanym w basenie:

— Poco tu przychodzisz na moje umartwienie!

I całuje czule swego jedynaka.

Ale ściągnięte brewki i wyraz oczu chłopczyka wskazują wyraźnie, że rozmyśla głęboko nad znalezieniem argumentu, któryby go ocalił w tej trudnej sytuacji. Wreszcie gdy mama wytarła mu też rączki, odzywa się poważnie:

— Powiem dzieciom, że ciocia mi *cetoladte tupila*.

— To byłoby kłamstwo, Tadziku, lepiej nic nie mówić, bo kłamać to brzydko.

— *Tamać to bzidto* — powtarza Tadzik z głębokiem przekonaniem i zaraz pytające spojrzenie zwraca na Henia, który przecie przed chwilą ucieszył się z podsuniętego kłamstwa. — Heniu *tez bzidto*.

Ale w tej chwili w głębi domu rozlega głos dzwonka elektrycznego, długi, przeciągły.

— Laboga, pani się zbudziła! prędko Augustowo, zabierajcie dziecko i idźcie, bo jak pokojówka będzie podnosiła rolety, gotowa powiedzieć, że tu jest obce dziecko, i miałabym piekło, bo paniby nie uwzględniła, że to tylko ten raz, żeście nie wiedzieli, że to wzbronione…. No, ostańcie z Bogiem, dziękuję za odwiedzenie. Pa, Tadziku; pożegnaj się z Heniem, podziękuj mu, że się z tobą bawił i że ci dał czekoladkę…. Na miłość Boską, nie całuj, ukłoń się tylko i powiedz: dziękuję paniczowi!

Ale Tadzio z takim zapałem pochwycił Henia w swe pulchne ramiona i wpił się usteczkami w jego delikatną twarzyczkę, że nie słyszy nawet

słów matki, która przemocą musi go oderwać i popychać przed sobą za toczącą się zwolna i opierającą się na kiju Augustową.

— A zajrzyjcie tu jutro na chwilkę, o tej samej porze — woła niania przez kraty za oddalającą się, słuchając tym razem tylko głosu macierzyńskiego serca.

II.

Przez cały tydzień Tadzio codziennie o godz. 9-ej stał już pod furtką ogródka radczyni. Dwa razy przyszedł »z ciocią«, potem przybiegał sam, poznawszy drogę z Solca w Aleje, zatrzymując się na rogach ulic i bardzo uważnie rozglądając się, czy nie nadjeżdża skąd dorożka. Henia cieszyły te odwiedziny, a słysząc od niani, że mogą mu być odjęte, nie zdradzał się słówkiem przed kimkolwiek z domowników. Przeciwnie, pragnąc obdarzać przyjaciela zabawkami i przysmakami, coraz udatniejsze wymyślał kłamstwa o zgubionych zabawkach, o brzydkim chłopcu, co mu porwał piłkę, gdy się daleko potoczyła, o dozorcy ogrodu, co pewnie zabrał pozostawiony na ławce wagonik. I coraz częściej ściągał przysmaki z kredensu i ze stołu, choć tego nigdy nie robił dla siebie.

Tadzio odwzajemniał się za hojność Henia, odkrywając mu nowe zabawki, wśród jego własnych cacek i w ogrodzie. Nauczył go paść muchami żółwia, który okazał się przytem bardzo zabawnym, a nie ciężkim ospaluchem, za jakiego uchodził dotychczas. Wpuścił parę żabek do akwarjum i ułożył na powierzchni szerokie liście, któremi posługiwały się one jak tratwami. Z drewnianego domeczku i kółka od zepsutego wózka zrobił młyn, którego koło obracało się, puszczane w ruch przez wodotrysk. Uprząż z konia na biegunach założył na Flirta, ładnego foksterjera, który biegał z trzymającymi lejce chłopczykami, skacząc i naszczekując. Gdy Henio dostał małą straż ogniową z beczką, sikawką i wysuwaną drabiną, Tadzio przyniósł kilkanaście pustych pudełeczek od zapałek i papierosów, ułożył je na blaszanem wieczku od kubełka w dwa rzędy, jako domy na ulicy, a potem podpalił z jednego końca. Toż to była radość, gdy trzeba było sprowadzić straż do prawdziwego pożaru! — opłaciło się Tadziowi dostać klapsa od matki za wymyślanie »głupich zabaw«.

Henio zachwycał się pomysłami Tadzia i bawił się właściwie tylko przez te dwie godziny dziennie.

Wszystko jednak ma swój koniec.

Pewnego dnia, o godzinie ledwie dziesiątej, rozległ się w głębi ogrodu głos Olesi pokojówki:

— Stefka! Stefka!

Niania porwała się z miejsca i biegła co tchu, aby nie dać pokojowej dotrzeć do miejsca, w którem dzieci bawiły się ładowaniem piasku na malutkie wagoniki.

— Chodź do pani! — zawołała Olesia, ujrzawszy ją zdaleka, i odbiegła.

Stefa zmierzała do sypialni pewna, że zastanie panią jeszcze w łóżku, gdy spostrzegła ją w drzwiach przedpokoju w bogatym szlafroku i czepeczku koronkowym na nieufryzowanych włosach.

— Stefko, — rzekła — wybierz białe ubranka Henia, Karol idzie do miasta, to odniesie je do pralni chemicznej.

— Dobrze, proszę jaśnie pani, tylko wrócę na chwilkę do ogrodu, bo tam Henio… sam…

— Ja tam idę — odrzekła pani radczyni.

Stefa pobladła.

— Ja tylko wezmę z ogrodu…

— Mówię ci, idź natychmiast wybrać ubranka, bo Karol odchodzi, a ja tylko chwilę mogę zabawić z dzieckiem, bo czekam na doktora.

I biorąc z kąta parasolkę, zeszła pompatycznie ze schodów. Stefa z zapartym tchem stała w oknie, patrząc i nadsłuchując. Pani radczyni przeszła krótką alejkę i ledwie minęła klomb róż, wykrzyknęła zgorszona:

— A to co!… co ten chłopak tu robi?…

— *Zwil* zwozimy, panie nacelniku — odrzekł rezolutnie Tadzio, niezmieszany wcale, podczas gdy Henio pobladł nagle i stanął ze spuszczonemi oczyma jak winowajca.

— Co to za chłopiec?

— To mój przyjaciel — z wielką powagą odezwał się Henio.

— Zwarjowałeś!… Czyj on?

— Niani!

— I odkąd to on tu przychodzi?

— Dziś dopiero — gładko skłamał Henio.

— Kłamiesz!… zanadto jest on tu jak u siebie! Czy pierwszy raz tu jesteś?

Tadzio potrząsnął głową.

— Od kiedy tu przychodzisz?

— *Wcolaj i jesce wcolaj i jesce wcolaj, duzo wcolaj. Henio mi ciastya daje i cettoladty.*

— A ty zuchwalcze! — krzyknęła pani radczyni — I ta bezczelna kobieta, która go tu sprowadziła, żeby z nim dostała się tu szkarlatyna albo dyfteryt. Przecie to na porządku dziennym wśród tej hołoty! Idź precz!

Popędzała go parasolką w stronę furtki.

Tadzio dopiero teraz zmieszał się, spojrzał z wyrzutem na damę, łzy mu błysnęły w oczach, ręce wsunął w kieszenie i dobrowolnie już zmierzał ku furtce. Nagle przystanął i zawrócił się:

— *Pozegnać się tsa!*

Wyciągnął różowe usteczka i ramiona do Henia.

— Ani mi się waż zbliżać do niego!

Potrąciła go parasolką, pchnęła w otwartą furtkę i zatrzasnęła ją z impetem.

— Zna drogę — pomyślała Stela i zrezygnowana już poszła wybierać ubranka do prania, a potem pokornie wysłuchała ostrych wymówek pani, zarzucającej jej niesumienność i grożącej wydaleniem ze służby, gdyby się to powtórzyło.

To też gdy nazajutrz o dziewiątej rano Tadzio znowu znalazł się u furtki, nie otworzyła jej z klucza jak zazwyczaj.

— Odejdź, syneczku, — prosiła — odejdź. Nie wolno ci bawić się z Heniem.

— *Tadzit byl dziecny* — tłumaczył chłopczyk.

— Tak byłeś i jesteś grzeczny i dlatego pójdziesz i nie będziesz tu przychodził więcej, nawet do furtki, bo jakbyś drugi raz przyszedł, toby pani cię wybiła, a mamę wyrzuciła na ulicę i mamę dziadby wziął, albo tramwaj przejechał.

Tadzio patrzy, bardziej zdziwiony niż zasmucony tem, co słyszy.

— Ty nie *cies* bawić się ze mną? — pyta Henia.

A Henio trzyma się sukni niani, buzię ma ściągniętą w podkówkę i bródka drży mu lekko; nie odpowiada nic, nie podnosi oczu, wstyd mu, że nie może zaprotestować, że nie może zawołać:

— Chodź do mnie, Tadziu, chodź do mnie!

I dopiero, gdy Tadzio, na powtórny rozkaz mamy odchodzi zasmucony, Henio chowa twarz w suknie niani i płacze cichutko… długo.

Smutek Tadzia zaś minął dziwnie szybko.

Zaraz po odwróceniu się od furtki spostrzegł, że kilka tramwajów stoi, jeden za drugim, a pierwszy, co był z szyn zeskoczył, dźwigają ludzie i usiłują wepchnąć zpowrotem na tory. Tadzio założył ręce wtył, nóżki rozstawił szeroko i otwiera buzię przy każdym większym wysiłku robotników. Jakiś pan, stojący na platformie tramwaju, zwrócił na niego uwagę ze śmiechem.

— Hej, chłoptaś, chcesz się przejechać tramwajem?

— *Zepsiuty!* — odpowiada rezolutnie.

— A jak go naprawią?

Kiwnął główką i dalej obserwuje pilnie.

— Proszę państwa siadać, — woła konduktor — jedziemy.

Tadzik pytająco patrzy na pana z platformy.

— No, chcesz jechać, to siadaj!

Chłopczyk pośpiesznie wskakuje do tramwaju i zajmuje miejsce w pierwszej klasie.

— Ależ pan zbija dziecko z drogi, potem zabłąka się w innej dzielnicy — odzywa się jakaś gderliwa pani.

— To okólny tramwaj — odpowiada z uśmiechem pan z platformy i płaci za Tadzia dwa kursy, przykazując konduktorowi pozostawić dziecko w tem samem miejscu zpowrotem.

Siedzi Tadzio na aksamitnej poduszce, bosemi nóżkami buja, pogwizduje przez zęby i patrzy na przeciwległe kamienice, migocące mu się przed oczyma. Jakaś pani pogłaskała go po buzi, jakiś pan dał dwa miętowe cukierki, a inny jeszcze poradził mu, żeby ukląkł na kanapie. Teraz wygodniej jeszcze patrzy Tadzio na przesuwające się kamienice, wystawy sklepowe, konie, ludzi i »żydów«. Ani mu w głowie afront, jaki go spotkał ze strony babci Henia!

Konduktor polecił mu opuścić tramwaj w miejscu, w którem go zabrał.

Tadzio spojrzał na pałacyk przyjaciela, ale ujrzawszy panią radczynię w oknie, nie zbliża się do furtki, przeciwnie przyśpieszonym krokiem zmierza w stronę Solca. Na placu św. Aleksandra widzi kilkanaście karet przed kościołem i słyszy piękną muzykę, płynącą z otwartych drzwi świątyni, wbiega więc prosto na schody, wchodzi do głównej nawy, pustej i wysłanej czerwonym dywanem, ściąga beret z główki, przyklęka na środku i bije się co sił w piersi:

— *Boze, bądź mościw mnie gzecnemu!* — mówi głośno.

Stanął między dwoma drzewami pomarańczowemi, słucha cudnej muzyki, patrzy na pannę młodą, płynącą od ołtarza w białej sukni z długim, długim trenem, i myśli sobie, jakby się to dobrze jechało, gdyby mógł siąść na nim z wyciągniętemi przed siebie nóżkami. A potem patrzy na inne panie pięknie poubierane, a gdy organy zagrały marsza, zawraca za ostatnią parą i idzie w takt muzyki, wysoko podnosząc bose nóżki. Ale że w prezbiterjum zakrystjan usunął go na bok, wchodzi do kaplicy i klęka przed figurą św. Antoniego, miłośnie tulącego do siebie małe dziecię. Dziecko ma długie włoski i smutną twarzyczkę, tak jak Henio, składa przeto Tadzio rączki i prosi gorąco:

— Daj Boziu, żeby Heniuś nie *plakał*.

A Henio płacze.

Siedzi na balustradzie akwarjum, spoglądając raz po raz na złote rybki, których pływanie wkółko zdaje mu się znowu monotonnem jak dawniej.

Dnia tego popołudniu wywiązała się dysputa między panią radczynią a jej zięciem, który, jak codzień, przyszedł odwiedzić syna.

— Henio mizerny — rzekł przygarniając do siebie chłopczyka.

— I ja to uważam — dodał dziadek — i nie wiem, czemu to przypisać, żołądek ma zdrów, nie zakatarzony.

— Ma nieczyste sumienie, ot co jest przyczyną złego wyglądu Henia — odzywa się babka z uroczystą miną.

— Cóż się stało? — zapytał się ojciec.

— Daj pokój, nie rób wymówek dziecku, kiedy tu tylko Stefka winna.

— Cóż zaszło?

— Wyobraź sobie, żona odkryła, że sprowadzała do ogrodu swojego chłopaka.

— Mlecznego brata Henia?

— Tak…

— No i co?

— No i narażała nasz dom, w który mógł taki dzieciak wnieść jaką zaraźliwą chorobę.

W tej chwili twarz Henia staje się smutna, tak smutna, że aż zastanawia to ojca.

— Lubiłeś bawić się z tym małym?

— Tak…

— On ładnie bawi się z tobą?

— Ślicznie…

— A w co się bawiliście?

— We wszystko: i w konie i w wojsko i w straż ogniową. Tadzio tak wszystko obmyśli, jak…, jak…, jak sam Kopernik, a bez niego to tak nudno w ogrodzie.

— Henio potrzebuje towarzystwa…

— Być może, ale dlatego nie mogę narażać go na niebezpieczeństwo choroby.

— Samotność, w jakiej przebywa Henio, jest zgubną dla jego nerwów, a ciągłe obcowanie ze starszymi źle się odbija na charakterze.

— To trudno, nie moja wina, że jest jedynakiem.

— Przecież tylu jest jedynaków na świecie, nieskazanych przez to na ciągłą nudę jak nasz Henio… Odwiedzają się wzajemnie z innemi dziećmi, bawią się wspólnie w publicznych ogrodach…

— I wspólnie chorują na dyfteryt i umierają jak Gucio Lesińskich!

— To nie argument.

— Proszę cię, nie traktuj mnie jak głupią.

— Bynajmniej tak nie jest, uważam tylko, że mama stosuje zacofane metody w wychowaniu dziecka.

Pani radczyni porywa się oburzona.

— Więc za moje poświęcenie, za zastępowanie matki niemowlęciu, za tyle nocy nieprzespanych taka mnie z twojej strony wdzięczność spotyka!…

Następują łzy, spazmy, wymówki, z drugiej strony tłumaczenia się, zaklęcia, słowem jedna ze scen powtarzających się często między opiekunami Henia, od której chłopczyk ucieka do ogródka zdenerwowany

i przerażony.

— Heniuś, Heniuś! — woła ktoś z ulicy.

Henio poznaje głos Tadzia i biegnie wzruszony ku furtce.

Stoi tam rzeczywiście bosonogi przyjaciel, tuląc do siebie małe, szare kocię, pokazujące raz po raz różowy języczek i ostre ząbki przy miauczeniu. Tadzio zawiązał mu na chudej szyjce czerwony gałganek, do którego przyczepił jedną z grelotek, odjętych od lejcy.

— *Mas, psyniosem* ci *tota*, nazywa się Fajka. Idź, Fajka, nie bój się, Heniuś *dziecny*, nie będzie cię *dusil jat opaki*… *Siakjew!*… — dodaje energicznie, wkładając jednocześnie do buzi udrapany paluszek.

— Dziękuję ci — woła Henio, przytula kota do siebie i biegnie ku domowi, patrząc z niepokojem na okno jadalni, do którego zbliża się babcia z lornetką przy oczach.

W jadalni jest już pani radczyni sama, dysząca jeszcze i spoglądająca raz po raz w srebrne lusterko, wiszące na łańcuszku przy boku, dla skontrolowania śladów łez.

— Buniu, — woła Henio — dostałem ślicznego kotka.

Pani radczyni robi przerażoną minę.

— Rzućże to brzydactwo; podrapie cię.

— Ja się będę z nim bawił.

— Mówię, że cię podrapie, aniołeczku!

— To nic — decyduje Henio, choć zazwyczaj na ból i krew wrażliwy, bo przypomina sobie, że przed chwilą Tadzio, udrapany nie płakał i nie krzyczał, tylko syknął *siakjew* i paluszek włożył w buzię.

Ale pani radczyni nie ustępuje.

— Nie można, aniołeczku, kotem się bawić, koty przenoszą różne choroby, miewają robaki, i robią okropne nieporządki w domu, zanieczyszczają więc powietrze!… Karolu, weź tego kota i wyrzuć na ulicę… Wstydź się, Heniu, płakać o byle kota, gdy masz tyle pięknych zabawek… ojca i dziadków, którzy cię tak kochają!…

Prawda, że Henio ma ojca i dziadków, którzy go bardzo kochają, a jednak w tej chwili czuje się taki sam, taki sam, wśród martwych, zimnych zabawek, wypełniających jego pokój!

III.

Nastały dni słotne, zatrzymujące obu chłopczyków w mieszkaniu. Henio nudził się bardziej jeszcze niż zwykle, Tadzio zaś chodził bawić się w sieni i rej wodził nad »dziewczynami i dziećmi«, z któremi wolał się bawić niż z rówieśnikami, lubiącymi wykazywać swą przewagę przy każdej sposobności.

W końcu czerwca odwiedziła go mama, przyniosła mu kilka »nowych« ubranek, podniszczonych przez Henia, dużo uszkodzonych zabawek i kilkanaście rubli Augustowej ze względu, że wyjeżdża z państwem nad morze na całe trzy miesiące.

Tadzio mało sobie robił z nieobecności matki; widywał ją tak niewiele. Ale Stefa w czasie trzymiesięcznego pobytu w Sopocie tęskniła bardzo za swym syneczkiem, a ostatnich tygodni niepokoiła się nawet wielce, mówiono jej bowiem, że gazety donosiły, jako dysenterja dziesiątkowała uboższą dziatwę w Warszawie. To też gdy za powrotem z powodu zajęcia rozpakowywaniem, nie otrzymała zaraz pozwolenia na odwiedzenie Tadzia, nie wytrzymała i trzeciego dnia poszła do niego w czasie spaceru z Heniem, po zastrzeżeniu ścisłego sekretu. Dla Henia sekret ten miał wielki urok. Cieszyło go też, że niania pozwoliła mu zabrać konia dla Tadzia, niedużego, lecz pokrytego siwą skórą z piękną uprzężą.

— Powiemy babci, że został w Sopocie — zdecydował, biorąc go pod chustkę.

— Babcia trochę pokrzyczy, ale to nie szkodzi — zakonkludował Henio — na nianię, nie na mnie.

Po przybyciu do mieszkania Augustowej w pierwszej chwili był Henio zastraszony ciemną i brudną izbą, do jakiej wprowadziła go Stefa, ale skoro postawił przed Tadziem na stole konika, chłopiec okazał tak niezmierną radość, tak całował go po łebku i kopytkach, a potem matkę i Henia po rękach i twarzy, że Henio cieszył się jego uciechą więcej, niż kiedykolwiek własną.

A gdy raz zagłuszyła niania głos obowiązku, coraz częściej wpadała na Solec, zanosząc dziecku to to, to owo, przesiadując długo z Augustową, pozwalając nawet Heniowi bawić się w wojsko i strażaków z całym zastępem bosonóżków na podwórzu.

Tak minęły jesień i zima. Henio wprawiał się w okłamywanie swego otoczenia, lecz także nabierał zamiłowania w czynieniu dobrze

Tadzikowi.

Nastała wiosna, zmienna, fantastyczna, naprzemian gorąca lub przejmująco zimna.

W jeden z takich upalnych dni majowych zmierzał Henio ku domowi, w którym mieszkał Tadzio, mając w kieszeni piernik i nadgryzioną czekoladkę, na palcu zaś nitkę od czerwonego balonika, o którym miał zamiar powiedzieć babce, że został przez wiatr porwany. Minęli już okno sutereny, zamieszkanej przez Augustową, gdy z bramy wybiegł ospowaty Romek i zawołał krzykliwie:

— Tadek bardzo chory, pewno umrze! był u niego doktór.

Pod Stefą zadrżały nogi, ogarnął ją niezmierny lęk o życie jedynego dziecka, a zaraz potem przyszła druga trwoga o powierzonego jej z takiem zaufaniem Henia, czy aby z okien tego domu nie zionęło nań tchnienie zarazy, przed którem tak ostrzegali ją jej chlebodawcy. Pobladła, przetarła czoło i odsuwając od siebie Henia, rzekła zmienionym głosem:

— Poczekaj chwilkę, dowiem się przez szybę.

Przysiadła przy ziemi, przysłaniając okno rękoma, aby dojrzeć co w ciemnej izbie.

— A to ty, Stefo, — odezwał się z wewnątrz głos Augustowej. — Dobrze, żeś przyszła; mały bardzo chory.

— Co jemu, bieduskowi? czy aby nie zaraźliwe?

— Nie; był doktór z drugiego piętra, sam przyszedł jak się dowiedział, że Tadzik chory, bo go strasznie lubi. Powiedział, że to zapalenie płuc. Kapuścina stawiała mu bańki…

Stefa odetchnęła. — Chwała Bogu, że aby nie zaraźliwa choroba, będzie mogła bez skrupułu odwiedzać syneczka.

— Chodź, Heniu, — woła — pójdź do Tadzia.

— A ja się tam nie zarażę? — zapytuje ostrożnie.

— Nie, to zapalenie płac, niezaraźliwe. Żeby tylko wyżyło moje biedactwo.

Tadzio jest bardzo, bardzo chory, blado uśmiecha się do balonu i przysmaczków, nie może nic mówić, bo kłucia w piersiach wzmagają się przy otwieraniu ust. Biedna matka patrzy niezaradna na cierpienie dziecka, rozgląda się wokoło i nagle spostrzega wszystko, co dotychczas

nie raziło jej bynajmniej: i wilgotne ściany i duszne powietrze, ziębi ją w nogi ceglana podłoga, a ziemniaki, gotujące się na kominie, przerażają na myśl, że stanowią one jedyną strawę tego dnia. Czy to są warunki dla chorego na zapalenie płuc? czy to są warunki, któreby mogły zmóc śmierć, czyhającą przy łóżku dzieciny? A ona tak pragnie ją uratować! Po raz pierwszy odczuwa, czemu jest dla niej to dziecko widywane zrzadka i ukradkiem, i jak jej życie straciłoby na wartości, gdyby ono zeszło ze świata. Klęka przy łóżku, całuje rozpalone rączki chłopczyka, przemawia do niego wszystkiemi czułemi określeniami, jakich się nasłuchała w domu radców w stosunku do Henia, aż malec patrzy na nią zdziwiony, rozszerzonemi przez gorączkę źrenicami. A potem budzi się w niej pragnienie poprawienia warunków, w jakich choruje Tadzio. Bierze koszyk, garnuszki, biegnie do restauracji po rosół, do sklepu po jajka, bułki, mleko.

Henio tymczasem pozostaje przy chorym. Usiłuje zainteresować go balonem, który pomknął z rąk chłopca, przylgnął do sufitu i kołysze się melancholijnie. Potem opowiada mu, że będzie go codzień odwiedzał i przynosił mu dużo, dużo dobrych rzeczy. Dalej recytuje mu bajkę o Pawle i Gawle i o Jasiu Burczymusze i opowiada, jak się babcia gniewała na Olesię za to, że jej upaliła promień włosów na głowie, »tych prawdziwych, własnych« dodaje.

Stefa, wykosztowawszy się i zmęczywszy pośpiesznem bieganiem za sprawunkami, wraca uspokojona i wzmożona nadzieją, że przecie Bóg nie zrobi jej tej krzywdy, aby Tadzio miał umrzeć. Ale za powrotem do domu znowu ogarnia ją niezmożony niepokój. Czuje, że nie zdoła spędzić nocy zdala od dziecka, a że Henio sypia bez przebudzenia się całą noc w swoim pokoju, między sypialnią babki a jej pokoikiem, postanawia wymknąć się na noc na Solec. Wtajemnicza w to stróża, poczciwego człowieka i zabrawszy butelkę soku malinowego i cytrynę, okrywa się chustką i wychodzi z domu.

Rzeczywiście dziecko bardzo potrzebowało jej opieki, bo Augustowa zmęczona poprzednią bezsenną nocą, usnęła jak zabita pod swą pierzyną.

Druga noc była jeszcze gorsza; nie wiedzieć z jakiej przyczyny gorączka się podniosła, Tadzio majaczył, rzucał się, odkrywał, musiała przeto ciągle przytrzymywać go, aby piwniczne powietrze izby nie owiało

spoconego ciała.

Sześć nocy spędziła tak przy swym jedynaku, wracając na siódmą do domu.

Dziecko zostało ocalone, ale doktór nakazał zmianę warunków, aby nie nastąpiła recydywa, lub nie wywiązała się gruźlica.

Nieoczekiwana okoliczność pomogła przeprowadzić to szczęśliwie.

Państwo radcostwo wybierali się na pierwszy sezon do Karlsbadu, zaś po kuracji tej miał nastąpić trzytygodniowy wypoczynek w jednej ze stacyj klimatycznych na Semeringu; uwzględniając też podróż i konieczność »oporządzenia się« pani radczyni w Wiedniu, nieobecność ich w Warszawie musiała przedłużyć się co najmniej do dziesięciu tygodni. Przez ten czas domem i Heniem zając się miała p. Aniela Stecka, daleka kuzynka, znana pospolicie pod imieniem p. Nelki.

Panna Nelka miała około pięćdziesięciu lat, usposobienie słodkie i jednostajne, a zgodne aż do przywtarzania prawie każdemu, z kim przychodziło jej rozmawiać. Ciężka dola istoty zubożałej i wykolejonej spotęgowała tę ostatnią cechę, szczególniej w stosunku do możnych krewnych. Tem jednak zyskała zupełne zaufanie pani radczyni, przekonanej, że jedynie panna Nelka potrafi przeprowadzić skrupulatnie jej system, stosowany w wychowaniu Henia. Nie wiedziała bowiem, jak Nelka wzruszała zdumiona ramionami i trzęsła głową z wyrazem zgorszenia, gdy Stefa opowiadała jej, jak daleko posuwa radczyni swą ostrożność, broniąc Henia od wszelkiej styczności z dziećmi, i jak wtóruje ojcu Henia, gdy się uskarża, że w synu jego zabijane są wszelkie uczucia humanitarne.

Stefa nie usłyszała nigdy z ust p. Nelki krytyki postępowania pani radczyni, a jednak przeczuwała ją w gruncie, to też skoro tylko radcostwo odjechali, pocałowała ją w rękę i rzekła podnosząc proszące, śliczne oczy:

— Ja mam wielką prośbę do pani!

— Czego sobie życzysz, moja duszko?

— Ja mam chore dziecko.

— Chore, mój Boże, co mu jest?

— Przeszedł zapalenie płuc.

— Już przeszło?… Bogu dzięki!

— Tak, ale jeszcze nie wstaje i jest bardzo słaby. Doktor boi się, żeby

się nie powtórzyło…

— O, trzeba ogromnie strzec małego po tak ciężkiej chorobie.

— Właśnie, ja to wiem! Ale kto ustrzeże lepiej od matki?

— Chcesz może chodzić do niego na cały dzień. Dobrze… ja tu Henia dopilnuję.

— Moje chodzenie nie na wiele się przyda, jeśli on tam mieszka w wilgoci i zaduchu. To też ja chciałam pięknie pani prosić, żeby mi pani pozwoliła przywieźć dziecko do mego pokoju… Będzie leżał w mojem łóżku… okno wychodzi na ogród…

— To doskonała myśl!

— Życie mu kupię, nie będzie państwu ciężył.

— Ah, moja duszko, co taka dziecina zaciężyć może!… To trochę rosołku, kotlecik, kompocik…

Stefie rozbłysły oczy; rezultat przechodził jej oczekiwanie, pocałowała znowu rękę p. Nelki.

— Pani to jak anioł z nieba… Pan Bóg to pani nagrodzi.

— Ale moja duszko, niema nawet o czem mówić! Czy warto było pytać się o to? To takie naturalne, że matka powinna mieć przy sobie chore dziecko.

— To proszę pani, tak rozumie każdy, kto ma serce na swojem miejscu, ale pani radczyni nie pozwala, żeby Henio stykał się z dziećmi, zwłaszcza biednemi.

Panna Nelka zakłopotała się mocno.

— Prawda!… No, to niedobrze, bo jak kto potem powie pani radczyni, że to dziecko było tu w czasie jej nieobecności...

— O to niema strachu… Olka jedna mogłaby naskarżyć, bo to szelma dziewuszka, ale, Bogu dzięki, pani zabrała ją z sobą, a Andrzejowa, kucharka i stróż i jego żona nie cierpią naszej pani, że taka nieużyta, to jeszcze radzi będą, jak jej się coś na złość zrobi.

— Chwała Bogu, chwała Bogu, kiedy tak… No to, moja Stefko, przywieź dziecko dziś jeszcze. Czy to chłopczyk, czy dziewczynka?

— Chłopczyk, proszę pani, mleczny brat Henia.

— To tem więcej; Henio ma nawet obowiązek względem swego mlecznego braciszka, którego odjadał w niemowlęctwie. O my oboje z Heniem będziemy dbali o chorego chłopczyka… Dobrze, Heniusiu,

chcesz opiekować się chorą dziecinką?

Henio siadł na kolanach p. Neli z rzadką u niego swobodą.

— O, ja bardzo lubię Tadzia, ja go zawsze lubię…

— Więc wy się znacie?

Henio się zmieszał i spuścił oczy, przypominając sobie zakaz.

— Widział go parę razy — wyręczyła Henia w odpowiedzi Stefa. — Przecie niepodobna, żeby dziecko nie odwiedziło czasem matki, albo uciekało od niej, spotkawszy ją na ulicy…

— No naturalnie, naturalnie, moja duszko. To nie trać czasu, bierz dorożkę i przywieź zaraz chłopczynę…

— Muszę wpierw pokoje posprzątać.

— Już ja to sama zrobię.

— A gdzieżby pani!…

— Alboż to ciężka robota?…

— Pewnie, stróż już pofroterował i pozamiatał, tyle tylko, co posłać łóżka i pościerać kurze… Najgorsza, że pani radczyni tak strasznie porozrzucała rzeczy w swoim pokoju.

— Dam sobie radę i z tem!

— Albo niech pani nie rusza sypialni pani radczyni! ja sprzątnę, gdy wrócę.

— No już dobrze, dobrze, nie kłopoc się tem, jakoś to będzie!… Śpiesz do chorego.

Panna Aniela rozegzaltowała się na punkcie »chorej dzieciny«. Było to jedno z tych kochających, wyzbytych egoizmu serc kobiecych, które przywiązują się coraz silniej, w miarę czynienia dobrze komuś, a dla których chory i dziecko stanowią przedmiot czci i umiłowania. Z całą siłą też budziła w Heniu wrodzone, a uśpione dobre serce.

Stefa również po raz pierwszy od przyjścia na świat synka znalazła się w możności współżycia z nim, drobiazgowej opieki i cieszenia się znakomitemi warunkami, jakie mu dawała.

A Tadzik tak umiał rozkoszować się wszystkiem dobrem, które go spotykało. Póki leżał w łóżku zachwycał się *cewroną kordrą* i *wsywkami dziulkowemi* przy poduszkach, po wstaniu — każdym sprzętem w mieszkaniu radcostwa, bez ceremonji bowiem, pod nieobecność państwa domu, chodził z Heniem po wszystkich kątach, wykazując tak jak przed

rokiem w ogrodzie wiele ciekawości i spostrzegawczości, stosowanej do szczegółów, na które Henio nie zwracał dotychczas uwagi.

Pewnego dnia pan Tarner, ojciec Henia, ujrzał go niespodzianie w gabinecie pana radcy, jak siedział pod wywróconym fotelem, podczas gdy Henio na dywanie przed stosem zrąbanego drzewa, wstawiał w środek palącą się lampkę nocną.

— A ty skąd masz takiego kompana? — rzekł stając przed Tadzikiem, który leżąc na brzuchu wystawiał kędzierzawą główkę z pod fotelu.

— Ja nie kąpana, bo ja cyganka, cyganki się nie kąpią, bo cyganki są brudne.

— A no, dość mi ten łepek wygląda na cygański. A ty co jesteś, Heniu?

— Ja jestem cygan — odparł z powagą wskazując na czerwoną chustkę, narzuconą na plecy i kilka błyszczących kulek z choinki, zawieszonych na szyi. — Ach tatusiu; dobrze, że tatuś przyszedł, tatuś nam odbierze dziecko.

— Jakie dziecko mam wam odbierać? Mnie wystarcza, że mam ciebie, takiego łobuza!

— Niech tatuś nie żartuje, bo tu żartów niema. Ot ta cyganka, co tam siedzi w namiocie, ukradła dziecko.

Biczykiem, który miał w ręku pokazał pajaca o haczykowatym nosie, który siedział oparty o poręcz fotela.

— Widzi tatuś, to dziecko jest synkiem hrabiego Stanisława Augusta, cyganka je porwała. Dziecko bardzo płacze. A tatuś będzie hrabia Stanisław August, który usłyszy płacz swego syna i przyjdzie nam go odebrać.

— Dobrze!… zrozumiałem… Oto chwytam mego syna i daje nogę, gdzie pieprz rośnie.

— Et nie! tatuś nie umie się bawić! — wołał Henio, przytrzymując za połę pana Tarnera.

— Niech lepiej panna Aniołka będzie hrabina, panna Aniołka umie dzieci odbierać — doradzał Tadzio.

Ale Henio nie rezygnował z możliwości nauczenia ojca tak trudnej roli.

— Widzi tatuś, my tak nie damy sobie zabrać dziecka odrazu, my będziemy się z tatusiem mocowali, ale tatuś nas pozabija i dopiero

ucieknie.

— Nie, nie trzeba zabijać, — odezwał się Tadzio z pod fotelu — cyganów też boli, jak im głowę ucinać. Tatuś tylko wsadzi nas do kozy i to na niedługo, a my się poprawimy i będziemy mieli własne dziecko… Przygotuj małego murzyna — dodał ciszej — wsadź go do *sosielki* to będzie kołyska, on się tam urodzi.

Pan Tarner znakomicie wywiązał się z zadania. Niebawem odbite dziecko leżało na fortepianie w przyległym salonie, a cygan i cyganka, klęcząc za chińskim parawanem łomotali się pięściami w piersi, aż się echo rozchodziło, wołając wielkim głosem:

— Moja wina, moja wina, już nie będę dzieci kradł, żałuję za grzechy! Moja wina, moja wina!

A potem Tadzio porwał murzynka, włożył w porcelanową sosjerkę i tuląc go do piersi, krzyczał piskliwym głosem, jakby mu kto zęby wyrywał.

— Czego się tak drzesz, mały? — zawołał pan Tarner.

— To nie ja, to to dziecko, co się urodziło — odparł Tadzio z powagą.

Ale na krzyki te nadbiegła i panna Aniela. Struchlała, ujrzawszy przed sobą plecy pana Tarnera, jak stojąc na środku gabinetu z rękoma w kieszeniach, patrzał na krzyczącego pod fotelem Tadzia. Z pochylenia głowy wnioskowała, że mina musi być groźna.

— Pan dyrektor wybaczy — wołała od progu — ale ten chłopczyk chwilowo tylko…

Pan Tarner wykręcił się na pięcie, tak że znalazł się przed nią całą postacią, zwracając ku niej twarz dobrą i rozśmieszoną.

— Skąd się tu wziął ten bachor? — zapytał.

— Ah, nieszczęście go tu przywiodło… chorował na zapalenie płuc… To syn Stefki, brat mleczny Henia… pozwoliłam mu spędzić kilka dni w pokoju matki, z racji rekonwalescencji…

— Pyszny okaz! — śmiał się pan Tarner, patrząc na Tadzia, który nie zwracając najmniejszej uwagi na rozmowę starszych, choć dotyczącą jego osoby, całował małego murzynka i podsuwał go pod usta Henia.

— Masz Bombelcie, całuj go, to twój syn, któregoś tak pragnął.

— To ogromnie dobre dziecko, grzeczne, posłuszne. Niech się pan dyrektor nie obrazi, ale ja uważam, że on ma bardzo dobry wpływ na

Henia. Jest pełen inicjatywy, energiczny, śmiały.

— Bardzo wierzę, jest też najwyższy czas, aby Henio przestał być słońcem, około którego wszystko się obraca.

— Pan dyrektor tak się zapatruje?

— Naturalnie!

— O panie dyrektorze!

Panna Aniela omal się nie rozpłakała z uchwytu i wzruszenia.

— Bo pani radczyni wzbrania Heniowi wszelkiego kontaktu z innemi dziećmi, zwłaszcza biednemi.

— Pani radczyni jest stara mamusia. A kompan jest pyszny facet.... No, podaj mi rękę, towarzyszu.

Tadzio wysunął z pod fotelu wychudłą skutkiem choroby rączkę i wcisnął ją w szeroką dłoń pana Tarnera, ale za chwilę zaczął się gramolić z pod »namiotu«.

— Zapomniałem się ukłonić — mruknął pod nosem.

Jedną ręką ujął poręcz fotela, potem rozstawił bose nogi i zsunął je powoli, pochylając się w eleganckim ukłonie.

Pan Tarner nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Widzę, że pięknie się kłaniasz, lepiej od Henia.

— On lepiej się kłania, bo już zna litery; nauczył się na mojem abecadle — zauważył Henio.

— Ty go lubisz, jak widzę.

— Kocham go — odparł Henio, obejmując Tadzia i tuląc go do siebie — i on mnie kocha.

— No, to będzie ci stałym towarzyszem: za rok zaczniecie wspólną naukę, potem razem pójdziecie do szkół, na uniwersytet, i da Bóg, obaj zostaniecie dzielnymi ludźmi.

IV.

Dziesięć tygodni minęło bardzo szybko obu chłopczykom, żyjącym całą pełnią wygodnego, wesołego życia dziecięcego. Na życzenie pana Tarnera wniesiono drugie łóżeczko do pokoju Henia, a Tadzio po raz pierwszy w życiu dostał zupełnie nowe ubranko i buciki na swoją nogę, któremi był tak uszczęśliwiony, że przez trzy dni, kładąc się do łóżka,

umieszczał je przy sobie na niebieskiej kołderce. Pomimo otaczającego go stale dobrobytu, wyczuwał wszystkie jego dodatnie strony zawsze jednakowo żywo i budził skłonną do apatji duszę Henia.

Znajomi pani radczyni dziwili się, że pan Tarner zaryzykował tak wielką nowość w czasie jej nieobecności, ale poznając grzecznego i miłego Tadzia, naogół winszowali decyzji i wyboru.

A jednak serce panny Anieli biło bardzo mocno w dniu, w którym oczekując przyjazdu państwa radcostwa, ubrała obu chłopców w jednakowe granatowe ubranka i upominała Tadzia, aby w pierwszych dniach ograniczał się zabawą w pokoju »mamy« i w ogródku.

Stefa bardziej jeszcze sceptycznie usposobiona chodziła zafrasowana i za każdem spotkaniem z panną Nelką powtarzała:

— Zobaczy pani, będzie awantura.

I stała się awantura gorsza, niż ktokolwiek mógł przewidzieć. Pani radczyni oskarżyła Nelkę i Stelę o »brudną intrygę« o omotanie »słabego pana dyrektora«, o niesumienne frymarczenie dzieckiem, o zawiedzenie jej zaufania i z punktu, nie czekając na porozumienie się z zięciem, wypędziła Stefę ze służby, wypłaciwszy jej zaległą pensję i polecając wynieść się jej natychmiast z dzieckiem i z rzeczami.

Nie pozwoliła nawet Heniowi pożegnać towarzysza, który odchodząc za płaczącą matką, przesyłał mu z ogródka od ust pocałunki.

I rzecz dziwna, Tadzio odchodził na tułaczkę, na niedostatek, a szedł z głową podniesioną i twarzą pogodną, Henio pozostając w dobrobycie i przepychu, zalewał się łzami, tuląc twarz do zimnej szyby.

Pani radczyni była nieugięta, nawet wobec stanowczo postawionego przez zięcia żądania, żeby syn jego miał towarzysza zabaw i nauki. A że oboje byli uparci, rzeczy zaszły tak daleko, że pan Tarner uprosił pannę Anielę, aby zamieszkała u niego, zabrał Henia od dziadków i polecił woźnemu ze swego kantoru, aby wyszukał przez biuro adresowe Stefanię Czereśnicką i sprowadził ją wraz z synem do jego domu.

Henio opuszczał pałacyk w Alejach z lekkiem sercem, wabiony nowością oraz perspektywą stałego obcowania z ojcem, którego kochał nad wszystkich na świecie, tem więcej, że babka wymawiająca mu od powrotu nieustannie niewdzięczność i przewrotność, dom mu ten obrzydziła. Wyrzuty te towarzyszyły potem wszystkim wizytom Henia u

dziadków, a przykrość, jakiej stąd doznawał, nie była równoważoną kosztownemi podarkami i przysmakami, jakie od nich otrzymywał.

Szczególniej bolało Henia serduszko z racji stałego ignorowania Tadzia, lub odzywanie się o nim: »ten przybłęda«; dotykało to bardziej ambicję Henia, niż godzącego się ze wszystkiem Tadeuszka.

I mijały lata jednostajne a szczęśliwe. Nauka przy dobrych nauczycielach, zabawy pod okiem wesołego ojca i słodkiej panny Anieli, wyjazdy latem w góry i nad morze, a już najmilsze nad wszystko wycieczki w Tatry, w butach podbitych gwoździmi, z ciupagami o żelaznych toporkach, jakie mają prawdziwi turyści, składały pasmo życia o jasnych barwach. Henio nietylko zmężniał, ale przy śmiałym towarzyszu nabrał energji i obrotności, choć pozostał bardzo nerwowym i wrażliwym na wszelkie ujemne wrażenia, w tym samym stopniu, w jakim Tadzio odczuwał dodatnie.

Mieli chłopcy po lat dwanaście, gdy do codziennych wrażeń przybyły nowe, stokroć silniejsze, wypływające z wiadomości o wojnie, jaka rozgorzała na Wschodzie między Rosją a Japonją. Pan Tarner, przywykłszy do dzielenia się z chłopcami wszystkiemi wiadomościami, które ich interesować mogły, szeroko i malowniczo rozpowiadał im o olbrzymich bitwach, toczących się na płaszczyznach Azji, o starciach flot i o oblężeniu Portu Artura. Godzinami całemi przesiadywał z nimi nad mapą, śledząc interesujące miejsca i zakreślając je kolorowym ołówkiem; znosił do domu wszystkie ilustrowane pisma, które zajmowały chłopców bardziej od najwięcej skomplikowanych zabawek, otrzymywanych dotychczas.

A potem przyszły nowe, bliższe wrażenia: ruchy rewolucyjne i strajk powszechny, ogłoszenie konstytucji, uroczysty pochód na ulicach Warszawy, zakończony krwawą szarżą wojska na placu Teatralnym, a potem znowu rozruchy, rabunki uliczne, zamachy polityczne i bandyckie, bomby, rewolwery i nahajki!… Mieszkając na Krakowskiem Przedmieściu mieli chłopcy najruchliwszą dzielnicę przed oczami, to też dniami całemi wysiadywali w oknie, pełni niezdrowej żądzy silnych wrażeń.

— Może dziś rzucą bombę blisko nas!… Może dziś zabiją jakiego stójkowego pod naszemi oknami!…

Pewnego popołudnia wyszli z ojcem na spacer; dzień był piękny, pogodny, tłumy snujące się po ulicach jakieś weselsze, spokojniejsze niż dni poprzednich. Schodzili właśnie z mostu Kierbedzia z zamiarem udania się nad Wisłę, aby zakupić jabłek na galarach, gdy z za jednego z filarów wysunął się mężczyzna w wytartem palcie, w kołnierzu zasłaniającym mu twarz do połowy, i dał dwa strzały w stronę p. Tarnera, poczem zbiegł szybko i zniknął pod mostem. Z krzykiem rozdzierającym rzucili się obaj chłopcy ku padającemu bez jęku nawet dyrektorowi. Zrobiło się zbiegowisko, nawoływanie policji, pogotowia, gwizdy, tłoczenie się wokoło stygnącego już ciała.

Henio nie wiedział nawet jak się to stało, że go odłączono od ojca i wsadzono do doróżki. Przyszedł do siebie na kolanach policjanta, przy boku Tadzia, który płakał i całował go po rękach, najczulszemi przemawiając doń słowy.

Nigdy nie dowiedział się Henio dlaczego zabito jego dobrego, zacnego ojca. Nikt tego dokładnie nie wiedział, zabójca zapewne niewiele więcej od innych.

Siłą okoliczności wracał Henio do dziadków, podczas gdy »intrygancka klika« p. Aniela, Stefa i Tadzio zostali, zdaniem radczyni, »rozpędzeni na cztery wiatry«.

Henio składał książki, zabawki i drobiazgi, dzieląc je bardzo sprawiedliwie na dwie grupy: dla Tadzia i dla siebie, gdy weszła pani radczyni, aby dopilnować pakowania przedmiotów wartościowych, które miały stanowić dla jej wnuka cenny spadek. Henio, ujrzawszy ją, położył spokojnie pudełka z loteryjkami, które miał dzielić, zbliżył się do babki i zapytał tonem dorosłego człowieka:

— Babcia nie życzy sobie, żeby Tadzik był ze mną?

— Pewno, że sobie nie życzę, to zły i przewrotny chłopak; nawet nie pozwalam ci widywać się z nim na przyszłość.

— Jak babcia chce, ale Tadzio musi się dalej uczyć, to niech babcia płaci mu nauczycielu, a potem szkoły… z moich pieniędzy — dodał tonem wielkiego pana.

— Henio nie ma prawa wydawania jakichś rozporządzeń i decydowania o Tadku albo o swoich pieniądzach! Stefka musiała przez tych dziesięć lat dość uzbierać pieniędzy, aby miała zaco chować swego

gagatka. Zresztą najstosowniej będzie, gdy go odda do rzemiosła, to ją nic kosztować nie będzie!

— Tadzik bardzo pragnie się uczyć… Tadzik jest zdolny, tatuś chciał, żeby Tadzio odebrał takie same wykształcenie jak i ja — mówił Henio ze łzami w głosie.

— Gdyby tatuś tego pragnął, byłby go ubezpieczył!

— Przecież tatuś zmarł niespodziewanie…

— W takich czasach jak obecnie każdy musi się spodziewać śmierci. Ja jestem kobietą, nie narażoną tak na niebezpieczeństwa, a od wybuchu rewolucji zrobiłam testament, pamiętając o wszystkich, którzy byli dla mnie wiernymi sługami, ale właśnie dlatego szaloną byłabym, otaczając opieką kobietę i chłopaka, którzy od pięciu lat zatruwają mi życie, a twoją duszę zaprawiają niewdzięcznością!

Ambitny z natury Henio, widząc, że żądania nie pomogą, zwalczył swą miłość własną i uderzył w prośby i błagania. Nic nie pomogło; pani radczyni była nieugięta, przeciwnie, z widocznem upodobaniem snuła ponure horoskopy co do przyszłości Tadzia.

— Niech zazna biedy, będzie miał naukę, niech się wyzbędzie pańskich narowów, będzie jego matuchna wiedziała, jak była rozsądną, godząc się na chowanie chłopca jak bogatego panicza, gdy miała dla niego tylko płótno w kieszeni! Teraz jak się znajdzie w tak odmiennych warunkach, ręczę, że zacznie kraść lub przystanie do bandytów.

Henio się porwał, zdawało się, że urósł i spoważniał nagle.

— Nie, babciu, Tadzio nie zostanie ani złodziejem, ani bandytą, bo Tadzio wie, co złe i brzydkie… Tadzio zostanie uczciwym człowiekiem, szkoda tylko, że nie sławnym, bo ja jestem pewien, że gdyby on skończył uniwersytet, to zostałby sławnym człowiekiem!

I zaczął płakać tak serdecznie, że pakująca rzeczy w przyległym pokoju panna Aniela nie mogła słuchać tego spokojnie i opanowując wrodzoną nieśmiałość, weszła do pokoju Henia, a nie zważając na obecność radczyni, położyła rękę na głowie chłopczyka i rzekła nieśmiało:

— Nie płacz, Heniusiu, ja będę łożyła na wykształcenie Tadzia.

— Pani, złota panno Aniołko? Przecież pani nie ma pieniędzy.

— Mam trochę oszczędności, a przedewszystkiem od jutra obejmuję

posadę w kantorze ś. p. twego ojca; zarobię dostatecznie i na utrzymanie i na kształcenie Tadzika!

V.

Już sześć tygodni, jak Tadzio rozstał się z Heniem. Widział go przez ten czas kilka razy, ale zawsze przelotnie, zdaleka, bo Henio wychodził tylko z babką lub z Francuzką, która widocznie miała surowo przykazane strzec chłopca od zetknięcia się z Tadziem, na jego widok bowiem brała pupila pod rękę i przechodziła na drugą stronę ulicy. Tadzio wiedział, że wystarczyłoby mu przystanąć i zawołać po imieniu na przyjaciela, aby Henio, przywykły do poddawania się jego wpływom, zatrzymał się na pogawędkę lub poszedł z nim w jedną stronę, ale nie chciał narażać go na nieprzyjemności w domu, uśmiechał się więc tylko do niego, kłaniał uprzejmie i przeprowadzał go serdecznym, kochającym wzrokiem.

Mieszkał obecnie w jednym pokoju z mamą i panną Anielą. Mama miała jakąś dobrze płatną posługę, a potem gotowała obiad i reperowała odzież swoją, syna i współlokatorki. P. Aniela znaczną część dnia była poza domem, wieczorem dawała mu godzinę lekcji i pomagała w odrabianiu zadań do nauczyciela, tego samego, który uczył chłopców w domu p. Tarnera, a który teraz uznając różnicę położenia, a bardzo lubiąc Tadzia, nadal lekcji udzielał za minimalną opłatą.

Tadzio, jak zawsze, silniej wyczuwał dodatnie wrażenia niż ujemne, prędko przeto odwykł od wyszukanej strawy, deserów i przysmaków. Płatną ślizgawkę w Dolinie Szwajcarskiej zastąpiło ślizganie się na rozlewisku jakiegoś ścieku w pobliżu Wisły, koncerta miał, gdy spacerował pod oknami kawiarni z kapelą, kinematograf przy obserwowaniu różnych zajść ulicznych. Nie mógł tylko przyzwyczaić się do rozłąki z Heniem i do uczucia tęsknoty, jakie budziła w nim każda myśl o przyjacielu. Aż jednego wieczoru tęsknota tak mu dokuczyła, że postanowił pójść pod okno Henia, popatrzeć do wnętrza domu.

— Mamusiu — rzekł — pójdę się przejść!

— O tej godzinie!… Co ci w głowie!

— Mam straszną ochotę pójść popatrzeć na Henia — rzekł przywykły do szczerości Tadzio.

— Jeszcze czego!… Będziesz właził na oczy radczyni!

— O nie, mamo, oni mnie widzieć nie będą, ale ja ich zobaczę.

— Zaziębisz się, wystając na mrozie!

— Nie, mamusiu, jak mi będzie chłodno, zaraz powrócę.

— Pamiętaj, żebyś jakiego głupstwa nie zmalował.

Tadzio pobiegł w Aleje Ujazdowskie. Upatrzywszy chwilę, w której nikt nie przechodził, wspiął się po kratach, otaczających ogródek i dostał się na kasztan rosnący na froncie. Tu, osłonięty konarami, mógł dowoli patrzeć w oświetlone elektrycznością wnętrze domu i puścić wodze wspomnieniom z tych dobrych trzech miesięcy, które spędził tu jako rekonwalescent po zapaleniu płuc, zadzierzgując, jak sądził, węzeł dozgonnej przyjaźni z Henrykiem.

To też wracał do swego obserwatorjum coraz częściej. Przyglądając się tak zdaleka warunkom, w jakich żył jego mały przyjaciel, doszedł do przekonania, że jest on znowu nieszczęśliwym przez nudę i osamotnienie. Babka zachowywała się chłodno i sztywno, widocznie nie mogąc zapomnieć wnukowi wyraźnej predylekcji dla ojca, Tadzia i dwóch kobiet, które opiekowały się nim »na Krakowskiem Przedmieściu«. Dziadek bywał gościem w domu, a stosunek jego do wnuka ograniczał się wyściskaniem go dwa razy na dzień i przyniesieniem jakiego podarku mniej więcej dwa razy na tydzień. Francuzka była niesympatyczna, wciąż naganiała Henia do nauki, a ziewała przy lekcjach, aż patrzący na nią zdaleka Tadzio, zarażał się i darł usta od ucha do ucha.

Henio znowu bladł, smutniał i apatyczniał.

Ileż razy Tadzio, patrząc na niego, miał ochotę zakomenderować jaką zabawę lub zabawić go którem z cacek! Ale Henio nigdy nie był sam. A choćby się i to zdarzyło, Tadzio z pewnością nie wyzyskałby okazji, zapanowałby nad pokusą pogadania z nim choć przez szybę, żeby nie odjęto mu możności obserwowania przyjaciela choć zdaleka.

Okazja doświadczenia siły woli w tym kierunku nadarzyła się niebawem.

Pewnej niedzieli przed godziną ósmą zajął Tadzio miejsce na kasztanie. Zauważył prędko, że w domu ruch był nadzwyczajny, widocznie państwo wybierali się na jakąś zabawę, stroili się bowiem »od wielkiego dzwonu«. Ubawił się Tadzio niemało przy tej sposobności,

obserwując, jak pokojówka z mozołem ściągała gorset na pani radczyni, a fryzjerka układała perukę na jej siwe, liche włosy, jak potem radczyni, pozostawszy sama, malowała sobie policzki, usta, brwi i rzęsy.

Henio przez cały ten czas chodził po domu bezczynny, to przez chwilę przeglądając jakąś książkę, to rozmawiając z lokajem, to ustawiając piramidę z całej masy klocków, by ją zburzyć jednym zamachem po wyłożeniu ostatniego. Podobnie jak on włóczyła nudę po domu M-lle Valentine, ziewając i przeglądając się coraz to w innem lustrze. Zaledwo jednak państwo radcostwo odjechali, ożywiła się i w podskokach odbiegła na drugą stronę domu, przykazawszy coś przedtem z bardzo stanowczym gestem Heniowi, który snać wypraszał się i molestował. Po kilku minutach wróciła w okryciu i czapeczce, a nakładając rękawiczki, znowu coś bardzo surowo przekładała Heniowi, który z nieszczęśliwą miną zaczął się rozbierać i położył się do łóżka. Tadzio widząc to, chciał zawołać, do niego:

— Czemu się kładziesz? wszak to dopiero pół do ósmej! I czemuś nie zmówił pacierza?

Ale domyślał się, że Francuzka chce wyjść na miasto i będzie spokojniejsza, wiedząc, że Henia zostawiła w łóżku, westchnął więc tylko nad nim i już miał schodzić z drzewa, bo i Mademoiselle zgasiła światło odchodząc, ale powstrzymał go szmer otwierających się bocznych drzwi pałacyku. To kucharz i pokojówka wychodzili, rozmawiając głośno i wesoło.

Henio pozostał sam w domu.

Tadzio miał wielką pokusę zapukać w okno i prosić przyjaciela o wpuszczenie go na dłuższą pogawędkę, ale bał się przestraszyć Henia, narazić go na zaziębienie przy otwieraniu okna lub na nowe nieprzyjemności, w razie gdyby jakiś złośliwy wypadek przywiódł wcześniej radcostwo, Francuzkę lub kogo ze służby. Zbierał się przeto znowu do odejścia, upatrując chwili, w której nikogo nie będzie na ulicy, gdy nagle okno pokoju Henia zabłysło znów światłem. To chłopczyk zaświecił elektryczność, wstał i poszedł do przyległego gabinetu pana radcy, tu także zapalił światło, wziął z biurka zapałki i papierośnicę, wrócił do łóżka, zgasił elektryczność, a zapalił papierosa. Tadzio miał ochotę wykrzyknąć:

— Ty dudku, zgaś to świństwo, zemdli cię, tak jak nas zeszłego roku zemdliło.

Ale nie krzyknął, a mała świetlana gwiazdka w głębi ciemnego pokoju wskazywała, że Henio nie przestawał palić.

— Biedny głuptak! — pomyślał Tadzio — jak go zemdli, nie będzie mu miał kto choćby głowy podtrzymać.

I nie śledząc już dłużej mieszkania radców, zsunął się z drzewa i zeskoczył na ziemię. Nie przeszedł jednak zaraz poza okratowanie ogrodu, na chodniku bowiem, tuż przed nim, zatrzymało się jakieś towarzystwo, długo radząc nad tem, czy wrócić do domu, czy też pójść spędzić resztę wieczora w kawiarni. Że zaś jednocześnie przejechało kilka zaprzęgów, przemknęło Pogotowie i przeszły dwie pary, dziwacznie przybrane, widocznie podążające na zabawę kostjumową, zatrzymał się Tadzio przy kracie ogrodu z dobrych dziesięć minut. Nagle ogarnęło go dziwne uczucie niepokoju i obawy, które bez jakiegokolwiek rozumowania kazało mu się odwrócić ku oknom pokoju Henia. Spojrzał i zdziwił się; okno oświetlone było znowu, ale szczególnem światłem, które nie wyglądało na elektryczne i jakoś dziwnie migotało po ścianie pokoju. Zaniepokojony skoczył na gzyms nad oknem sutereny i spojrzał w szybę. Światło miało źródło w palącej się na łóżku kołdrze, podczas gdy Henio spał spokojnie z rękoma odrzuconemi nad głową. Tadzio krzyknął w stronę ulicy: — Pali się! i jednocześnie silnem uderzeniem pięści wybił jedną po drugiej szyby podwójnego okna.

Na brzęk szkła obudził się Henio, a na widok płomienia tuż przy twarzy, porwał się z przeraźliwym krzykiem i wyskoczył z łóżka. Ale płomień poszedł za nim, wzmagając się przy gwałtowniejszych ruchach chłopca, który bezprzytomny rzucił się naoślep ku oszklonym drzwiom na ogród, zapalając płonącym rękawem cienkie muślinowe firanki. Ale Tadzio rozpiął tymczasem swe grube watowane palto i pochwycił w ramiona Henia, tłumiąc w ten sposób ogień, przyczem wyciągnął omdlewającego z przerażenia do drugiego pokoju, porwał buciki i ubranie z przed łóżka, a palto z wieszadła i skoczył do zemdlonego, wlokąc go resztkami sił aż do przedpokoju. Tu ubrał go pośpiesznie, podczas gdy do płonącego pokoju wtargnął już i stróż i kilku ludzi z ulicy, w popłochu wyrzucając meble do ogrodu.

Straż spełniała swe ratownicze dzieło, gdy na ganku pałacyku ukazał się Tadzio, prowadząc napół żywego z przerażenia Henia.

Wyszli na ulicę.

— Skąd ten pożar tak nagle? — pytał drżący Henio.

— A no waćpan zapalił sobie papierosika i usnął z nim. Od papierosika zapaliły się widocznie koronki przy podpięciu u kołdry, którą niebawem objęły płomienie wraz z rękawem u twej koszuli.

— A ja spałem?

— Spałeś jak suseł.

— Ja mam chyba poparzoną rękę; bardzo mnie boli.

— Zaraz się przekonamy w aptece. Widzisz, kawalerze, jakie to bywają skutki palenia papierosów.

— Ale bo ja się tak strasznie nudziłem… mademoiselle wyprawiła mnie do łóżka już o pół do ósmej.... Ale skąd ty się tam wziąłeś raptem, żeby mnie uratować?… Czyś ty mój anioł stróż?

— Ja cię stróżowałem nie przez jeden wieczór, siedząc na kasztanie!

— Dlaczego?

— Bo mi tęskno było za tobą.

— O, i ja tęskniłem!

Weszli do apteki, gdzie opatrzono mocno poparzone i wzdęte bąblami ramię Henia, który teraz dopiero zaczął płakać i wyrzekać na dotkliwy ból.

. . . . . .

Panna Aniela owinęła głowę włóczkową chustką i wychylona oknem rozmawiała ze stojącą pod oknem Stefą.

— Jemu musiało się coś stać… przecież już godzina dziesiąta, nigdy się tak nie zaawanturował.

— Pewno… godzinę posiedział poza domem, to najwyżej.

— O dziewiątej lubi już być w łóżku.

— Te pare razy, co go państwo Siemińscy wzięli do teatru, to zawsze się opowiedział.

— Pamiętasz, jak to raz przed samem przedstawieniem przybiegł Gucio z wiadomością, że jest miejsce w ich loży, to Tadzio, wolał stracić

I-szy akt, a nie poszedł pókiś nie wróciła.

— A tak, jeszcze go połajałam, że gapa, bo mógł zostawić kartkę na stole z objaśnieniem, dokąd poszedł.

— Boże, Boże, gdzie on jest....

— Ślisko tak; mógł złamać nogę!

— Boże miłosierny, tegoby brakowało!… Wzięliby go z ulicy do szpitala i wolnoby nam było tylko dwa razy na tydzień go odwiedzić.

— Smutno jak go godzinę niema w domu, a co robić przez tyle miesięcy!

— Czy go aby policjant nie złapał, jak się wspinał po kratach i drzewie, myśląc, że złodziej.

— Ach, to byłoby najstraszniejsze! Chłopczyna spędziłby noc w areszcie wśród złodziei, włóczęgów, brudu i robactwa!

— Cicho, niech pani będzie cicho!…

— Bo co?… wyszeptała panna Aniela.

— Zdaje mi się, że słyszę tupotanie Tadka.

Ucho matki nie zawiodło, z bocznej ulicy biegł zdyszany Tadzio. Stefa rzuciła się ku niemu i na powitanie wymierzyła mu potężnego kułaka w ucho. Ale chłopiec nie ustraszył się gniewnej miny matki, zarzucił jej ręce na szyję i całując po twarzy i oczach, wołał bez tchu:

— Mało mi się Heniuś nie spalił! Ma poparzoną ręką, ot takie bąble, zemdlał mi w aptece.

— Co ty mówisz, chłopaku!… gdzieś był z Heńkiem?

— Bo Heniuś z nudów zapalił papierosa w łóżku i usnął z nim, a od papierosa zapaliły się firanki u kołdry, a potem koronki u okna, rękaw u koszuli i serwetka na stoliku!

— Co ty opowiadasz!

— Nie stójcie tam daleko! — wołała panna Aniela z okna. — Chodźcie do pokoju! Chcę słyszeć, co Tadzio mówi… a i zimno!… w głowie mi strzyka!…

Zamknęła okno, natomiast otworzyła drzwi od korytarza, na którym niebawem rozległy się szybkie kroki dwóch osób. Tadzio wszedłszy, zrzucił z siebie palto i czapkę i bez ceremonji wpakował się na kolana matki, opowiadając z wszystkiemi szczegółami przebieg pożaru w pałacyku radców.

— A gdzież teraz Henio?

— No, przecie zatelefonowano do państwa o nieszczęściu, nie wiem od kogo dowiedzieli się, że Henio jest w aptece, przybiegli tam oboje. Pani radczyni narobiła lamentu jak żydówka na kirkucie, krzyczała, płakała.... Ale wie mamusia, radczyni płacze na czarno!

— Co to znaczy?

— Jak Heńka kocham, spływała jej czarna łza po policzku, a dolne powieki były zupełnie na czarno zapłakane.

— Ach, ty łobuzie!

— Jużby też ta stara mogła przestać się malować!

— Nie chce pogodzić się z tem, że ś. p. uroda poszła już na psy!

— Radca sam mi mówił kiedyś, że mu wstyd za żonę.

— Czy oni wiedzą, żeś ty Heńka uratował?

— Kiedy ja go nie uratowałem.

— No, przecie ty wyniosłeś go z ognia.

— Nie, on sam wyskoczył z łóżka i umykał do drugiego pokoju, aż się za nim kurzyło.

— Przecież mówiłeś, że zemdlał.

— To swoją drogą… ale dopiero w gabinecie, a i to nieść go nie potrzebowałem, bobym nawet nie poradził, tylko wziąłem go pod pachy i tak sankował froterką na własnej poduszce.

— Nie powinni to państwo choć ze sto rubli dać mu za to? — zwróciła się matka do panny Anieli.

— O, moja Stefo, takie przywiązanie, które w zimowe wieczory trzyma chłopca godzinami na dworze dla obcowania choć zdaleka z przyjacielem, przywiązanie, które przezwycięża strach zbliżenia się do ognia, daje przytomność i siły do ratowania zagrożonego, nie płaci się pieniędzmi. Zato powinni radcostwo, tak jak nieboszczyk p. Tarner, wziąć Tadzia do siebie i chować narówni z Heniem.

— Mieliby mnie wziąć od mamusi i Tiutiołki, niech Bóg broni!

Skąd poszła nazwa »Tiutiołka« stosowana przez Tadzia do panny Anieli prawie od początku znajomości, wiedzieli tylko ci, co w pierwszych chwilach pobytu malca w pałacyku słyszeli go co wieczór, jak dopraszał się, aby go »panna Aniołka« przyszła otulić w łóżeczku i ucałować na dobranoc, wołając: »Tiutiu«, »Aniołka«. Skracało się to

powiedzenie, spieszczało, aż przeszło w przezwisko »Tiutiołki«.

Tadzio z kolan matki przesiadł się na kolana panny Anieli, co zaraz wywołało krytykę Stefy.

— Taki stary chłop ciągle na kolanach! zejdźże, nie męcz cioci.

— Jak u ciebie siedzi na kolanach, to dobrze, a jak przyjdzie ze mną trochę się popieścić, to go zaraz ganisz!

— Czemu Tiutiołka tak paskudnie powiedziała? To mi Tiutiołka życzy, żeby mnie radcostwo wzięli?

— Przecież byłoby ci tam lepiej, mialbyś dostatek, przyjemności, Henia!

— To jednoby mi się uśmiechało, bo tak zresztą lepiej mi tu, niż w pałacu ze starą indyczką.

— Nie mów tak, Tadziu, to brzydko. Ty od pani radczyni dużo dobrego doznałeś, przecież do pięciu lat jednego ubranka, jednej koszulki ci nie kupiłam!

— A potem dużo mi mamusia kupowała?

— Potem ubierał cię pan dyrektor w nowe. Panie, świeć nad jego duszą.

— A teraz?

— Teraz dodzierasz tego, co on sprawiał.

— A potem, jak podrę?

Stefa westchnęła.

— Będzie źle, teraz bielizna taka droga.

— Znajdzie się na to.

— A tak! pani mówi: znajdzie się pewno. Ja wiem, czemu wszystkie nocne koszule pani poszły na dno szafy i hafciki od nich się odpruły.

Panna Aniela zarumieniła się jak pensjonarka, złapana na gorącym uczynku.

— Albo to nie mam kaftaników nocnych? Właściwie niepotrzebnie sprawiałam sobie te koszule i to z takiego doskonałego płótna; cała rzecz, że będąc u dyrektora nie wiedziałam, co robić z pieniędzmi. Głupia byłam!.. trzeba było więcej odłożyć na książeczkę.

— Niech Tiutiołka da mi teraz jedną swoją koszulę, będę robił ducha.

— Idź ty robić ducha pod kołdrą!

— Tiu, tiu, Aniołku!

— Stary pieszczoch!

— Kiedy mi się jeść chce!

— Zmiłuj się, chłopcze, czy to pora teraz o jedzeniu myśleć? — zawołała matka już wstając i kierując się do komina. Ale żeś zmarzł, to zapalę parę drewienek i zrobię ci herbaty.

— W szafie jest serdelek, zjedz go sobie, Tadziu.

— Przecież ten serdelek to dla Tiutiołki na drugie śniadanie w kantorze.

— Ale nie!… obrzydły mi serdelki!

— To poco Tiutiołka kupuje?

— Ot tak z przyzwyczajenia… No, mój Tadziu, nie rób ceremonii, a jedz; taki chłopiec jak ty, rosnący, powinien się dobrze odżywiać.

— O, ma pani rację!…

— Połóż się do łóżka, tam dostaniesz kolację. Pewnie masz zmarznięte nogi?

— Jak kość.

— Masz, włóż moje wełniane pończochy.

— Jedna wystarczy, włożę w nią obie nogi i jeszcze będzie za duży worek.

— Ty łobuzie!… No dalej pod kołdrę!

— Przypomną mi się dobre czasy, gdym był po zapaleniu płuc.

— Oj, teraz nie takie, nie ma się pod ręką tego wszystkiego, co wtedy w pałacu.

— Dla mnie zawsze dobrze!… Ot tak, teraz niech mamusia siądzie na łóżku i trzyma mi herbatę, a Tiutiołka na krzesełku, tu przy samej poduszce, niech pokraje chlebek i serdelek na kawałki i podaje mi do ust po kęsku.

— Ah, ty rozpieszczony bahorze, jak to każe dogadzać sobie!

— Czysty padyszach!

— A jak zjem kolację, to mamusia otuli mnie do ściany, a Tiutiołka od ulicy, mamusia mnie weźmie za prawą rękę, ciotunia za lewą i nie puszczą aż gdy usnę, ale przedtem buzi na oba boki!

VI.

Nazajutrz po szkole pobiegł Tadzio w Aleje Ujazdowskie, sprawdzić zniszczenie uczynione przez pożar, który wydawał mu się strasznym snem. Niestety, spalone doszczętnie wnętrza dwóch pokoi, poopalane futryny drzwi i obicia znacznej części parteru, oraz osmolone pierwsze piętro stwierdzały smutną rzeczywistość. Gromadka ludzi stała, gapiąc się na to, a kilku uliczników rozgrzebywało popalone śmiecie, pozostałe po wyrzuconych oknami palących się meblach.

Właśnie nadszedł stróż, wypędzając z wielkim krzykiem nieproszonych gości poza bramę, złamaną wczoraj przez wpadającą straż.

— Panie Franciszku, — zapytał Tadzio — gdzie Henio?

— Państwo z Heniem w hotelu… w Bristolu.

— Henia bardzo boli ręka?

— Nie wiem.

— Tutaj duża strata?

— Nie za duża na takich burżujów, co na złocie siedzą!

Stanął przed bramą i zaczął rozmowę ze ślusarzem, który przyszedł ją naprawiać.

Tadzio wrócił do domu i przez tydzień po kilka razy dziennie biegał w stronę Brystolu, w nadziei spotkania Henia, zawsze nieziszczonej.

Pewnego dnia, powróciwszy ze szkoły, został powitany przez bardzo rozpromienioną matkę.

— Szczęście cię spotkało, Tadzik.... Był tu jakiś pan od radcostwa i przyniósł ci książeczkę na tysiąc rubli.

— To chyba w złotej okładce, kiedy tyle kosztuje! Czy z obr…

— Et głupi jesteś! ta książeczka ot taka…

— To kajecik rachunkowy!

— Właśnie, zapisane w niej jest tylko, że państwo złożyli dla ciebie w banku tysiąc rubli.

— To niech mi mamusia rower kupi!

— Nie zawracałbyś głowy. Zaraz będę wydawać pieniądze na głupstwa! To schowa się dla ciebie na czarną godzinę.

— Ja nie będę miał czarnej godziny, wszystkie różowe, bo nieboszczyk pan dyrektor mówił, że ja przez różowe okulary na świat patrzę.

— Ciocia Aniołka przyszedłszy na obiad, oburzyła się, że te pieniądze przyjęłam; mówiła, że takich uczynków nie wynagradza się pieniędzmi,

ze powinni państwo łożyć na twoje wychowanie, co rok tyle przeznaczyć, a nie zbyć się jednym razem. A ja mówię: lepszy wróbel w ręku, niż gołąb na dachu. Wiadomo, ciotka poczciwości, ale wariatka!

— O, niech mamusia tak nie mówi na moją Tiutiołkę!

— Pewno, że państwo gładko wywinęli się ze sprawy, a teraz wyjadą i umyją ręce od wszystkiego.

— Wyjadą?

— Tak, jutro wyjeżdżają.

— Na długo?

— Na zawsze.

— Na zawsze?… Jakto na… zawsze?

— No, cóżeś taki niepojęty? To znaczy, że już tu więcej nie wrócą. Dom w Alejach sprzedali… Pani radczyni dawno już wzdychała do mieszkania zagranicą.

— I Henia zabiorą?

— Przecie, że go nie zostawią w hotelu!

Tadzio pobladł jak ściana.

— To ja może już Henia więcej nie zobaczę!

— A no, góra z górą się nie zejdzie a człowiek z człowiekiem!… Dokąd ty lecisz, Tadzik?

— Ja zaraz wrócę.

— Pewnie znowu pójdziesz pod hotel upatrywać Henia.

— No przecie tak, bez pożegnania…

Miał oczy pełne łez.

— Zjedz choć wprzód obiad.

— Nie chce mi się jeść.

— No, mama bardzo prosi; rozgrzej się choć kartoflanką.

Łyknął kilka łyżek zupy, uściskał matkę, pobiegł na Krakowskie Przedmieście. Aż do zmroku chodził przed hotelem w nadziei zobaczenia choć kogo ze służby, aby dowiedzieć się, kiedy i dokąd wyjeżdża Henio, ale pokojówka, która wyszła z bramy, siadła do dorożki zanim zdołał przebiec z drugiego końca chodnika, a stróż Franciszek zagadnięty odparł:

— Na ulicę Zarwańską, szosą Awanturską!

Po zjedzeniu podwieczorku wrócił znowu i tym razem zobaczył nawet

Henia, jak wyszedł z babką i siadł do powozu. Przesunął się tak blisko niego, że wystarczało mu wyciągnąć rękę, aby go zatrzymać, ale ogarnęła Tadzia jakaś nagła nieśmiałość i powiódł tylko oczyma za oddalającym się przyjacielem, którego duże oczy patrzały bardzo smutno z pod bobrowej czapeczki.

Pewno pojechał Heniuś na cały wieczór do tej cioci hrabiny — pomyślał Tadzio — bo coby robili w hotelu, a jutro rano na kolej i w świat… na zawsze!

Wracał do domu smutny, ale z silnem postanowieniem udania się do hotelu nazajutrz o 8-ej rano i tym razem wprost do mieszkania radcostwa… przecie nie odmówią mu pozwolenia pożegnania przyjaciela!

— Wypada mi nawet podziękować im za pieniądze… Oby tylko nie wyjechali przed ósmą!

Ale, pocieszając się świadomością o zamiłowaniu do długiego spania radczyni, usnął spokojnie pełen nadziei ujrzenia nazajutrz Henia.

Było kwadrans do ósmej, gdy obudziło go kołatanie do drzwi. Narazie myślał, że matka otworzy, ale że w pokoju nie słyszał żadnego szmeru, natomiast kołatanie powtórzyło się, otworzył oczy, a przekonawszy się, że w mieszkaniu niema nikogo, rzucił w stronę drzwi:

— Kto tam?

— Czy tu mieszka Stefanja Czereśnicka?

— Heniuś! — krzyknął Tadzio i już był przy drzwiach.

Otworzył je szeroko. Za drzwiami stał rzeczywiście Henio. Był sam. Z krzykiem radości pochwycił go Tadzio w ramiona.

— Mój Heniusiu! mój Heniusiu! a ja się wybierałem już do ciebie.

— Ja dziś odjeżdżam, przyszedłem pożegnać się z tobą; wymknąłem się.

— Jak to dobrze! Siadaj pogadamy.

— Ja tylko na chwilkę… Wymknąłem się.

— Głowy nie zdejmą ci z karku, choć przyjdziesz za godzinę lub dwie…

— Zastanów się, Tadziku, że nikt nie wie, że ja tu przyszedłem; całą noc się budziłem, tak bałem się zaspać, a szło mi o to, żeby wyjść na czas, gdy mademoiselle będzie w kościele. Mam nową mademoiselle… ma ze

sto lat, wąsy i brodę, ale rzadkie… i okropnie pobożną… Codzień o wpół do ósmej idzie do kościoła i nie wraca jak na dziewiątą… Powiadam ci, tak trząsłem się ze strachu, wychodząc z numeru, żeby mnie nie zatrzymali… Przyjechałem tu dorożką… na gumach!

— Czego właściwie ty się tak boisz, przecież dziadkowie cię kochają, nigdy cię nie karzą.

— Tak, ale ja się boję… czy ja wiem czego!… Zdenerwowany jestem, zwłaszcza od tego pożaru, a potem babcia to tak gdera, tak fuka, tak się użala na moją niewdzięczność, że wolałbym doprawdy, żeby mnie raz wybiła, byle potem był spokój!

— Pewnie, mnie mamusia nieraz trzepnie albo za ucho weźmie, a potem zaraz da się przeprosić, uściska, ucałuje i kropka.

— Tak lepiej.

— No, siadaj, Henulku, jesteś bez śniadania, ale garnuszek z kawą czeka na mnie pod blachą, jest tam dosyć dla nas obu.

— Dziękuję ci, Tadzinku, ja przyszedłem tylko na chwilkę… Wymknąłem się.

Widocznie, że świadomość ta sprawiała mu przyjemność.

— Mówiłeś mi to już, ale do dziewiątej mamy całą godzinę. Napij się, rozgrzej, minie cię trzęsionka.

Nalał dwie filiżanki kawy, postawił bułki; zabrali się do śniadania z apetytem.

— Wyborna kawa, — odezwał się Henio. — Mnie nie dają kawy pić; mówią, żem za nerwowy.

— Mnie tam nic nie szkodzi, tylko głód.

— Ty bywasz głodny?

— Teraz już nie, odkąd Tiutiołka ma posadę, ale było parę takich dni, żeśmy cienko śpiewali! Et to szopki!… Zresztą teraz jesteśmy bogaci… Twoi dziadkowie złożyli dla mnie 1000 rubli, a mamusia ma na książeczce 400 i Tiutiołka także już drugi rok odkłada i to wszystko dla mnie.

Henio od poruszenia kwestji pieniężnej posmutniał.

— Jak wszyscy zaczęli zachwycać się twojem bohaterstwem — rozpoczął.

— Jakie ty głupstwa gadasz!

— Tak, twojem bohaterstwem…

— Zupełny fijoł!

— …byłem przekonany, że babunia wyzbędzie się wreszcie swoich uprzedzeń i żalu de twojej mamy i wezwie ciebie, żebyś chował się ze mną, spełniając tem życzenie tatusia, ale babcia ani słyszeć nie chce, choć nawet dziadzio był za tem, żeby cię wziąć na wychowanie.

— A przecież wy wyjeżdżacie zagranicę.

— No, tak…

— To jakże ja miałem chować się z tobą?

— Wyjechałbyś z nami.

— Zawracanie głowy, jabym nie odjechał od mamusi i Tiutiołki!

— Przecież u nas byłoby ci lepiej.

— Od przodu, czy od tyłu? Bo ja znajduję, że z żadnej strony.

— Wszak ty tu mieszkasz w jednym pokoju?

— Ale mi w nim niczego nie brakuje. Mam łóżko z siennikiem, a nie wióry, jak nieboszczyk, poduszkę z wyszywkami, nie takiemi cienkiemi jak twoje, ale które zato nie zajmą się tak łatwo ogniem, jak przyjdzie mi fantazja zapalić papierosa kiedy na dobranoc. Mam stół do roboty na wieku kufra, szafę na hakach u drzwi, komodę w walizce pod łóżkiem, tyle obrazków i fotografij na ścianie. A przedewszystkiem mam moją mamusię i Tiutiołkę kochaną. O, nie jechałbym ja z tobą za żadne pieniądze... A dokąd wy jedziecie?

— Teraz na południe, bo jestem bardzo zdenerwowany, muszę się leczyć. Potem osiądziemy w Paryżu, gdzie będę chodził do kolegjum, do którego uczęszczają różni markizowie, hrabicze i synowie ministrów, ale tylko z konserwatywnego obozu.

— Pi! pi… Żeby cię tylko w słoik nie wsadzili i nie zakonserwowali! Będziesz do mnie pisywał?

— Będę, Tadziku, będę ci przysyłał piękne pocztówki z zagranicy!… Babcia mi już pozwoliła.

— Pamiętaj, pisuj codzień.

— Postaram się… Tadzik, ja ci przyniosłem pamiątkę. Patrz, to pudełeczko które tak lubiłeś.

— Mozaikowe w niezapominajki… Cudne jest!

Podzieliłem się z tobą pamiątkami: patrz, tu pukiel włosów tatusia, tu

listek z wieńca z jego trumny, tu kawałek tiulu z welonu ślubnego mojej mamy, gałązka z grobu Staszica, trzy nitki wyskubane ze wstęgi z grobu Kościuszki… sobie zostawiłem dwie, bo było nie do pary… A to mój pierwszy ząb, który straciłem… Ty masz także swój pierwszy schowany?

— Mam…

— To dasz mi go wzamian na pamiątkę.

— Naturalnie.

Wyciągnął z pod łóżka walizkę i długo szukał, otwierając różne apteczne pudełeczka; wreszcie znalazł.

— Masz, Heniusiu, weź i ten medalik z Matką Boską, z obu stron ma szkło, to babcia pozwoli ci nosić, bo nie zczernieje.

Henio przycisnął medalik do ust.

— Nie zapomnisz mnie? — zapytał Tadzio po chwili milczenia, przez którą opanowywał chwytające go za gardło wzruszenie.

— Nigdy! nigdy! będę cię zawsze kochał jak brata!

— Pamiętaj!… Dobry jesteś, żeś przyszedł.

Nagle schwycił ich żal, padli sobie w ramiona, płacząc serdecznie.

— A pisuj często!

— Zapewniam cię, że przynajmniej raz na tydzień będziesz miał ode mnie list lub kartę.

* *
*

Rzeczywiście w pierwszym roku pisywał Henio z początku kilka razy tygodniowo, potem co tydzień… co dziesięć dni; w drugim roku wymieniali karty co kilka tygodni; w trzecim nie otrzymał Tadzio odpowiedzi na swój obszerny list i po kilkumiesięcznej ciszy zdawkową kartę na Wielkanoc; w czwartym przyszły karty na święta i imieniny, w piątym już tylko z okazji Bożego Narodzenia dostał piękne album z kolekcją marek pocztowych; w szóstym polecony list Tadzia został zwrócony z Paryża z notatką: adresat nieodnaleziony.

Tadzio spoglądał często na fotografję czternastoletniego Henia, ostatnią, jaką otrzymał z zagranicy i myślał ze smutkiem:

— A jednak, zapomniałeś mnie, przyjacielu!…

VII.

Przy źródle Franciszka Józefa w Trenczynie zgromadziło się sporo ludzi. Eleganckie panie obok pejsatych Żydów galicyjskich, starzy panowie starannie ogoleni, obok grubych mieszczan w negliżowych ubraniach cisnęli się ze swemi kubkami ku balustradzie, obitej mosiądzem, poza którą fertyczne dziewczęta w węgierskich strojach napełniały je i podawały kuracjuszom.

— Proszę o moją szklankę nr. 46 — zawołał, wyciągając rękę ponad głowami pochylonych ku źródłu dwóch mieszczan, młody, wysmukły chłopiec. — Dziękuję, — dodał, odbierając z rąk dziewczyny szklankę znaczoną kreskami i numerami, pełną musującego płynu. Zwrócił się z nią ku ławce, na której siedziała niemłoda kobieta o zwiędłej, schorowanej twarzy.

— Masz, ciociu, niech ci będzie na zdrowie!

— Dziękuję ci, Tadziku, błogosławiona, błogosławiona to woda, czy wiesz, że ja już czuję ulgę, choć dopiero sześć dni jak ją piję?

— Rozumie się, musi ciocia być zdrowa, żeby się napić szampana z racji mego doktoratu.

— To jeszcze trzy lata! — westchnęła panna Aniela.

— Nie znaczy to, żeby ciocia miała obowiązek cierpieć jeszcze trzy lata, ale do upicia się trzeba być bardzo pewną na nogach.

— Już ja tam wolę i przy tej uroczystości ograniczyć się szklanką mleka. Tem więcej, że skądbyś wziął wtedy na szampan! Jak jeszcze z rok pokwękam, jak jeszcze raz będę musiała być w Trenczynie, to wydobędziesz ostatnie pieniądze z banku.

— Ale zarobię nowe.

— Aż tyle, żeby odłożyć?

— Poco mamy się kłopotać tem, co będzie za trzy lata. Lepiej niech ciocia schowa szklankę do torebki, wesprze się na mojem ramieniu i przejdziemy się do altanki, w której siedzieliśmy wczoraj o zachodzie słońca.

— Skąd taki śliczny widok na ruiny zamku?

— Tak…

— A dobrze. Tylko, że to ciebie męczy prowadzić mnie tak daleko,

wiszę ci u ramienia, jak worek obroku.

— Prawda, że ciocia niewiele cięższa od worka obroku!

Wsparta na jego ramieniu i lasce, z trudem wlokła panna Aniela zartretyzmowane nogi aż ku altance na wzgórzu, skąd pyszny roztaczał się widok na winnicę, rzekę i górę zamkową. Ławeczka nie była zajęta, Tadzio położył na niej szal panny Anieli, złożony w kilkoro, na którym zasiadła chora i wydobyła robótkę z woreczka, zrobionego z perkalowej chustki, w którym znajdowały się przeróżne przedmioty, mające na celu rozpędzenie nudy, gdy na cały dzień wychodziła »na wody«.

Tadzio wyjął książkę z kieszeni i zagłębił się w czytaniu.

Dwie godziny siedzieli tak w milczeniu, gdy panna Aniela, podnosząca oczy z nad roboty na każdą przechodzącą osobę, zawołała głosem nacechowanym silnem wzruszeniem:

— Widzisz?

Ręką wskazała jadącą wózkiem, popychanym przez służącego, starą damę w białym, flanelowym kostjumie.

— Kto to?

— Nie poznajesz?

— Nie.

— Radczyni Narzymska.

— Ta staruszka?… Cóż znowu!

— Zapewniam cię!

— Ależ, ciociu, ona zupełnie niepodobna do pięknej pani radczyni.

— Bo ty widywałeś ją zawsze strojną i upiększoną, ale mnie zdarzyło się kilkakrotnie ujrzeć ją bez szminek i sztuki, powiadam ci, że to…

W tej chwili wózek przesunął się zaledwie o dwa kroki od rozmawiających, a siedząca w nim kobieta, jakby pociągnięta magnetyczną siłą, zwróciła ku nim głowę i spojrzała w ich twarze. Była straszna; rysy jej pozostały wprawdzie regularne, choć mocno zaostrzone, nie było też przerażającem mnóstwo fałd i zmarszczek wkoło ust i oczu, ale straszny był wyraz twarzy tępej, ogłupiałej i spojrzenie zidjociałe, a jakby stale wystraszone.

— Tak, to ona — szepnął Tadzio — teraz ją poznaję.

— Jakżeż zmieniona!

— Powinieneś się był ukłonić.

— Zdaje się, że ona wcale nas nie poznała…

— Nawet z pewnością.

— Ona już chyba nie poznaje nikogo.

Nazajutrz upewnili się co do tego. Spotkawszy bowiem wózek na promenadzie, ukłonili się oboje z szacunkiem, ale radczyni nie reagowała na ten ukłon, znowu tak jak wczoraj popatrzała na nich tępym, wystraszonym wzrokiem, który, niezmieniony w wyrazie, przeniósł się na śliczną panienkę, przechodzącą obok, a potem na robotnika, niosącego pakę.

— Pójdę za nią! — rzekł Tadzio — dowiem się, gdzie mieszka, może jest z nią Henio.

— Ciągle wracasz do tego samego, a przecież jest prosty sposób przekonania się o tem: przejrzyj listę gości.

— Ma ciocia rację.

W kwadrans potem zagłębiał się w drukowane ćwiartki, pokryte nazwiskami i adresami.

— Celina Narzymska, wdowa po radcy stanu z Gawlina z pokojową i służącym — przeczytał.

— Więc już wdowa i tylko ze służbą.

— Ale może Henio przyjechał wcześniej albo później…

Przejrzano skrupulatnie listę po kilka razy, bez skutku.

— Muszę wdać się kiedy w rozmowę ze służącym — rzekł Tadzio.

— Trzeba, koniecznie.

Zanim jednak zdarzyła się po temu okazja, pannie Anieli udało się zawrzeć znajomość z pokojową.

Było to w westybulu łazienek, panna Aniela czekała na swą kolej, siedząc na ławeczce, gdy służący wtoczył wózek radczyni, przy którym postępowała kobieta lat czterdziestu, o typie eleganckiej subretki. Zdjęła ze swej pani pelerynę, zrzuciła szal z nóg i usiadła obok panny Anieli.

— Pani Narzymska jest sparaliżowana? — zagadnęła panna Aniela pokojową.

Tak jest.

— Czy zupełnie bezwładna?

— Nie chodzi, schnięcie mlecza pacierzowego: jest prawie bezprzytomna.

— Oddawna?

— Ja jestem przy niej od trzech lat; przez ten czas stan jej nie zmienił się prawie wcale. Doktorzy mówią, że niedługo pociągnie — dodała jakby z uczuciem ulgi.

— A dawno jest wdową?

— Od dwóch lat.

— Czy wnuk jej, Henryk Tarner, jest przy niej?

— Od czasu do czasu. Pani radczyni mieszka na wsi, a on przeważnie w Paryżu.

— Studjuje?

— O studjuje!… Tak niby tam studjuje… Ale bo właściwie naco mu to?… Taki bogaty!… Przedewszystkiem bawi się.

— Czy szczęśliwy?

— Spodziewam się! Oh, to dziecko szczęścia! Czego mu brakuje? Ma ogromny majątek, młodość, urodę, wszyscy go podziwiają, kobiety za nim przepadają.

— Czy nie będzie w Trenczynie?

— Owszem, przywiezie nam pieniądze w końcu miesiąca i zabawi kilka dni przy babci.

— Czy pani radczyni cieszy się nim, gdy przyjedzie?

— Nie; jest na wszystko obojętna.

— Gdzie panie mieszkają?

— W hotelu Hungarja.

Panna Aniela w dniu tym skróciła sobie kąpiel prawie o połowę, nie dosznurowała bucików, nie zapięła bluzki pod żakietem i włożyła kapelusz na bakier, tak jej było pilno powiedzieć Tadziowi, że »Heniuś« miał przyjechać do Trenczyna w końcu miesiąca.

— W końcu miesiąca? — powtórzył Tadzio, — a kiedy ciocia kończy kąpiele?

— Dwudziestego wypadnie ostatnia.

— Oby przedtem przyjechał!

— Choćby przybył o kilka dni później, przecież i tak nas zastanie, toć nie wyjedziemy, nie doczekawszy się Heniusia, to byłoby szaleństwem. Niewiadomo, czy spotkalibyśmy się z nim gdzie jeszcze!… Zresztą tu tak ładnie i przyjemnie… Gdy raz odbyło się tak kosztowną podróż, lepiej

wyzyskać choćby to cudne powietrze.

— Bez kwestji, bez kwestji!

Tadzio bardzo pragnął spotkania się z przyjacielem lat dziecinnych, ale z drugiej strony ogarniał go niepokój wobec perspektywy przedłużenia pobytu. Na wyjazd tutaj wydobył z banku ostatnie trzysta rubli, o czem panna Aniela nie wiedziała. Pobyt w Trenczynie i kuracja okazały się droższemi niż przypuszczał, to też codzień liczył pieniądze przeraźliwie topniejące i włosy powstawały mu na głowie na myśl, co będzie, gdy ich zabraknie na powrót do Krakowa.

Przerażenie to doszło do zenitu, gdy po skończeniu kuracji doktór porachował pannie Anieli o sześćdziesiąt koron więcej niż obliczał Tadzio. Tych sześćdziesiąt koron zapłacił z ostatniej setki, jaką posiadał, pozostało mu czterdzieści na zapłacenie dwóch tygodni mieszkania, na podróż, na napiwki i życie aż do przyjazdu do Krakowa. A i przybywszy tam, skąd wziąć zaraz pieniędzy? tak, skąd wziąć zaraz pieniędzy?

Był czas, że matka jego szczyciła się trzema książeczkami kasowemi! na jednej były jej własne oszczędności, na drugiej oszczędności panny Anieli, na trzeciej syna. Przeszły one kolejno do jego rąk w ciągu dwóch lat i oto przed wyjazdem do Trenczyna zabrał ostatki, czyniąc z tego tajemnicę przed obu kobietami.

Ale bo przez ten czas widmo choroby i nieszczęść nie wychodziło z ich domu. Początek zrobiła Stefanja. Ta zdrowa, silna kobieta przez życie całe nie znająca nietylko doktora, ale nawet bólu głowy lub zębów, została nagle jak podcięta kosą przez ciężką chorobę wymagającą operacji i kosztownego leczenia, tem kosztowniejszego, że nie chciała słyszeć o szpitalu. Panna Aniela i Tadzio w przywiązaniu swem do Stefanji otoczyli ją takiemi wygodami, na jakie niezawsze stać nawet ludzi urodzonych i wychowanych w dobrobycie. Ona troszczyła się zawsze, że za wiele wydaje się na nią, ale opiekunowie jej wysilali się na różne pobożne kłamstwa, przedstawiając koszta minimalne, byle umniejszyć jej troski i uzyskać aprobatę na pożywne jadło i stare wina. Dzięki też tylko tej zbytkownej nieraz opiece, wyszła Stefanja z choroby, której zwalczenie należało niemal do cudownych wypadków. Do żadnej pracy jednak zabrać się już nie mogła, ograniczając się zajęciami domowemi.

W tym okresie czasu dostała się pod wpływ sąsiada, dymisjonowanego urzędnika, który namówił ją na pożyczenie sześciuset rubli, które dzięki jakiemuś obrotowi miał za rok powrócić jej zdwojone. Mimo perswazyj i zaklęć, aby nie czyniła tego, Stefania powierzyła swoją osobistą książeczkę oszczędnościową domniemanemu przedsiębiorcy, który w dwa dni potem zniknął z Warszawy bezpowrotnie.

Trzeciem nieszczęściem była choroba panny Anieli. Artretyzm trapiący ją od wielu lat doszedł do tak silnych rozmiarów, że groziło biednej kobiecie zupełne utracenie władzy w nogach. Znowu przeto kuracja, kąpiele, wyjazdy.

Tak więc szły suto pieniądze, oszczędzane przez całe życie i zdobywane przez p. Anielę i Tadzia usilną pracą w kantorze i lekcjami. I oto teraz, chodząc po pięknym parku Trenczyna, z ostatniemi dwiema dwudziestokoronówkami w kieszeni, łamał sobie biedny młodzieniec głowę, czy lepiej zastawić zegarek, czy też sprzedać jesienne palto, dla uzyskania kilkudziesięciu koron. Najboleśniejszem było mu to, że przyjdzie konieczność odkrycia smutnej prawdy p. Anieli, by odmówić jej i sobie prawa doczekania się Henia, ograniczając się jedynie napisaniem listu do niego i pozostawieniem go w rękach pokojowej radczyni.

Przechodził właśnie koło tarasu wspaniałego hotelu Hungarja, gdy jak na zaklęcie ze schodów podjazdu zbiegła owa pokojowa. Miała wygląd wystraszony, szła pośpiesznie, wprost ku nadchodzącemu, a znalazłszy się w odległości kilku kroków, zawołała zdławionym głosem:

— Czy pan nie wie, gdzie mieszka jaki ksiądz Polak?

A gdy Tadzio zamyślił się, chcąc dać dokładną odpowiedź, dodała:

— Pani mi kona, na chwilę oprzytomniała… chce księdza.

— Niech pani wraca do niej — rzekł Tadeusz. Tu jest tylu księży Polaków, że z pewnością niebawem sprowadzę którego.

— O, dzięki serdeczne! Mieszkamy w hotelu Hungarja nr. 14 i 15.

Odbiegła, Tadeusz zaś wszedł do przyległego pensjonatu, o którym wiedział, że jest własnością Polki. Jakoż szwajcar wskazał mu mieszkanie jakiegoś księdza ze Lwowa.

W kwadrans potem kapłan z Wiatykiem wchodził w towarzystwie Tadzia do pokoju chorej.

Śmiertelnie blada, o obrzękłej, prawie przezroczystej twarzy, zwracała bardziej niż zwykle przerażone oczy na wchodzących.

— Henio! — zawołała.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odezwał się ksiądz. — Wchodzi tu ważniejszy gość — sam Chrystus Pan przychodzi na pomoc duszy twojej.

Dał znak obecnym, aby się oddalili, a po kilku minutach wezwał ich znowu dla asysty przy Sakramencie.

Tadeusz i Helena uklękli blisko proga, przysłonięci wysokiem wezgłowiem łóżka. Chora odpowiadała przytomnie, choć bardzo słabym głosem i zdawała się wsłuchiwać w szmer modlitwy, płynący z za jej głowy. Po oddaleniu się księdza Helena podeszła do łóżka.

— Niech pani przyjmie lekarstwo i popije ciepłem mlekiem, to panią wzmocni.

Radczyni wstrząsnęła głową.

— Nie chcę lekarstw… Gdzie Henio?

— Pan Henryk zaraz przyjedzie… Już trzy telegramy poszły po niego — odrzekła pokojowa.

— Już trzy telegramy, a on nie przyjechał?

— Jest w Ostendzie, droga daleka… przyjedzie lada godzina, niech pani będzie spokojna.

— Ale ja słyszę jakiegoś mężczyznę w pokoju.

Helena zmieszała się, niepewna, czy ma anonsować obcego.

— To felczer przyszedł zastrzyknąć kamforę.

— Niech się zbliży do mnie.

Helena nachyliła się nad Tadeuszem, który usunął się był na niski fotel przy drzwiach.

— Niech pan podejdzie do niej, tak jakby był felczerem, ja tymczasem skoczę po właściwego… Richtera… jest na drugiem piętrze przy tym jenerale, któremu się rany odnowiły.

Wybiegła.

Cicho po miękkim dywanie zbliżył się Tadzio do łóżka i stanął przy niem; radczyni miała otwarte usta a przymknięte oczy, tak że widać było w połowie blade, nieruchome źrenice. Wyglądała tak strasznie, że młodzieniec, nie mogąc opanować wzruszenia, oddalił się o parę kroków

ku oknu, ale ona w tej chwili otwarła oczy, a widząc na tle białych firanek wysmukłą postać młodego mężczyzny, wykrzyknęła głosem, nabrzmiałym radością:

— Henio!

Na dźwięk tego imienia odwrócił się Tadzio nagle, sam pełen złudzenia, że oczekiwany przyjaciel wszedł do pokoju.

Radczyni wytężyła wzrok i patrzała z przerażeniem w piękną twarz młodzieńca, a ten pochylił się nad nią, rękę położył na jej czole, a dłonią gładząc opuchłą, gładką rękę chorej, mówił cichym, łagodnym głosem:

— Proszę się uspokoić, Henio przyjedzie z pewnością. Pociąg przychodzi za godzinę, za pięć kwadransy będzie tutaj.

Radczyni nie spuszczała z niego oczu, w których budziła się natężona myśl i wzrastający niepokój.

— Ktoś ty?… kto?… — bełkotała

— Przyjaciel… — szepnął — przyjaciel Henia.

Zdawało się, że umierająca zrobiła jeden wielki wysiłek, celem rozproszenia ogarniającej mózg jej bezwładności.

— Tadzio! — zawołała.

A potem zaczęła się trząść, dygotać i wybuchnęła łkaniem.

— Wypędzony, zmarnowany!… Zbawca mego Henia… dziecko niedoli!

— Nie zmarnowany, droga pani. Wyszedłem na ludzi, daję sobie radę w życiu. A z pieniędzy, któremi mnie państwo obdarzyli, mogłem był ratować od śmierci dwie najdroższe istoty i jestem szczęśliwy!…

— Szczęśliwy? — powtórzyła, jakby zdumiona — a Henio rozpacza, Henio płacze, mój Henio nieszczęśliwy!…

Szlochała coraz mocniej. Wzruszony tą rozpaczą umierającej, Tadeusz przylgnął ustami do jej ręki, nie mogąc powstrzymać łez.

— I Henio będzie szczęśliwy… ja go nauczę, jak być szczęśliwym — wyrzekł.

Patrzała na niego długo, potem podniosła rękę i wyszeptała ledwo dosłyszalnie:

— Pamiętaj!

Wejście felczera przerwało tę scenę. Pozwoliła zastrzyknąć kamforę, a potem coraz bardziej natarczywie zaczęła dopominać się o wnuka.

Na kwadrans przed przyjściem wiedeńskiego pociągu udał się Tadzio na dworzec kolei. Zdaniem panny służącej Henio miał z wszelką pewnością o tej godzinie przyjechać. Tadziowi serce biło jak młotem, gdy na długim korytarzu, wiodącym z peronu, zaczęli się ukazywać przyjezdni. Każdego młodego, eleganckiego mężczyznę, który zamajaczył w głębi, brał za oczekiwanego przyjaciela. Ku niejednemu rzucał się gwałtownie, niejednemu zajrzał w oczy wprost niedyskretnie, kilka razy zapytał:

— Czy pan Tarner?

Ale żaden z młodych ludzi, którzy przybyli, nie był Henrykiem, zresztą śledził za każdym; kazali się odwozić i odprowadzać do różnych will, żaden nie wymienił hotelu Hungarja.

Korytarz opustoszał, po peronie włóczyło się kilku tragarzy i jacyś żydzi z kwitami frachtowemi w rękach. Tadeusz obiegł kilkakrotnie dworzec, zajrzał do poczekalni i bufetu i wracał do hotelu z sercem ściśniętem na myśl, że przyjdzie mu zakomunikować umierającej bolesną wiadomość.

A ona znowu przy każdem otworzeniu drzwi, przy każdym szmerze dopytywała się i dopominała o Henia.

Po południu wystąpiły objawy zupełnej agonji. Tadeusz posłał do panny Anieli z wiadomością, co go zatrzymało poza domem. Przyszła, wspierając się na kiju, z trudem wlokąc zartretyzmowane nogi, ale zgodnie z rozporządzeniem doktora nie dopuszczano już nikogo obcego do umierającej. Klęczała przy niej Helena, modląc się żarliwie i stał Tadeusz, trzymając jej coraz więcej wzdymającą się rękę w swoich dłoniach.

Słońce rzucało ostatnie promienie, gdy z cichem jękliwem wzywaniem Henia na ustach skonała radczyni. Tadzio zamknął jej powieki, pomodlił się i wyszedł załatwić formalności prawne.

W nocy poszedł znowu na pociąg, przychodzący z Wiednia. Tym razem wysiadło zaledwie kilkanaście osób i Tadzio poznał odrazu wyskakującego z wagonu pierwszej klasy młodzieńca niewielkiego wzrostu, o szlachetnym, dobrze sobie znanym profilu. Pobiegł ku niemu z wyciągniętemi ramiony.

Podróżny postał chwilę niepewny, potem rzucił się na szyję Tadzia z

serdecznym okrzykiem:

— Tadzik! mój Tadzik!

— O mój Heniu drogi, tyle lat!

— I wyobraź sobie, ja przybywam tu do umierającej babki.

— Wiem o tem; byłem przy niej cały dzień…

— Ty byłeś przy niej?.... Jaki jej stan?

Tadeusz milczał, mimowoli spuścił wzrok ku ziemi. Henio odstąpił o kilka kroków, popatrzył w twarz jego przenikliwie i szepnął ledwo dosłyszalne pytanie:

— Umarła?

Tadeusz skinął głową.

Usta Henryka zadrżały, przygryzł dolną wargę i długo szli dwaj przyjaciele lat dziecinnych, trzymając się za ręce, jak niegdyś, gdy przechadzali się jako mali chłopcy, nie mówiąc słowa, jakby nie chcąc zamącić uroczystej chwili, w której żal po śmierci bliskiej istoty obejmował w swe panowanie duszę Henia, wypełnioną dotychczas egoistyczną i bezpodstawną tęsknotą.

W godzinę po przyjeździe Henryka cichutko, wśród cieni nocy wyniesiono trumnę pani Narzymskiej do cmentarnej kaplicy.

Po opuszczeniu jej dwaj przyjaciele zasiedli na pobliskiej ławce. Księżyc wysrebrzył szeregi białych krzyży i smutnych cmentarnych aniołów, otulających się w kamienne skrzydła.

— Czy bliskość cmentarza o tej porze nie robi na tobie wrażenia? — zapytał Henio przytłumionym głosem.

— Jestem już dwa lata na medycynie, miałem przeto czas zżyć się z nieboszczykami.

— A mnie mróz chodzi po kościach.

— To chodźmy stąd.

— Przeciwnie, ta trwoga jest mi rozkoszną, budzi z martwoty codziennego życia.

— Co za niezdrowy paradoks!

— Czyż nie uważasz, że uczucie, choćby ujemne, choćby bolesne jest lepszem od tego głuchego, martwego bólu, który jak dokuczliwy robak toczy naszą duszę przez lata, lata całe.

— Przyznam ci się, że tak niewygodny gość nie przebywał nigdy w

skromnym pawilonie mego wewnętrznego ja, więc nie umiem zdobyć się na porównanie.

— Jakto, ty nie wiesz, co to moralne cierpienie?

— I owszem, jeśli moralnym nazwać można ten ból serdeczny, naturalny, jakiego doznaje się na widok cierpień lub niedostatku najdroższych osób, albo poczucia płótna w kieszeni przy perspektywie dużych wydatków w niedalekiej przyszłości. Te smutki mają podstawę materjalną, ale, ręczę ci, że bardzo uciskają naszą moralną istotę.

— Szczęśliwy, jeśli tylko takich cierpień zaznałeś, bo te są najłatwiejsze do usunięcia.

— Mówisz, jak przystoi na bogatego burżuja, któremu wystarcza w takim wypadku napisać czek do banku.

— Gdybyś znał moje cierpienia!

— Ja je znam!…

— Znasz?

— Znam przynajmniej doskonale źródło ich; pozwól mi je odmalować, bo widzisz, mam zamiar zostać lekarzem psychjatrą i neurologiem, zależy mi więc na tem, żebyś ocenił, czy mam odpowiednią przenikliwość.

— Słucham.

— Choroba twoja przejawia się nudą, apatją, brakiem woli, gonieniem za wrażeniami, szukaniem ich w mętnych źródłach, okropnym niesmakiem w duchowej głębi i zniechęceniem do życia, co wszystko razem definjuje się terminem: hypertrophia arges. Czy zgadłem?

— I cóż stąd, że postawiłeś dobrą diagnozę, ale wskaż lekarstwo, spraw, żebym miał tyle woli, aby zdobyć się na czyn, choćby wtedy, gdy potrzebny on dla ratowania kogoś od śmierci lub rozpaczy.... Czy wiesz, Tadziu, że ja mogłem był przyjechać tutaj o 24 godzin wcześniej, a nie przyjechałem, bo nie mogłem się zdobyć na wysiłek energji dla przedsięwzięcia podróży i zato poniosę z sobą aż do grobu poczucie, żem zatruł ostatnie chwile tej kobiety, która bądź co bądź kochała mnie serdecznie i w ostatnich przynajmniej latach już wyłącznie ponad siebie.... Gdy wspomnę sobie opowiadanie Heleny, jak ją męczyło pragnienie zobaczenia mnie, pobłogosławienia....

— Czemuś ty tak nagle przestał pisywać do mnie? — odezwał się Tadzio, chcąc odwrócić myśl Henryka w inną stronę.

— To ty raczej przerwałeś korespondencję naszą w czwartym roku, a w trzecim pisywałeś już bardzo niewiele.

— Przeciwnie, to ja nie odbierałem odpowiedzi od ciebie na moje częste listy.

— Ależ nie… W trzecim roku odebrałem od ciebie ostatni długi list. Pamiętam, że był ślicznie napisany, próbowałeś już filozofować na temat społeczny, domagając się reform w ustroju świata. Byłem tak zachwycony tym listem, że pokazałem go babce, która jednak doznała innego wrażenia, nazywając go głupim, warjackim i kazała mi strzec się twego wpływu. Pomimo to na list ten odpowiedziałem obszernie.

— Pamiętam, pamiętam ten list; wywołał on znowu moją sążnistą replikę.

— Tej już nie odebrałem. Tak jak wogóle odtąd odbierałem już tylko twoje zdawkowe karty, pisywane z okoliczności świąt lub imienin.

— Ktoś przejmował listy.

— Tak, ktoś przejmował listy — rzekł Henio z westchnieniem.

Po chwili dodał:

— Myślała, że czyni dobrze, że to jest jej obowiązkiem, tak jak za święty obowiązek miała sobie odsuwać ode mnie każdego znajomego o trochę bujnej naturze: każdą rozrywkę, o ile miała najmniejszy pierwiastek młodocianego szaleństwa. Aż zrobiła ze mnie naprzód libertyna, który rzucił się z całem zaślepieniem w wir orgij światowych, gdy po śmierci dziadka i sparaliżowaniu babki zostałem bez kontroli, a potem sceptyka, który w nic nie wierzy, nic nie kocha i pragnie tylko jednego: śmierci, śmierci jak najprędzej!

— To majaki, niezdrowe majaki ciężko chorej duszy.

— Wiem o tem, ale stwierdzenie faktu nie przynosi mi ulgi! I powiem ci coś więcej, Tadziku… ja z tem żyć nie mogę. Od kilku miesięcy noszę się z myślą samobójstwa; wstrzymywało mnie tylko przeświadczenie, że to byłoby takim niemiłosiernie brutalnym postępkiem względem tej dogasającej staruszki, która miewała przecie chwile świadomości. Czekałem na jej śmierć, by zostać sam na świecie i skończyć z tem strasznem życiem. Wierz mi, to nie frazes, ja żyć nie mogę z tem poczuciem próżni i pustki.

— Rozumiem cię, Heńku, mogłeś to czuć dotychczas, ale od kilku

godzin… Od czasu gdyśmy się spotkali… Czy nie odżyło w sercu twojem nic z dawnych uczuć, które umilały nam dzieciństwo?

Henryk milczał, długo pozostając z głową ukrytą w dłoniach.

— Owszem — odezwał się wreszcie — ucieszyłem się i cieszę się tobą. Ale ja nie potrafię już być szczęśliwym… Spleen mnie zżera… Ach!… słyszałeś?…

Henryk przerażonym wzrokiem wskazał w stronę cmentarza.

— Słyszałeś?… — powtórzył.

— Co takiego?

— Tak jęknęło między pomnikami.

— Wiatr.

— Tak, wiatr… A zupełnie jakby z nad grobu babki.

— Czy ty się, Heniu, nie leczyłeś na nerwy?

— Owszem, nawet niedawno byłem u najznakomitszego neurologa w Paryżu.

— Cóż ci powiedział?

— Głupstwa.

— Naprzykład?

— Kazał mi się zająć jaką pracą.

— Uważasz to za głupstwo?

— Bez kwestji, bo nato, żeby móc się zająć, trzeba mieć energję do rozpoczęcia jej, a na tę ja się nigdy nie zdobędę.

— Nieszczęście, że nie masz żadnego obowiązku. Lepiej byłoby ożenić się, albo co, do licha ciężkiego!

— Ożenić się… przekazać nieszczęsnemu potomstwu chore nerwy!

Henryk zerwał się nagle.

— Chodźmy stąd!… Tu jest strasznie!… Znowu tak jęknęło w stronie grobu babki.

Tadeusz ujął go pod rękę.

— Chodź, odprowadzę cię do hotelu.

Szli chwilę w milczeniu.

— Co to za radość dzięki tobie będzie jutro — odezwał się wreszcie Tadeusz.

— Radość przeze mnie? — zapytał zdziwiony Henryk.

— Tak, przez ciebie… Pamiętasz pannę Anielę Stecką?

— Ciotka Aniołka!…

— Tiutiołka!…

— Poczciwe, nieocenione stworzenie, rozkochane formalnie w swych wychowańcach!… Czy żyje?

— Żyje i jest tutaj!

— Tutaj?… Z przyjemnością ją zobaczę!

— A ona nie może się doczekać twego przyjazdu. Przyjdziesz jutro do nas… Ona, biedaczka zartretyzmowana.

— A matka twoja?

— Żyje, ale ciężko chorowała przed dwoma laty.

— Ot i hotel Hungarja.

— Przyjdź jutro jak najwcześniej, mieszkamy… Albo najlepiej na pierwszy raz spotkamy się na wodach. O 9-ej będziemy już z ciotką ot na jednej z tych ławek. O której wstajesz?

— Czasem o świcie, czasem o zachodzie,najczęściej koło południa.

— Widzę z tego, że przyjdzie mi jutro wyciągać cię z łóżka!

— Dobranoc, Tadziku.

— Dobranoc, Heńku.

Podali sobie ręce; Tadeusz powtarzał jeszcze, aby nie dał nazajutrz zbyt długo czekać na siebie, ale Henryk słuchał z widocznem roztargnieniem i przymusem. Potem gorączkowo raz jeszcze uścisnął dłoń przyjaciela i wbiegł na taras.

Tadeusz popatrzył za nim pełen niepokoju i oddalił się dopiero, gdy wysmukła jego sylwetka zniknęła poza ciężkiemi drzwiami westybulu. Odszedł kilkanaście kroków, gdy słup światła padł na jego drogę.

— To pewnie Henio zaświecił elektryczność w swoim pokoju — pomyślał i nawrócił.

Rzeczywiście światło padało z wielkiego weneckiego okna nad tarasem, poza którem widać było Henryka, jak wielkiemi krokami mierzył wzdłuż i wszerz obszerny pokój, typowo pensjonatowy w urządzeniu. Tadeusz przystanął i obserwował go ze smutkiem; była chwila, że chciał pobiec do okna, poprosić przyjaciela o otworzenie go, a bardziej jeszcze tej duszy pasującej się w równie głębokiem, jak bezpodstawnem cierpieniu, aby tajemniczego rąbka uchyliła. Ale osądził, że nie trzeba działać zbyt obcesowo, że należy potrochu oswoić

przyjaciela i zachęcić do dzielenia się cierpieniem. Pomimo tego postanowienia długo nie mógł zdecydować się na odstąpienie od okna; oto znowu, jak przed laty, obserwował swego Henia; oto znowu widział go otoczonego dostatkiem, bogactwem; oto znowu widział go zdanego na łup nudy i smutku. Udaż mu się i dziś, jak przed laty, wydrzeć go z niebezpiecznych płomieni, które nie gwałtownie wprawdzie, ale powoli, systematycznie przeżerały jego nerwy, w których tlała młoda dusza, zamieniona w smutne popielisko!

Nagle zadrżał. Henryk, który od kilku chwil szukał czegoś w walizce, wydobył z niej rewolwer.

Był małego kalibru, wykwintny, najnowszej konstrukcji.

Kilku susami znalazł się Tadeusz przy oknie. W chwili jednak, gdy miał szarpnąć za ramę, Henryk opuścił rewolwer, włożył do futerału i schował zpowrotem do walizki.

— Bogu dzięki! jeszcze nie dzisiaj! — szepnął Tadeusz i chyłkiem zbiegł z tarasu. Nie oddalił się jednak, przysłonięty tylko pobliskiemi krzakami, obserwował dalej.

Henryk przeciągnął się jak człowiek bardzo z nużony i wyszedł na taras; zasiadłszy w głębokim, trzcinowym fotelu, zdawał się drzemać.

— Licho nadało z takim warjatem — szeptał tymczasem Tadeusz — gotów tak przesiedzieć do rana, a ja drugi warjat marznę tu na rosie i nie mam dość charakteru, żeby powiedzieć sobie, że kto odłożył rewolwer przed chwilą, ktoś co ma dwadzieścia trzy lata, poczeka przynajmniej dwadzieścia cztery godzin, żeby ująć go powtórnie w samobójczym zamiarze.

Na ten argument wzruszył ramionami, zrobił zwrot energiczny i ruszył w stronę ulicy, przy której mieszkał. Ledwo jednak hotel Hungarja zniknął mu na zakręcie, zawrócił i za kilka chwil stał znowu w pobliżu tarasu. Na takich wahaniach zeszła mu noc cała. Dniało już, gdy Henryk podniósł się z fotelu, drżący z zimna. Wszedł do pokoju, tupnął ze złością nogą i jął się gorączkowo rozbierać.

Za chwilę elektryczność zgasła.

— No, śpij spokojnie! — szepnął Tadeusz. — Daję ci sześć godzin czasu, po którym zaprzęgnę cię do roboty, że ci odetchnąć nie dam.

Na werandzie willi wprost domu, w którym mieszkał, stary profesor w

szlafroku i czapeczce wyszywanej perełkami, wyszedł podnosić żaluzje. Na widok wracającego młodzieńca, zaklął po czesku:

— Sakramencka jego mać! Żeby chociaż u wód młodzież nie lampartowała się po nocach. Straszne zepsucie obyczai!

VIII.

Godzina dziewiąta biła na kurhauzie, gdy Tadeusz ledwo zapukawszy do drzwi, nie czekając pozwolenia wszedł do pokoju Henryka.

Henryk był zaspany, lecz szczerze ucieszył się gościowi.

— Snem mi się wydaje to nasze spotkanie po tylu latach — rzekł ujmując rękę przyjaciela.

— Rewanżuję ci się; pamiętasz w jakich warunkach widzieliśmy się po raz ostatni przed jedenastu laty?

— Nie pamiętam.

— Wymknąłeś się z hotelu, aby mi złożyć pożegnalną wizytę.

— Tak, tak, przypominam sobie!… Zastałem cię w łóżku tak jak ty mnie dzisiaj!

— Nie inaczej — rewanż najściślejszy!

— Żeby był dokładny, muszę poczęstować cię kawą; tak jak ty mnie wtedy poczęstowałeś… Ach ta twoja kawa!… Kilka lat wspominałem ją z rozkoszą.

— A jednak była to pewnie mieszanka żyta, żołędzi i cykorji!

— Ale miała urok nowości i zakazanego owocu.

W tej chwili wszedł kelner, na którego Henryk był zadzwonił.

— Proszę przysłać dwa śniadania, ale obfite: kawa biała, szynka, ser szwajcarski, miód…

— Przychodząc wówczas do mnie z pożegnaniem przyniosłeś mi prezent…

— A tak, pudełeczko pełne pamiątek, między któremi kapitalne miejsce zajmował mój mleczny ząb!… Czy wiesz, że twój wpadł mi niedawno w rękę i że rozrzewniłem się na jego widok.

— Chcąc, aby dzisiejsza wizyta była dokładną kopją owej z przed jedenastu laty i ja przyniosłem ci prezent.

Podał mu dużą kopertę, z której Henryk wydobył fotografję przedstawiającą pomnik w natłoku innych grobowców, stanowiących całe tło zdjęcia.

S. p.
Czesław Tarner

przeczytał Henryk i westchnął.

— Grobowiec mego nieodżałowanego ojca.

— Zrobiony przed trzema laty.

— Ale jakżeż on opuszczony!…

— Nie ma kto go otoczyć opieką, odkąd dla moich studjów wyjechaliśmy do Krakowa.

— Ale patrz, to tak wygląda, jakby ta kolumna była zdruzgotana!

— Bo tak jest. Z lichego była materjału; przyszedł cyklon przed dwoma laty i uniósł część kolumny, wgniótł sklepienie i obalił otaczające kraty. Poprosiłem kolegę o sfotografowanie go w takim stanie, aby pokazać znajomemu przedsiębiorcy i zapytać, co kosztowałoby naprawienie; ale choć powiedziano mi cenę protekcyjną, przechodziła ona moją możność… Jest nas troje do utrzymania z moich lekcyj.

— Ależ naturalnie!… Zresztą to jest przedewszystkiem mój obowiązek.

— Dobrze się stało, żem się do tego nie zabrał, bo ty naprawę przeprowadzisz dokładniej.

— Ja wcale poprawiać tego nie będę!… Przecież ten pomnik jest ohydny! Taki banalny, kołtuński. Ah, ta kolumna bluszczem otoczona!… *C’est renversant!* Każdy majster cechowy ma podobną we Francji!… Tak niepospolity człowiek jak mój ojciec powinien mieć i grobowiec niezwykły.

— Bez kwestji, że zasłużył na taki!

— Ja sam naszkicuję projekt pomnika.

— Ciekawym, co się w mózgu twym zarysowuje? Pewnie obelisk, a na nim…

— Obelisk to też rzecz oklepana.

— Więc co?… Zgaszona pochodnia?

— Ah, dajżeż pokój zgaszonej pochodni… Może jeszcze w ręku

smętnego anioła?… Jak na grobie sentymentalnej dziewicy! Nie, ja nad zwłokami ojca mojego wzniosę pomnik, który w głębi będzie przedstawiał granitową ścianę, na której w płaskorzeźbie wyrażona zsuwająca się lawina. Lawina niesie wiele kamieni i krzyży. Lawina obsuwa się na piersi człowieka, który ma twarz szlachetną, twarz ojca mego. A na skraju grobowca sfinks patrzy martwym, pytającym wzrokiem.

— Wiesz, to może być wspaniałe!

— Aluzja do tajemniczego zgonu mego ojca, który padł ofiarą — ślepej potęgi.

— Naszkicuj to, póki masz w pamięci.

— Nie mam szkicownika, ani kredki nawet.

— Ja ci to zaraz przyniosę.

— To nic pilnego… Śniadanie nam zaraz podadzą.

— W bazarze na dole znajdę wszystko czego ci potrzeba; to kwestja paru minut.

Jakoż rzeczywiście jednocześnie wnoszono do pokoju Henryka śniadanie i wchodził Tadeusz, niosąc potrzebne materjały rysunkowe.

Henryk, pijąc kawę, jednocześnie szkicował; Tadeusz dotrzymywał mu towarzystwa w jednem i drugiem, okazując zainteresowanie projektem i puszczając się na drobne krytyki i poprawki.

Tak przeszła godzina, po której wiele razy wycierany i poprawiony rysunek został wreszcie odstawiony na konsolę; młodzieńcy stanęli przed nim w odległości kilku kroków i jęli go obserwować.

— W tem jest siła! — rzekł Henryk z zadowoleniem.

— Tak, to jest zupełnie piękne, szkoda tylko, że nigdy nie zostanie wykonanem.

— A to czemu?

— Bo tak bywa najczęściej; zanim wybierzesz się do Warszawy…

— Ależ ja nie myślę odkładać mego wyjazdu do Warszawy! Przecież tyle chyba należy się ode mnie pamięci ojca, żeby grób jego nie był opuszczonym jak mogiła kogoś, co nikogo po sobie nie zostawił. Ja dziś jeszcze pojadę do Warszawy!

— Dziś jeszcze!…

Tadeusz podrapał się w głowę.

— To źle!

— Czemu źle?

— Bo ja tu przyszedłem z prośbą do ciebie, o zastąpienie mnie przez kilka dni przy cioci Anieli.

— Jakto przy cioci Anieli?… A czem ty jesteś przy niej?

— Ja?… A no… niańką, mamką, kucharką, szwaczką, sekretarzem, dame de compagnie… Wszystkiem potrochu.

— Wolne żarty!

— Bez żartów. Ciotka Aniela ma zartretyzmowane palce, więc ja nietylko pisuję za nią listy, ale i ceruję jej pończochy, przynajmniej tutaj, w zastępstwie mojej matki; muszę też na maszynce zrobić śniadanie i kolację, a przedewszystkiem dostarczyć pożywienia. I zapewniam cię, że to praca ani uciążliwa, ani niewdzięczna, tylko niestety, odebrałem dzisiaj wezwanie od mojej matki, abym na gwałt wracał do Krakowa, a że ciocia ma jeszcze wziąć dwie kąpiele, więc pozostawałoby albo nie dokończyć kuracji i zabrać ją z sobą, albo pozostawić pod twoją opieką.

— Naturalnie, że szkoda byłoby przerywać kurację dla kilku dni, tylko ja nie wiem, czy zdołam wywiązać się z zadania.

— Co do tego, to nie mam najmniejszych wątpliwości. A że poczciwa ciotka oczekuje nas z niecierpliwością, nie dajmy na siebie czekać. Zabieraj się, Heńku, a chyżo!

Wyszli na ulicę.

— Więc na czem zasadzać się będzie moje zajęcie? — zapytał nagle Henryk z widocznem zaambarasowaniem.

Tadeusz wybuchnął zdrowym, młodzieńczym śmiechem.

— No, no, nie przerażaj się, nie będzie znowu tak bardzo źle. Coś niecoś z atrybutów można ci odjąć. Tak więc kucharka i szwaczka mogą stanowczo być wyrzucone poza nawias, o ile zapewnisz ciotce śniadanie i kolację w cukierni, a…

— Ależ naturalnie!

— Co do pończoch i różnych guzików, to zapewniła mnie ciotka, że do wyjazdu jest dostatecznie obreperowaną. Ale jedno, z czego już stanowczo zwolnionym być nie możesz, to stanowisko mamki!…

— Ah, ty warjacie!

— Musisz przez ten czas dostarczać staruszce jedzenia własnym

sumptem, bo ja mam w kieszeni ostatnie czterdzieści koron, z ktoremi…

— Ależ, Tadziku, przecie to przedewszystkiem mój obowiązek! Wszak to moja krewna, na którą ty tyle lat pracujesz. Ja powinienem oddać ci co do grosza to, coś wydał na nią dotychczas.

— Co do tego, kto z nas ma większe obowiązki, to kwestja sporna. Według mego zapatrywania, ja; ty masz bardzo względne obowiązki krwi; ja spłacam dług, bo ta zacna kobieta niemało krwawo zapracowanych groszy włożyła w moje utrzymanie, edukację, kurację, przyjemności. Niemniej wcale się o to gniewać nie będę, jeśli teraz ty przejmiesz na siebie ten obowiązek.

— Ależ z radością, Tadziku, z radością!

— Oto i jesteśmy.

Weszli na niewielką werandę.

— Ciociu, jesteśmy! — wołał ze schodów już Tadeusz.

Panna Aniela drgnęła jak podrzucona sprężyną i dawno nie praktykowanym skokiem rzuciła się ku wchodzącym. Ale ból nóg zatrzymał ją w miejscu i dał znać o sobie przejmującem syknięciem. Panna Aniela drżąc ze wzruszenia, oparta o stół, czekała na gościa. Podbiegł, ujął jej obie ręce, o palcach pokrzywionych, spuchniętych w stawach i do ust przycisnął. Trzęsące się usta przyłożyła do jego czoła i witała jak syna. Nagle wzruszającą tę scenę przerwał donośny wybuch śmiechu. To Tadeusz śmiał się, śmiał do rozpuku, do łez, zginając się wpół i bijąc dłońmi po kolanach.

— Ufryzowana! jak Boga kocham, ufryzowana! A niech mnie kule biją!… To na twoją intencję, Heniu!

— Co takiego?

— Ciotka się ufryzowała!

Panna Aniela oblała się ponsem.

— Ale bo mam takie rzadkie włosy na przodzie, jak przyszczotkuję, to aż skórę mi widać… To nawet obrzydliwe!

— Może nawet nieprzyzwoite, ciotuś!… Toć to grzeszne ciało!… Oj ciotka, ciotka!… Skąd to dziś naraz taki skrupuł!…

— No, bo przecie… on jedenaście lat mnie nie widział. Chciałam, żeby się mnie przynajmniej nie przestraszył.

— Poczciwa, kochana ciocia… Ciocia Aniołka!

— Niechżeż pan siada…

— Co!… Jak ciocia powiedziała?… Jaki pan?… Przecież choćbym nie był tak jak jestem krewnym, miałbym prawo do poufalszego tytułu, choćby ze względu na tych siedem lat, w których ciągu ciocia taką troskliwością otaczała moje dzieciństwo.

— Zapewne… Przecież mnie samej byłoby trudno zdobywać się na ceremonjalny tytuł, gdy we wspomnieniach moich i sercu pozostałeś zawsze tym drogim, małym Henieczkiem… Jakżeś ty się zmienił!… Choć niższy i szczuplejszy od Tadzia, wyglądasz na starszego o lat kilka… No, proszę siadać.

— Na szczęście ja mogę powiedzieć o cioci, że prawie nic się nie zmieniła, przynajmniej w mojej pamięci zdaje mi się, że jej nigdy inną nie widziałem.

To mówiąc, nie odrywając serdecznych oczu od panny Anieli, przysunął machinalnie krzesełko, ale równie szybko jak na niem zasiadł, zeskoczył z niego z lekkim okrzykiem.

— Co się stało?

Henryk zaniepokojonym wzrokiem obejrzał się poza siebie. Towarzyszył temu nowy wybuch śmiechu Tadeusza. U żakietu Henryka, uczepiony na długiej szpilce chwiał się sentymentalnie kapelusz panny Anieli.

— Mój kapelusz — pomimowoli z przerażeniem wydarło się z ust właścicielki.

— Ma go ciocia!… W pięknym stanie!… Nabrał fasonu drzewnego grzyba, pióra sterczą w połowie złamane, a wisienki, któremi się cioteczka szczyciła, po zmiażdżeniu szklanej powłoki okazały się nędznemi kłaczkami waty.

— Ah, jakżeż ja jestem nieuważny! — sumitował się zakłopotany Henryk.

— To tylko moja wina… nie zostawia się kapeluszy na krzesłach.

— Ha, trudno, mój Heńku, będziesz musiał wykazać umiejętność modniarki i naprawić coś zepsuł.

— Wolę powierzyć to kompetentnej ręce.

— Nie mówmy już o tym drobiazgu, lepiej siądź i rozpowiadaj, coś robił przez tak długi czas?

— Niestety, nic dobrego.

— My wszystkiego, co ciebie dotyczy, ciekawi!

— Bardzo proszę ciocię, bez liczby mnogiej — wtrącił Tadeusz. — Może ciocia czuje w sobie ciekawość złego i dobrego… ja nie!

— Ah, ty nieznośny chłopcze!

— Przyznaję, że teraz ponad ciekawość, ponad wszelkie inne uczucia dominuje we mnie uczucie głodu, a że są w domu poziomki…

— Pozwól, Tadziu, już dochodzi dwunasta, nie warto psuć sobie apetytu poziomkami, tem więcej, że pragnę mieć satysfakcję ugoszczenia państwa obiadem w kasyno i pragnę, abyście jedli ze smakiem.

— W kasyno? — powtórzyła zaniepokojona panna Aniela — to najdroższa restauracja w Trenczynie.

— Bo doskonała.

— Ale tam chodzi najwytworniejsze towarzystwo.

— Podobno.

— To jakżeż my… Ja właściwie nie mam dość eleganckiej sukni.

— Nie suknia zdobi człowieka, ale człowiek suknię! Zresztą albo to się wszystkie wielkie panie stroją? Ręczę, że kostjum, który ciocia ma na sobie, jest szykowniejszy od tego, w jakim widuję księżnę Meternich, właśnie w kasyno.

— No tak… Ten mój czeczunczowy kostjumek ujdzie, ale…

Tu zafrasowała się głęboko.

— Ale kapelusz!…

— Tak, tak kapelusz — śmiał się Tadeusz — kapelusz, który odegrał rolę poduszki, niestety nie pneumatycznej.

— To prawda!… Ha, ja zepsułem, ja naprawić muszę. Chodźmy kupić kapelusz.

— Cóż znowu!… Przecież ten, jak go modniarka odprasuje, podszyje drutem… A pióra mogą być odrzucone, wisienki także… To nawet będzie odpowiedniejsze dla kobiety w moim wieku!

— Nie, nie, ciociu, o tem niema co mówić, idziemy kupić kapelusz!

— Ależ to nie ma sensu, żebyś ty mi kapelusz kupował… Zresztą od dwunastej do drugiej wszystkie sklepy zamknięte.

— To co innego!… Z tym argumentem trzeba się liczyć!… Ale wpadłem na myśl!… Nieboszczka babunia pozostawiła mnóstwo ubrań i

kapeluszy. Helena, która wczoraj odjechała po otrzymaniu odpowiedniej gratyfikacji, zakomunikowała mi, że wszystko jest ułożone i zapakowane pod numerem 15… Jest tu telefon?

— Jest u właścicielki.

— Możebyś, Tadziu, pofatygował się tam i zatelefonował w mojem imieniu do zarządu hotelu, aby mi tu wszystkie te fatałaszki odwieziono.

— Jakto, Heniu, tybyś chciał?…

— Żeby ciocia była łaskawa przejrzeć to wszystko, zatrzymać to, co się może przydać cioci… albo twojej matce… — zwrócił się do Tadeusza.

— Moja matka wróciła do bronowickiego stroju, odkąd zacząłem dość zarabiać, aby móc jej sprawić aksamitny kaftanik w kwiateczki i krakowską chustkę.

— Bielizna i tak przydać się może… Zresztą to ciocia najlepiej osądzi!… Bądź co bądź zatelefonuj, Tadziu, aby to wszystko natychmiast tu przywieźli.

W niespełna pół godziny potem obaj młodzieńcy bawili się serdecznie widokiem panny Anieli, rozpakowującej kufry pani radczyni. Jak pensjonarka cieszyła się i rozkoszowała każdym przedmiotem, zaznaczając doskonałość płótna bielizny, mięsistość jedwabi, wytworność drobiazgów. Szkatułkę z biżuterją podała Henrykowi.

— To schowaj dla twej przyszłej żony!

— A cóż tam może być!

— Widzę, że biżuterja.

— To tylko przedmioty niezbędne: zegarek, łańcuszek, parę skromnych broszek, spinki… Kosztowności od pierwszego ataku babuni złożył dziadek w banku…

— A to jakiś śliczny pugilares.

— Nie, to tylko portfelik na bilety wizytowe i notatki… Pamiętam, dziadek dał to babci na ostatnią gwiazdkę, którą spędziliśmy wszyscy przy dobrem zdrowiu… O, widzi ciocia, wewnątrz są fotografje z przed trzech lat dziadka i moja.

— Tu na tej tabliczce z kości słoniowej coś napisane.

— Prawda, drobniutkiem pismem babuni… »Ja, zdrowa na umyśle i przytomna zupełnie, zapisuję cały mój majątek jedynemu spadkobiercy

memu, Henrykowi Tarnerowi, synowi śp. córki mojej Zofji z Narzymskich Tarnerowej. Polecam mu przytem, aby dołożył wszelkich starań, by odnaleść towarzysza lat dziecinnych, Tadeusza Czereśnickiego, który przez lat siedem wychowywał się z nim razem w domu śp. Czesława Tarnera. Temu to Tadeuszowi Czereśnickiemu wnuk mój ma przyjść z odpowiednią pomocą, która pozwoli mu wyjść na człowieka, czy to przez jednorazowy zasiłek, czy jako rentę przez czas dłuższy. Pozostawiam to uznaniu zacnego Henryka Tarnera. Paryż, 24 grudnia 1910 r.«… To w rok później, już po śmierci dziadka!

— Dziwne, dziwne, więc ta kobieta tak jednak miała mnie na sercu.

— Wielokrotnie doznawałem tego wrażenia!… Widzisz, Tadziu, nie wolno ci odmówić przyjęcia ode mnie pomocy.

— Ha, wola zmarłych jest święta… Tylko ja będę w kłopocie, jakie postawić wymagania. Musisz mi w tem pomóc, wejrzawszy cokolwiek w moje życie i jego potrzeby.

— Jak najchętniej.

— Pierwszą narazie jest zaspokojenie głodu, o którem mówię od trzech kwadransy. Dalej, ciotuś, na który kapelusz ciocia się decyduje?

— Doprawdy, że trudny wybór.

— Ja radzę ten koronkowy z bratkami.

— A nie za młody?

— Nie, ciociu.

— Zatem wkładam ten… Biorę też czysto-jedwabne rękawiczki.

— I całe!… Bogu dzięki!… Musi ciocia dbać o swój wygląd z chwilą, gdy ciocia przechodzi pod opiekę Henia.

— Pod opiekę Henia?… A cóż ty?…

— Ja wyjeżdżam dziś wieczór.

— Dokąd?

— Do Krakowa.

— Skąd tak nagła decyzja?… przecież ja mam jeszcze dwie kąpiele do wzięcia, mam już bilety abonamentowe!

— To też pozostanie ciocia pod opieką Henia!

— Gdzieżby on chciał!

— A cóż to, ciociu, czy już ja jestem taki nicpoń, że mam nie chcieć choć kilka dni zająć się osobą, która mi przez szereg lat matkowała?

— Ah, tego nie mówię!… Tylko… Co za fantazja Tadzia, żeby tak nagle wyjeżdżać!

— Dostałem list od matki… sprawa tego Pierożka, co wytumanił od niej sześćset koron. Wyjadę dziś po południu. A ciocia zabawi jeszcze ze cztery dni, weźmie swoje dwie kąpiele, do których Henio codzień ciocię zaprowadzi; zje dobry obiadek w kasyno, śniadanie u Lehmana i kolację w mleczarni i będzie cioci tak dobrze, jak nigdy ze mną nie było… Prawdziwie, że to łaska Opatrzności, że on się tak nagle zjawił… Cobyśmy zrobili bez niego?… Bo nie dosyć, że ja muszę przyśpieszyć wyjazd, ale w dodatku mamy ostatnie czterdzieści koron!

— Rzeczywiście uszczęśliwiony jestem, że się tak w porę spotkaliśmy.

— I niech sobie ciocia wyobrazi, że ten poczciwy chłopak odkłada dlatego swój wyjazd do Warszawy.

— O, on miał zawsze złote serce!

— A ja mu to w ten sposób wynagrodzę, że będę mu towarzyszył do Warszawy.

— Doprawdy, mógłbyś to zrobić, Tadziku? O, jaki będę szczęśliwy! Odnajdziemy wszystkie nasze wspomnienia dzieciństwa.

— Wszak obiecywałeś mi nieraz, że będę podróżował z tobą; tymczasem doszedłem szczęśliwie lat dwudziestu trzech i nie znam nic prócz Warszawy i Krakowa.

— I ja niewiele podróżowałem.

— Choć nie brakowało ci czasu i pieniędzy.

— Brakowało mi podniety. Zato razem odbędziemy każdego roku przynajmniej dwie podróże.

— Tak, jedną małą na święta Bożego Narodzenia, drugą wielką na letnie wakacje.

— Cudownie.

— A naszym babinkom będziemy przywozili piękne prezenta z podróży.

— Po jednym z każdego miasta.

— O, moi drodzy, nieocenieni chłopcy… Co za okres szczęścia dla nas się zaczyna!

Panna Aniela rozpłakała się z radości.

IX.

I znowu jak przed sześciu dniami Tadeusz stał przy drzwiach wchodowych kolejowego dworca, wyglądając kogoś między tłumnie wysypującymi się przyjezdnymi, ale twarz jego nie miała tego wyrazu niepokoju i niepewności, jaki cechował ją wówczas, w Trenczynie. Przeciwnie malowało się na niej zadowolenie i błoga świadomość oczekiwanego szczęścia.

Henia spostrzegł przed sobą nagle, gdyż do ostatniej chwili osłaniał go tragarz, idący przed nim z wielką walizą na ramieniu.

— A jesteś, huncwocie!… Gdzież ciotka?…

— Zgubiłem po drodze.

— Pewnie zostawiłeś na peronie; wrócimy po nią, gdy fala podróżnych odpłynie.

— Słowo ci daje, że jej niema w Krakowie.

— Gdzież jest?

— Odwiozłem ją na trzytygodniową »nachkur« do Jastrzębia. Doktor powiedział, że to bardzo wskazane. Pomieściłem ją w wygodnym pensjonacie, zapewniwszy odpowiednią opiekę.

— Musiała być uszczęśliwiona!

— Ba, to gołębia dusza; ona cieszy się nietylko kilkudniowym pobytem w wygodnych warunkach, ale każdem malowanem *menu* i ozdobną, bibułkową serwetką przy deserze.

— O tak, ją nietrudno uszczęśliwić.

— A to bardzo miło… zwłaszcza dla mnie, dla którego jest to zupełną nowością.

— Nie odbierasz rzeczy?

— Poślę po nie z hotelu. Który tu u was hotel najporządniejszy?

— Jest kilka, a wszystkie w pobliżu mojego mieszkania. Radzę przeto, abyśmy naprzód poszli do mnie… to bliziutko, bo mama przygotowała kawę i bardzo będzie rada, jeśli nie będzie czekała z nią długo. Potem pójdziemy poszukać numeru, bo to teraz w okresie przejazdów wszędzie brak wolnych pokoi. Znasz Kraków?

— Ledwie pamiętam z czasów, gdy wstępowaliśmy, jeżdżąc do Zakopanego i Rabki; najlepiej zapamiętałem ciastka u Michalika i

krakowskie paski z brzękadłami, które kupował nam ojciec… Ah, i planty kochane!

— Zaraz zboczymy z nich na ulicę Warszawską, na której mieszkamy.

— Rzeczywiście, że tu pięknie i musi się dobrze pracować.

— O tak, zwłaszcza artystom.

— Akademia malarstwa dobrze postawiona?

— Świetnie… Przyjrzymy się jej, mam kilku młodych malarzy znajomych; pokażę ci, co cię interesuje, jak tylko zechcesz.

Weszli do jednej ze staroświeckich kamieniczek.

— Nie potrzebuję cię uprzedzać, że komfortu u nas nie znajdziesz.

— Nie gonię za nim.

— Idźmy teraz cichutko, na palcach, żeby zrobić mamie niespodziankę… To pora, w której ukradkiem, w wielkiej tajemnicy, odbywa poobiednią drzemkę.

— To nie wejdziemy do jej pokoju.

— Byłoby to przytrudne, bo jest pierwszym prosto z ganku.

Weszli na jeden z tych typowych ganeczków, otaczających podkową większość dawnych podwórzy krakowskich. Każde z oficynowych mieszkań tego domu, składających się z jednej wielkości pokoju i kuchni, miało szklane drzwi wychodzące na ganek. Drzwi od mieszkania Tadeusza były otwarte, pstrząc monotonję kamieniczki firanką z batystu w róże, zasłaniającą szyby.

Tadeusz stanął we drzwiach; twarz mu się rozjaśniła, położył palec na ustach i dał znak Henrykowi, żeby się przybliżył.

Oczom ich ukazał się obrazek, jakby przemieniony z galerji którego z miast skandynawskich. W otwartem oknie, na tle pogodnego nieba, rozbrzmiewała jakby symfonja wież. Florjańska znaczyła się potężną piersią, baszta Pasamonitów dotrzymywała jej miejsca w fortecznym charakterze, kościół św. Florjana strzelał wysmukłemi wieżycami, dalej kościół Marjacki bódł niebiosa koroną królewską, obok skromnej, ponurą legendą owianej baszty bratobójcy, a w głębi św. Piotr znaczył się wesołą, zieloną kopułą. W aureoli tych wież i krzyżów, w blasku zachodzącego słońca, siedziała Stefanja Czereśnicka, na staroświeckiem wysokiem krześle. Zwrócona była profilem do wchodzących i oczy miała zamknięte: twarz jej zmieniona chorobą wyszlachetniała, utraciła dawny charakter

wiochny, natomiast cechował ją spokój i skupienie. Rysy niezmiernie regularne, włosy lśniąco czarne, gładko przyczesane, odznaczały się od pensowej chusteczki, która zsunęła się na tył głowy. Na ramiona zarzuconą miała prześliczną krakowską chustkę szafirową w róże, na kolanach białego kota, nad sobą, na ramie okna, parę gołębi.

Henryk ręce złożył w zachwycie.

— Co za obraz: co za tło! i co za twarz! — wyszeptał modlitewnie.

— Często o tej porze zastaję tak matkę i nigdy nie mogę się oprzeć uczuciu żalu, że nie jestem dość bogaty, aby dać któremu malarzowi zrobić taki portret mojej matusi.

— Ja ci ją wymaluję!

— Spełnisz najdroższe moje marzenie.

— Ba, za takim modelem i takiem tłem można Europę przejechać!

Na mimowolny ten wykrzyk Henryka zbudziła się Stefanja i zerwała z miejsca.

Henryk doznał niemałego zdziwienia; w ruchach i uśmiechu, z jakim szła ku niemu ta po wiejsku ubrana kobieta, było tyle godności, że rzekłbyś była to dama przebrana za wieśniaczkę, a prędzej jeszcze która z niewiast z piastowskiej epoki, wychodząca witać gościa na próg swego domu.

— Nie wiem, jak dziękować Bogu za pociechę, jakiej dał mi dożyć, że oczy moje pana w zdrowiu oglądają. A gdzież to Anielka? Została na dole?

— Ciocię Anielkę odwiózł jeszcze poczciwy Henio na kilkotygodniowy wypoczynek w górach.

— Szkoda, tęskno mi już za nią. No, idźcież do pokoju Tadzia, zaraz tam kawę przyniosę…

Młodzieńcy weszli do obszernego pokoju, niezmiernie czystego i równie jak kuchnia skąpanego w promieniach zachodzącego słońca. Stół na środku pokoju nakryty był lśniącą różową serwetą, na której ustawiony był serwis z fajansu w kwiaty, chleb i placek pokrajany, cukier oraz masło w masielniczce w postaci kury siedzącej na jajach. Środek stołu zajmował prosty, gliniany garnek z czerwoną obwódką, napełniony bławatkami i rumiankami.

— Jak tu ładnie i miło! — wykrzyknął Henryk.

— Przedewszystkiem wesoło.

— Tak wesoło! — powtórzył z mimowolnem westchnieniem przybyły.

— Jak przystało w sanatorjum!

— W sanatorjum!

— Jako przyszły doktor neurolog mam jedno marzenie — stworzyć znakomite sanatorjum. I już zabrałem się do roboty; sanatorjum mam, jest ono wprawdzie w podwójnem słowa znaczeniu idealnem, niemniej już funkcjonuje i ma za sobą nawet szczęśliwie uzdrowionych pacjentów. Dewizą mego sanatorjum jest: Naprzód ku słońcu! Pielęgnuje się w niem kult szczęścia przez branie życia z jego pięknej strony. Zamiast krzywić się, że róża ma ciernie, cieszymy się, że krzak cierniowy ma kwiaty!… Zamiast desperować nad odlotem ptaków, cieszymy się perspektywą, że przyjdzie nam witać je na wiosnę.

— Piękna teorja!

— Stwierdzona praktyką, zaręczam ci, Heńku! Ja obok dwóch starych kobiet, w gronie kolegów, przeważnie biedaków takich samych jak ja, jestem zupełnie szczęśliwy. Znajduję źródło radości na każdym kroku: w piękności natury, w przyjaźni ludzkiej, w radości bliźnich, którym przyszło się z pomocą…

— Tak, to dobre dla takiego jak ty idealisty z dziwnie promienną duszą.

— Ależ ja ci powiadam, że mam za sobą pacjentów i niedaleko ich szukać!… Czy sądzisz, że ciotka Aniela tak odrazu pogodziła się ze swem kalectwem i unieruchomieniem? że nie przechodziła okresu rozpaczy, wyrzekań na bezcelowość swego życia i monotonję obrazu, jaki ma przed oczyma? Ale dotąd zwracałem jej uwagę na to, jak w różnych porach dnia i roku inaczej przedstawiają się krakowskie wieże, jak różnie biją zegary i dzwony i jaki ja byłbym nieszczęśliwy, gdybym nie zdołał jej się wypłacić z zaciągniętego długu, aż uwierzyła w to i jest taką, jaką ją widziałeś przez te wszystkie dnie.

— Pogodna i prawie dziecinnie wesoła!

— A matka moja!… Toć to reklamowy okaz mego sanatorjum!… Nie chwaląc się, wychowałem jej duszę od niemowlęctwa.

— A tak!… Skarby dobroci i uczciwości przynieść musiała już z sobą na świat, to pewne. Już to samo, że takie piękne jak ona stworzenie

znalazło się jako młodziuchna wdowa w pełnem pokus świecie wielkopańskim i nie wykoleiło się, jak najchlubniej o niej świadczy. A potem, czy ona żyła kiedy dla siebie?… Czy zaznała rozrywek? wesołości? pustoty?… Nigdy!… Dziecko i obowiązek, które łączyła w dwóch istotach: ty i ja!… Tylko nikt tej duszy nie wychował, nikt tej dziewiczej gleby nie uprawiał! I narastały na niej grzyby pospolitości, ale to tak łatwo dało się wyplenić, a w tej naszej cieplarni duchowej tak wybujały wszystkie piękne i zdrowe ziarna, rzucone w jej serce i umysł. Ona się tak rozwinęła umysłowo, że powiadam ci, dziś z przyjemnością można z nią pomówić!

— To wyszlachetnienie i rozwinięcie odbija się na jej twarzy i w ruchach; zdumiałem się poprostu.

W tej chwili do pokoju weszła Stefanja, niosąc na tacy trzy filiżanki kawy.

— No patrz, jaka ta matka ładna! — zawołał z przekonaniem Tadeusz, z przyjemnością zatrzymując wzrok na wchodzącej.

Stefanja pokraśniała jak młoda dziewczyna.

— Co ty takie głupstwa gadasz! — zawołała.

— Henio jest tego samego zdania!… On będzie malował mamy portret.

— A pan potrafi? — zapytała naiwnie.

Henryk się roześmiał.

— Uczyłem się i znajdują ogólnie, że mam talent; malowałem już kilkanaście portretów, tylko nigdy nie natrafiłem na dość ładny model, aby utrzymał moją cierpliwość aż do dokończenia.

— Dobrze, żeś to powiedział; teraz, gdybyś nie dokończył portretu mamy, miałaby zupełną rację obrażenia się na ciebie.

— O, ten, na tle wież krakowskich, będę malował z rozkoszą.

— A gdzie są pana rzeczy?

— Pozostały na kolei; poszlę po nie z hotelu.

— Niech pan nawet nie myśli o hotelu!… Albo to tu źle panu będzie? Zwłaszcza gdy się wniesie łóżko Anielki z doskonałym materacem. A teraz tak trudno o pokój w hotelu, codziennie widzę chodzące eleganckie osoby z pakunkami po ulicy i lamentujące nad tem, że nie mają gdzie zamieszkać.

— Wiesz, Heniu, że i ja przyłączę się do prośby mamy; nie na długo, boś przyzwyczajony do komfortu, ale na kilka dni; potem pojedziemy do Warszawy, a może tymczasem zdecydowałbyś się na stałe zamieszkać w Krakowie.

— Ja już się zdecydowałem!

— O, mój kochany Heńku!

— Ale pod warunkiem, że weźmiemy obszerny elegancki lokal i zamieszkamy wszyscy razem.

— To też wy z Tadziem zamieszkajcie w tym eleganckim lokalu, a mnie z Anielką pozostawcie tutaj, w tem naszem kochanem mieszkaniu z krakowskiemi wieżyczkami, gdzie od trzech lat żyję taka szczęśliwa.

— Przez niego, prawda?

— Tak.... Tadzio ma dziwny dar uczenia ludzi szczęścia.

— Nauczysz i mnie?… Co, Tadzik?

— To mój psi obowiązek!… Wiesz!?

KONIEC.

Tekst jest ***własnością publiczną*** *(**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Maria Bogusławska.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Młodzi. Cztery powieści dla młodzieży dorosłej i dorastającej

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Abraham
- Alenutka
- Anwar2
- Seboloidus
- Wieralee
- Joanna Le
- Anagram16
- PMG
- Matlin
- AkBot2
- Himiltruda
- Tommy Jantarek
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium